



Powieść

Córki Nipponu nie płaczą

Consilia Maria Lakotta

WYDAWNICTWO 

Córki Nipponu nie płaczą

CONSILIA MARIA LAKOTTA

A stylized, cursive signature in black ink, likely representing the author's name, Consilia Maria Lakotta. The signature is written in a fluid, calligraphic style with overlapping loops and a prominent vertical stroke.

OSOBY WYSTĘPUJĄCE W POWIEŚCI

DONALD GRANE, młody Amerykanin, handlarz samochodów

PAT BAKER, pułkownik, jego wuj

JIM LESLEY, jego przyjaciel i wspólnik

GLORIA, żona Lesleya

KIOSHI TANAKA, doktor z dziedziny gospodarki narodowej, tłumacz

MAJOR

YURIKO MORI, japońska studentka

MORI-SAN, jej ojciec, nauczyciel w szkole ludowej

TERUKO-SAN, jej ciotka

MIDORI, jej siostra

MATSU-SAN, rybak

MISJONARZ, ZAKONNICA

Miejsce akcji: Tokio 1951–1953, Nowy Jork 1956

Osoby oraz akcja są fikcyjne, a wszelkie podobieństwa dziełem przypadku.

– Hello, Donald. To naprawdę ty? Jak się tu znalazłeś?

– Hello, Pat! O to samo mógłbym zapytać ciebie. Przypuszczałem, że bawisz gdzieś nad pięknym Renem w jakimś departamencie administracyjnym!

– A ty powinieneś siedzieć teraz w Tokio zamiast tutaj... i to w tym stroju! Co się z tobą dzieje, chłopcze?

Pułkownik Pat Baker spojrzał na siostrzeńca pełnym niedowierzania wzrokiem. Mniej zaskoczyłby go jego widok w zielonym khaki z gwiazdkami generalskimi na pagonach niż w czarnej sutannie kleryka. Ostatnim razem widział go w stroju pilota na zdjęciu nadesłanym z Okinawy, ale to było już jakiś czas temu.

Donald Grane uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Żeby ci to wszystko wyjaśnić, Pat, potrzebowałbym sporo czasu, a na ile znam wojsko, to czasu właśnie masz najmniej.

– Pomyłka, Donaldzie, jestem w trakcie, hm, dłuższego urlopu, to znaczy powróciłem na własne żądanie do Stanów. Ale żeby ci to wytłumaczyć, też potrzebowałbym nieco czasu, a na ile znam jezuitów, na twoim Uniwersytecie Fordham też go pewnie nie macie w nadmiarze.

Pułkownik spojrzał nieufnie na potężny kompleks budowli powstały zaraz po wojnie.

– Dzisiaj zaczęły się ferie semestralne, Pat. To prawdziwy zbieg okoliczności, że się spotkaliśmy.

– Co? Ferie i nie jedziesz do domu?

Donald Grane patrzył przed siebie.

– Ojciec nie jest zachwycony moją decyzją i jeszcze nie całkiem się z nią pogodził.

– Mogę to sobie wyobrazić. Kto organizuje w Jokohamie handel samochodami, a potem zostawia go w chwili, gdy odnosi największe sukcesy? Twój ojciec wspominał mi swego czasu o sukcesach, jakie osiągnęliście w eksporcie waszych samochodów do Japonii. No dobrze, możesz mi to wyjaśnić później, ale możliwie szybko. Wsiadaj, proszę!

Donald wzbraniał się:

– Powoli, Pat! Muszę jeszcze zostawić wiadomość w akademiku. Mamy tam niezłą dyscyplinę.

– Ach tak, mieszkasz w domu studenckim? Dobrze, zaczekam tutaj. Tylko pospiesz się! Już od dawna nie miałem takiej ochoty na drinka. Mam nadzieję, że przy porządnej butelce whisky usłyszę wreszcie najnowsze wieści. Czy może tego też ci nie wolno?

Siostrzeniec odparł z uśmiechem:

– Sam zobaczysz, zaraz wracam.

Wuj spojrzał za nim z dezaprobatą, a potem skierował kroki ku pojazdowi wojskowemu, gdzie cierpliwie czekał na niego kierowca. Zmęczony opadł na siedzenie, mechanicznym ruchem wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. Murphy w milczeniu podał mu ogień. Jako Szkot był z natury oszczędny w słowach. Gdyby pułkownik pierwszy nie rozpoczął rozmowy, zachowałby się tak, jak gdyby nic się nie stało. Ale oficer był zbyt wzburzony, żeby milczeć. Zdjął czapkę i przeciągnął dłonią po rzadkich włosach.

– Wszystkiego bym się spodziewał, Murphy, ale nie tego, że spotkam syna mojej siostry w takim stanie. Pytam w imię tego, co ci drogie: dlaczego młody, tryskający zdrowiem i energią facet, mający spore osiągnięcia na wodzie, lądzie i w powietrzu, nagle zmienia zdanie i przechodzi do obozu czarnych?

Murphy uśmiechnął się szeroko, wsparł wygodniej o kierownicę i przesunawszy spokojnie gumę do zucia w ustach, odparł:

– Well! Jest tylko jeden powód: z przekonania.

Pułkownik Baker otworzył szerzej oczy.

– Do stu piorunów! – wyrwało mu się. – Nie znacie go i trafiliście od razu w dziesiątkę. Skąd wzięliście taką znajomość ludzi, Murphy? Przecież skończyliście dopiero trzydziestkę.

Murphy milczał. Nikt nie nakłoniłby go do otwarcia ust, żeby bez konieczności odpowiadać

na pytania związane z własnym wnętrzem. Zostawiał to dla takich osób jak pułkownik, które wręcz paliły się do tego, aby zwierzać się komuś ze swoich myśli. Znał to z koszar. Natomiast pułkownik nie potraktował swojego pytania poważnie, choć jego umysł zaprzątęła całkowicie osoba siostrzeńca.

– Gdyby, podobnie jak ja, miał powód... że się wycofuje z powodu kobiety... Super sprawa w moim wieku, prawda? Ale co zrobić? Nie wiem nawet, jak mu o tym powiedzieć. Wygląda na to, że jeszcze nigdy nie rozglądał się za kobietami... a przy tym ma taką urodę, że aż dziwne, iż nie wywęszył go jeszcze żaden reżyser filmowy. Uwzięli się na takich typów, odkąd zaczęli zwracać uwagę na współczesnych duchowych... No, idzie. Na szczęście nie oduczył się w Japonii zachodniej sprawności.

Donald Grane zbliżył się bez pośpiechu, długimi krokami, trzymając pod pachą aktówkę – nie brakowało mu odwagi, żeby jeszcze w tym wieku zasiąść w uczelnianym audytorium! Postukał w teczkę:

– Materiał do gruntownego przestudiowania! – uśmiechnął się do wuja. – Inaczej nigdy tego nie zrozumiesz, Pat!

Pułkownik odsunął się nieco, po czym zatrzasnął drzwiczki pojazdu.

– Jazda, Murphy, dajcie gazu, jakby gonił nas termin stawienia się na służbę. Samochód ruszył w stronę odległego Nowego Jorku.

*

Na dwudziestym czwartym piętrze jednego z drapaczy chmur, wysoko ponad nigdy niecichnącym hałasem ulicznego ruchu zasiedli naprzeciw siebie w czterech ścianach hotelowego pokoju.

Pułkownik odsunął zasłony, więc można było spoglądać ku górze, na zaciągnięte chmurami letnie niebo, albo w dół, w zawrotną przepaść, ku upiornie bezgłośnemu labiryntowi mrowiska ludzkiego. Miniaturowe pojazdy i tramwaje przeciągały wzdłuż prostej jak strzała alei ozdobionej z obu stron kolorową feerią neonów. Bezkresne przestworza kusily, podobnie jak nieskończona głębia.

Ale młodego kleryka zdawało się to nie fascynować. Od czasu służby w wojsku przywykł do unoszenia się wysoko ponad ludźmi i w pobliżu nieba – w kabinie myśliwca, którym musiał awaryjnie lądować na Filipinach, gdy postrzelono go w nerkę, co spowodowało, że został wysłany na urlop. Potem na długo ugrzązł w wirach głębi, w kakofonii hałasów trzeciej co do wielkości metropolii świata Tokio. Teraz natomiast milczał, nadstawiając ucha.

Jego wuj nie miał talentu do opowiadania. W kilku słowach streścił mu nędzę przeniesienia na własną prośbę:

– To wdowa po poległym na wojnie, ktoś, kogo określaliśmy mianem deutsches Gretchen, typowa gospodyni domowa. Przyjechałem do Niemiec z mieszanymi uczuciami, możesz mi wierzyć. Ale teraz to ona stała się dla mnie tym krajem, nawet jeśli nic z tego nie wyszło.

Podniósł wzrok i stwierdził ze zdumieniem, że siostrzeniec przygląda mu się w napięciu. Siedział ze zmarszczonym czołem, a w jego jasnych oczach widać było napiętą uwagę i ani śladu lekceważenia! Podjął więc dalej swoją opowieść:

– Jej mąż wrócił z ostatnimi, których zwolniono z niewoli w Rosji. Nikt nie wiedział, że przeżył. To oczywiste, że musiałem się wycofać, nieprawdaż? Przynajmniej nadarzyła się ku temu sposobna okazja. Nie jestem też w stanie sobie wyobrazić, by mogła mnie pokochać. Przybyliśmy przecież jako wrogowie, zajęliśmy kraj i zarekwirowali jej dom. Moje zniknięcie mogło być swego rodzaju podziękowaniem dla niej, ponieważ mogła mieć z mojego powodu kłopoty.

Zgasił w popielniczce papierosa, a jego siostrzeniec pokiwał głową.

– A ja – oznajmił szeptem, tak że wuj z trudem go rozumiał – nie wycofałem się na czas, bo nie przeczuwałem, że moja miłość stanie się dla niej zagrożeniem. Też wyjechałem, lecz trochę za późno, i moje zadośćuczynienie to... powrót, ale w innej roli.

Pułkownik zmierzył go wzrokiem. Ulegając popędliwości własnego temperamentu, pewnie przerwałby mu nieco wcześniej, gdyby to wyznanie nie pomieszało mu szyków. „A więc jednak nie zna się na ludziach”, pomyślał, odczuwając zadowolenie z nietrafnej oceny Murphy’ego. Nieomal rozczarowany oznajmił:

– A więc i w twoim wypadku kryje się za wszystkim kobieta? Nigdy bym się nie spodziewał.

Spojrzenie Donalda Grane’a powędrowało za zwiewnymi chmurami, których cienie pojawiły się w oknie.

– Kobieta... i tak, i nie. Być może cała sprawa ma się podobnie jak w twoim wypadku. Kobieta, która stała się dla mnie Japonią. Straciłem ją, ale zdobyłem kraj.

Pułkownik przeciągnął palcem wzdłuż szyi, by poluznić przyciasny kołnierzyk.

– No, a co z tym? Chcesz powrócić jako duchowny?

– Jako misjonarz, owszem – odparł energicznie Donald. – Chicata ga nai, mawiają Japończycy, i tak pewnie musiało być, że przez Yuriko poznałem Japonię, nawet jeśli muszę przyznać, że tylko połowicznie.

Ton jego głosu świadczył o strapieniu, więc pułkownik odważył się zagrzmieć:

– Nonsens, fałszywa skromność! Przebywałem w Niemczech mniej więcej tyle samo czasu, ile ty w Japonii, ale mnie co do Germany nie można mydlić oczu!

Na twarzy Donalda pokazał się uśmiech.

– Japonia jest inna. Mówić o Nipponie mogą ci, którzy spędzili tam dziesięć, dwadzieścia i więcej lat, misjonarze, prowadzący tam szkoły. Przez trzy lata, kiedy tam pracowałem, organizując

handel w branży motoryzacyjnej, poznałem ten kraj tylko powierzchownie. Mogę jedynie opowiedzieć o wrażeniach i nie twierdzę, że odpowiadają rzeczywistości. Postrzegam Japonię jako człowieka Zachodu. Mam tylko nadzieję, że nie opowiadam zbyt wielu nonsensów, ponieważ pokochałem ten kraj. Przynajmniej pod tym względem w zupełności zgadzam się z misjonarzami.

Wskazał na plik fotografii, które od dłuższego czasu leżały na stoliku pomiędzy nimi, a którym wuj przyglądał się z ledwo skrywanym napięciem. Wreszcie siostrzeniec sięgnął po nie, wyciągając pierwsze zdjęcie i ważąc je w dłoni.

Jakże dziwnie przemieniła się jego twarz. Wyraz trzeźwej rzeczowości ustąpił miejsca rozmarzonej miękkości. Kąciki jego ust drżały, gdy oznajmił półgłosem:

– Jokohama, 1951. Wtedy wszystko się zaczęło.

Kiedy zszedłem z pokładu „Progressu” i spojrzałem na rozciągającą się szeroko Zatokę Tokijską, nie czułem najmniejszej niepewności ani onieśmienia wobec tak obcego kraju. Stars and Stripes oraz flaga ze słońcem powiewały obok siebie nad dachami, symbolizując pokojową wspólnotę. Wszystko pójdzie dobrze. Początkowe trudności, z jakimi borykały się nasze siły okupacyjne, uważałem za możliwe do przezwyciężenia, i to w krótkim czasie. Minąłem kontrolę naszych MP oraz japońskiej policji portowej. A potem zobaczyłem Jima Lesleya, mojego starego kompana z wojny, machającego do mnie z uśmiechem.

To właściwie był jego pomysł, by prowadzony przez nas w Nowym Jorku handel samochodami rozciągnąć również na Japonię. Na własną rękę zaczął sprzedawać stare jeepy i wkrótce rozkręcił niezły interes, do którego wystarczyło się jedynie przyłączyć. Transportowiec z naszą produkcją przyплыł wcześniej i już go rozładowano. Czego mogłem chcieć więcej?

Zmęczenie podróży ustało, jak ręką odjął, gdy Jim klepnął mnie przyjacielsko w ramię, witając dostojnie śmiesznie brzmiącą mową i tak naśladując synów bogini słońca, że przy ich braku humoru na pewno poczuliby się urażeni.

Na koniec zostałem poproszony do samochodu i ruszyliśmy szeroką drogą łączącą Jokohamę z Tokio. Jim trajkotał jak najęty, ale prowadził pewnie, jak dawniej podczas wojny, zwalniając na czas, gdy pojawiały się ciągnięte przez woły wozy transportujące nawóz, i złożąc w obu językach, gdy przez chwilę musieliśmy wdychać nieco bardziej pikantne wiejskie powietrze, choć bardziej aromatyczny okazał się specyficzny zapach morza z domieszką wodorostów, ryb i dymu, co, jak dowiedziałem się później, było częścią lokalnego kolorytu. Przytakiwałem opowiadanym przez niego anegdotom i pospiesznym relacjom, nie potrafiąc jednak ukryć rozczarowania.

To ma być Japonia? Moje pierwsze wrażenie: beznadziejna. Niekończący się szereg małych, brązowych domków z drewna poprzecinanych betonowymi kłocami, bezładnie rozrzucone okropne zabudowania fabryczne, odbudowane tam, gdzie jeszcze nie zniknęły ślady zniszczeń po nalotach bombowych. Na poboczach dróg mnóstwo krępych, pospiesznie drepających ludzi, w większości ubranych po europejsku – może poza drewnianymi sandałami, jakich najwidoczniej używały przede wszystkim uboższe warstwy społeczne. W szarym tłumie nie widziało się prawie wcale kolorowych kimon.

Po chwili atmosfera się ożywiła.

– Tam! – zwrócił się do mnie Jim, wyciągając rękę z okna. – Spójrz, Donald. Nie, nie tam, gdzie teraz patrzysz, to właśnie niedawno wybudowany dom towarowy. Trochę dalej, te garaże z blachy falistej, jest ich dziewięć, i teren wokół nich otoczony drutem kolczastym należą do nas.

Spojrzał na mnie i z kącika ust wypadł mu papieros. Musiałem wyglądać na niezbyt zachwyconego. Blacha falista!

– Człowieku, to tylko boksy na samochody i hale warsztatowe! Twoja willa wygląda bardziej komfortowo. Pomyślałem, że zakład zainteresuje cię bardziej.

Opanowałem się.

– Okay, Jim, czemuś takiemu trzeba się dopiero przyjrzeć. Musisz przyznać, że trochę się to różni od naszego przedsiębiorstwa w Nowym Jorku!

Jim uśmiechnął się lekceważąco.

– Tylko nie da się go tutaj przenieść, bo nikt nie odważyłby się w nim pojawić. A bardziej zamożni, których na coś stać, to tutaj towar deficytowy. Uważam, że chcemy zaoferować coś prostym ludziom. To właściwa droga, sam się przekonasz. Poza tym, bez obaw. W metropolii tokijskiej wynajęliśmy już halę wystawową dla celów reklamy. Na najnowsze modele też znajdują się kupcy!

Ta uwaga pocieszyła mnie nieco, bo to, co zobaczyłem, nie wyglądało nadzwyczajnie. Typowy, zbombardowany teren fabryczny ze stertami nieusuniętego gruzu i zardzewiałego żelastwa, a pośrodku tego chaosu w pedantycznym porządku dziewięć blaszanych pudeł o niskich frontach, przysadzistych i ponurych niczym przyczajone buldogi. Nad każdym potworem widniał żółty szyld z czerwonym napisem „Grane General Motors” – oraz japońskie ideogramy wyglądające przy literach łacińskich nieomal jak poezja. Najpewniej oznaczały to samo, ale Jim zaprzeczył.

– Nie, zachwalają nasze jeepy oraz pojazdy używane, w przeciwnym wypadku nie mielibyśmy tak licznej klienteli. Musisz się przestawić, Donaldzie. Tu płaci się nie dolarami, tylko jenami, walutą prostych ludzi.

Zostawiliśmy nasz samochód na parkingu przy wjeździe i natychmiast pojawił się japoński personel. Z cierpliwością znosiłem pierwsze pokłony. Jim przedstawił mi najbliższych współpracowników. Wielu tych obcych imion nie zapamiętałby pewnie i krajowiec.

Wreszcie ruszyliśmy dalej. Pokazano mi buldogi – baraki z blachy falistej, warsztaty naprawcze, szkołę nauki jazdy, używane pojazdy, jeepy, garaż, kolejny garaż, kantinę dla pracowników, biuro i – Jim uśmiechnął się z zadowoleniem – herbaciarnię.

Pomyślałem, że chyba źle słyszę.

Ale nie. W ostatniej budzie prowadzono negocjacje, a do rytuału zawierania umowy handlowej w Japonii należało picie herbaty. Zaangażowano nawet kilka dam, nie gejsz, tylko mogas. Nie słyszałem o takich – kolejny uśmiech Jima – to japoński skrót od bardziej czy mniej lubianej powojennej nowości – modern girls.

Otworzył drzwi. Wnętrze okazało się zaskakująco czyste.

– Stop! Buty! – zakomenderował. Oszałał, czy co? W biały dzień i to w dodatku bezdeszczowy? I już schylał się, by ściągnąć trzewiki i nałożyć przygotowane słomiane sandały. Spojrzenie na nieskalaną biel wyplatanej maty, jaką wyłożono podłogę, przekonało mnie, że lepiej będzie, gdy się podporządkuję. Mrucząc pod nosem, pozbyłem się obuwia.

Japoński dom w blaszanym baraku! Lesley dokonywał najdziwniejszych kombinacji. Posadził mnie na jednej z kolorowych poduszek. Ostatnią część baraku oddzielała od reszty bambusowa zasłona. Pierwsza dziewczyna w kolorowym kimonie, jakiej mogłem się przyjrzeć z bliska, miała ondulowane włosy i polakierowane na czerwono paznokcie. Wyglądała raczej jak wystrojony na „Nippon” zachodni manekin. Ale herbatę podawała po japońsku, z wdziękiem i uśmiechem, które wprawiły mnie w zamyślenie.

Na przeciwległej ścianie zawieszono zwijany obraz, przedstawiający pokrytą bielą śniegu Fudzijamę na tle nierzeczywiście błękitnego nieba, a przed nim flakon z szarej porcelany.

Piłem, a Jim usiadł naprzeciwko mnie, krzyżując nogi niczym stary Japończyk.

– No i co ty na to, Donald? Możesz na nas polegać! Zwietrzyliśmy już, co w Japonii jest bezwzględnie konieczne. Umowę kupna negocjuje się po drugiej stronie, a tu się ją finalizuje.

Herbata miała zielony odcień i mocny, przyjemny aromat. Ożywiała i odświeżała. Po trzeciej filiżance przestałem myśleć o absurdalności całego przedsięwzięcia i znalazłem usprawiedliwienie dla ośmiu pozostałych baraków.

Jedno tylko napawało mnie troską. Miałem odgrywać rolę szefa, a tymczasem na całym terenie podległym mojej władzy widziałem wyłącznie Japończyków.

– Jak wygląda kwestia porozumiewania się, Jim? Udało ci się zatrudnić jakichś dobrych tłumaczy? Nie rozumiem ani słowa z tego ćwierkania.

– Bez obaw! Po rozpoczęciu ferii semestralnych masowo zjawiają się studenci, chcący gdzieś wypróbować i udoskonalić wyuczony w szkole angielski. Poradzimy sobie. Nie zaszkodzi częściej

zmieniać personel w tej branży; inaczej będą nam za bardzo zaglądać w karty.

„Jakiś wybieg” – spojrzałem na niego nieufnie.

– Nie macie tu żadnego tłumacza zatrudnionego na stałe?

Jim zmieszał się nieco.

– Trzeba by wówczas płacić mu pensję, z której mógłby żyć, a to obecnie w Japonii nie jest wcale tak mało. Nie mam najmniejszego pojęcia, z czego utrzymuje się większość tych ludzi.

– Ale przecież naszą firmę stać na to, żeby zapewnić porządne wynagrodzenie dobremu tłumaczowi.

Jim wyszczerzył zęby.

– Powiedz lepiej: porzadnemu tłumaczowi.

Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem, a on wzruszył ramionami.

– Grozę budzi to, ile się tu słyszy języków obcych, jeśli chce się kogoś zaangażować.

Dopiero po dłuższej chwili okazuje się, że za każdym razem jest to angielski. Tylko trudno płacić za coś takiego. Najlepsi tłumacze, jakich nie brakuje w Tokio, pchają się na posady państwowe. No, być może i my będziemy mieć kiedyś szczęście.

Wstał z miejsca. Najwidoczniej nie mógł sobie z tym problemem poradzić. Na razie postanowiłem nie wracać do sprawy. Dziwiło mnie tylko, że Jim mający skłonności do przechwalania się nie oznajmił mi zaraz na wstępie, iż nie potrzebujemy tłumacza, gdyż on doskonale sobie radzi z japońskim. Byłem greenhornem, on natomiast mieszkał w Tokio od początku okupacji, czyli prawie pięć lat.

Kiedy obejrzałem boksy z samochodami, moje zadowolenie wzrosło. Używane pojazdy wojskowe porządnie odremontowano, a nowe egzemplarze z eksportu zabezpieczono przed deszczem i niepogodą.

Potem zainteresowałem się moim nowym domem; od ostatniego posiłku na pokładzie statku minęło już kilka godzin. Ponadto chciałem rozwiać swoje obawy co do konieczności siedzenia i spania na podłodze.

Jim wywiózł mnie parę ulic dalej i zatrzymał się przed nowoczesnym dwupiętrowym budynkiem, nieróżniącym się wiele od willi z przedmieść Nowego Jorku. Ani śladu zniszczeń wojennych, stwierdziłem z zadowoleniem. Jim Lesley promieniał.

– Okay? Kupiłem tanio od jednego z kolegów, który otworzył w dzielnicy Marunouchi salon z telewizorami i przeniósł się do metropolii. To mieszkanie stało się dla niego zbyt prymitywne. Mówię ci, za parę lat zostanie milionerem. Musimy dopilnować, żeby nam też coś skapnęło z jego fortuny. A więc, serdecznie witamy, Donaldzie! Wejdz, proszę! Nawet ten gwóźdź w ścianie należy teraz do ciebie.

Przekroczyłem próg i osłupiałem.

W szklanych rozsuwanych drzwiach prowadzących do przedpokoju stały cztery małe postaci schylone w głębokim pokłonie – dwie czarne, dwie kolorowe – Japończycy! Zanim pochyłone oblicza podniosły się, Jim dał mi w bok porządnego kuksańca.

– Twoja służba. Bez niej nie poradzisz sobie w Japonii. Dla uspokojenia, Sato-san, kucharz, rozumie nieco angielski na potrzeby związane z gotowaniem i gospodarstwem domowym, pracował w jednym z luksusowych hoteli w Tokio. Jego żona poprowadzi ci dom, ponieważ, co karygodne i lekkomyślne z twojej strony, nie jesteś jeszcze żonaty. Ich córkę musisz zatrudnić jako pokojówkę. Syn jest, można powiedzieć, w pakiecie. Znajdzie się mu jakieś zajęcie. Ukłoń się kilka razy, Donaldzie, nic innego nie da się teraz zrobić.

Wykonałem najbardziej niezgrabne ukłony w swoim życiu, gdyż w moim wnętrzu gotowały się rozczarowanie i złość. Przybyłem do typowo amerykańskiego domu... i kogo spotykam? – tubylców. Gdy tylko znalazłem się z Lesleyem sam na sam, zaczerpnąłem głęboko powietrza, ale on uprzedził mnie ze śmiechem.

– Pomieszkał tu najpierw przez miesiąc, zanim mnie zwymyślasz. Zobaczysz, że służba naprawdę ci się przyda.

– Tylko po co cały sztab, jedna osoba wystarczy. Reszta może iść.

– Tak myślisz? Wtedy pozostali też odejdą. Zatrudniłem ich, powiedzmy, seryjnie. Okazało

się to tańsze, w przeciwnym wypadku koszty utrzymania Sato-san wzrosłyby niepomiarowo. Rodzina nie ma wygórowanych wymagań. Żeby cię uspokoić: Sato prowadzi znakomitą kuchnię zachodnią, potrawy francuskie lub angielskie, jakie tylko zechcesz.

Zrezygnowałem, żeby niepotrzebnie nie urazić Jima. Na pewno chciał dobrze. Później rozejrzę się na własną rękę za amerykańskim personelem, to sobie przysiągłem. Na szczęście przynajmniej pokoje urządzone według mojego smaku. Jeśli zamknęło się okno, to można było mieć wrażenie, że jest się w USA w otoczeniu trzeźwej użyteczności i prostej elegancji, nie zaś pretensjonalnych mebli. Przynajmniej to mu się udało.

Gdy go pochwaliłem, niebieskie oczy Jima rozbłyły.

– Powoli przyzwyczaisz się do wszystkiego, Donaldzie – orzekł, gdy zakończyliśmy zwiedzanie domu i zatrzymaliśmy się w sypialni, gdzie postawiono moje bagaże. – A teraz prześpij się trochę – zagrzmiał nagle w koszarowym tonie. – Wyglądasz, jakbyś miał zamiar kolejny raz pokojowo podbijać Japonię. McArthur z większym spokojem przejął administrację wojskową niż ty naszą skromną firmę.

Miał rację – nagle poczułem się zmęczony liczbą nowych wrażeń oraz napięciem, które powoli ustępowało. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapytać, gdzie mieszka mój przyjaciel. Gdy tylko zostałem sam, rzuciłem w kąt buty, zdjąłem wierzchnie odzienie i poszedłem za jego radą. Kilka minut później powróciłem we śnie do Nowego Jorku niczym zabłąkany w mieście wieśniak do swojej rodzinnej chaty.

*

Następnego ranka obudziłem się i stwierdziłem, że leżę na podłodze.

Miało miejsce niewielkie trzęsienie ziemi, nic takiego. Ale powitały mnie moskity. Wstałem pokłuty na całym ciele. Ostatecznie była połowa maja – temperatury letnie oraz insekty dniem i nocą.

Otworzyłem okno i do wnętrza pokoju wpadł szeroki promień dziwnie jasnego, złotego słońca. Jedno spojrzenie na zewnątrz przekonało mnie, że nieodwołalnie wylądowałem w Japonii. Ulica, w moim przekonaniu raczej szersza uliczka, pulsowała życiem, któremu przyglądałem się z większym zainteresowaniem niż wczoraj. Otwarto przesuwane drzwi drewnianych domków, dając możliwość zajrzenia do otwartych już warsztatów. Małe sklepiki obwieszane powiewającymi na wietrze chorągiewkami zapisanymi kilkoma z wielu japońskich znaków wystawiły na sprzedaż nieznane mi jeszcze towary. Czułem się tak, jak gdybym oglądał film traktujący o kulturze Azji Wschodniej. Handlarze serem, sprzedawcy gazet, rikszarze, gromada dzieci szkolnych w znoszonych marynarskich ubrankach, smukłe kobiety w jednobarwnych, codziennych kimonach i zachodnie proporczyki. Przetarłem oczy – tylko spokojnie! Miałem przed sobą całą Japonię.

Przy śniadaniu uszczęśliwiłem mojego kucharza pierwszymi komplementami. Czy wszystko rozumiał, tego nie wiem do dziś. On natomiast zapewniał mnie wciąż na nowo, że czuje się zaszczycony i nie zasłużył na to, by czcigodny dana-san okazywał mu swoje zadowolenie. Tyle udało mi się zrozumieć z japońsko-angielskiego szwargotania. Wszystko wyglądało bardzo elegancko. Zawsze cenilem czystość. Nakrycia i sztucce lśniły, a potrawy zachęcały wręcz do spróbowania.

Co do żeńskiego personelu, to nie zobaczyłem na razie nikogo, ale moje walizki zostały rozpakowane, a ich zawartość rozłożona na półkach w szafie. Nie miałem pojęcia, skąd tak szybko nauczyli się zachodnich przyzwyczajzeń. Najwidoczniej cała rodzina musiała już kiedyś pracować w jakimś hotelu. Wszystko pięknie i ładnie, ale potrzebowałem wokół siebie przede wszystkim takich osób, które nie musiały wertować najpierw grubego jak Biblia słownika, gdy zadawałem im proste pytanie!

Moja pierwsza wyprawa do Tokio, tak zaplanowałem, miała dać mi okazję do rozglądnięcia się za amerykańskim personelem. Nie na darmo miałem przecież wielu znajomych pośród urzędników administracji wojskowej, którym i tak należało złożyć obowiązkową wizytę. Z domu dostałem także całą górę adresów osób, które miały się ucieszyć z mojego przybycia i wprowadzić mnie w tokijską socjetę. Pod tym względem czułem się zabezpieczony. Oczywiście musiałem wziąć ze sobą Jima Lesleya orientującego się w planie miasta i położeniu dzielnic tak dobrze, jak gdyby się tu wychował.

– Najpierw Marunouchi? – zapytał.

O ile wczoraj rozumiałem, znajdowało się tam centrum. Gdy zwlekałem z odpowiedzią, uśmiechnął się lekko:

– A może chcesz od razu wskoczyć w zgiełk Asakusa? Naprawdę ożywia się dopiero wieczorem, ale wtedy ciaśniej tam niż nocą na Montmartrze.

Nie, na pewno nie przybyłem tu po to, żeby rzucać się w wir rozrywki, o czym jeszcze za oceanem słyszałem opowieści jeżące włosy na głowie. Zjawiłem się tu jako solidny biznesmen, a nie głodny życia GI ! Jim pokiwał głową.

– Nie mów tak! Za pół roku będziesz myślał inaczej. Japonia jest inna pod każdym względem, również pod względem rozrywki. Niejeden prowadzący w USA nudną biurową egzystencję zamienił się tutaj w używającego życia światowca, którego nie poznałaby nawet własna matka. Ale jak chcesz. Jesteśmy tu, jak ten wielki, gładki kloc nad stawem cesarskim – Daiichi Building, główna kwatera armii!

Wziął elegancko zakręt, zaparkował. Byłem w sercu Tokio. Stałem i patrzyłem bez tchu.

Oczywiście, Tokio to nie Japonia. Mniej czuło się w nim Nipponu niż w pozostałych miastach cesarstwa wysp – przesiąknięte było w swej istocie Zachodem, o architekturze utrzymanej w nowoczesnym stylu, a przecież miało się do czynienia z Japończykami, tak jak mniej więcej ich sobie wyobrażałem.

Tu zobaczyłem pierwsze kobiety w tęczy kimonach i tradycyjnych fryzurach kroczące pośród tych bardziej współcześnie ubranych. Gapiłem się na nie niczym na ósmy cud świata, gdy sunąc drobnymi kroczkami na wysokich geta mijaly mnie, pokazując z tyłu ogromne kokardy, podobne do kolorowych motyli. Tu i tam pojawił się również i Japończyk w czarnej, jedwabnej pelerynie lub świątecznym kimonie, gdyż gdzieś z pewnością celebrowano jakąś uroczystość w świątyni, jak zawsze w czasie letniego zrównania dnia z nocą. I znowu – pierwszy pielgrzym szinto w białym, wełnianym odzieniu pokrytym wieloma czerwonymi i czarnymi stemplami informującymi o liczbie nawiedzonych przez niego sanktuariów. Nie zwracając uwagi na dzwonenie tramwajów, trąbienie autobusów, falujący tłum, kroczył dostojnie ze spuszczoną głową nakrytą słomianym kapeluszem niczym pogrążony w modlitwie, a kto z Japończyków potrącił go przypadkiem, kłaniał się mu z czcią. Z pewnością udawał się do kwartału świątyń w Parku Nikko! Z wielkim trudem skupiłem znowu uwagę.

– Jasne, Jim, imponująca budowla ten Daiichi Building! Nasza armia ma oko, gdzie w obcych stronach można się dobrze ulokować – stwierdziłem i na tym poprzestałem, gdyż bardziej zainteresował mnie położony pośrodku dziczatego parku stary pałac cesarski, po części zniszczony bombami. Ale i on nie stanowił celu mojej wizyty. W pewnej chwili skoncentrowałem się na gazeciarzu oferującym zarówno „Nichi Nichi Shimbun” oraz „Asahi”, jak i „The World”. Dzwoneczki na przegubie jego ręki pobrzękiwały perliście. Spod śmiesznej czapki wyglądała inteligentna, sprytna, młoda twarz! Wręczyłem mu jena i otrzymałem zachodnią gazetę. Sprzedawca skłonił się w podziękowaniu.

Rzuciłem okiem na nagłówki:

„Komunistyczny wiec w parku Hibiya rozproszony przez policję!”

„Dziesiątki tysięcy demonstrantów przed pałacem cesarskim”.

„Lider komunistów Nosaka protestuje przeciwko władzom okupacyjnym!”

Spojrzałem na Jima.

– To też się tu zdarza. Niewiarygodne. Spodziewałem się czegoś innego po Japonii.

Mój przyjaciel przytaknął.

– Ja także, ale to dopiero początki. Zapoznawaliśmy się z tym krajem, studiując zakurzone podręczniki. Gejsze i szogunowie, takie było nasze wyobrażenie o Nipponie, kwitnące wiśnie i muzyka shamisen. Dobrze się stało, że takie obrazy wywieje nam wreszcie z głowy. Japonia jest inna.

Spojrzał mi w twarz i uśmiechnął się.

– Przecież nie chcesz sprzedawać jeepów i kabrioletów marionetkowym figurom z epoki Meiji? To już przeszłość, mój drogi! Starą Japonię możesz zobaczyć najwyżej w teatrze kabuki. Tylko tam nikt nie kupi od ciebie forda ani cadillaca. Spójrz, nasi GI rozwiązują ten problem w prostszy sposób.

Gestem wskazał na kilku wysokich żołnierzy ubranych w khaki z pięknymi Japonkami prowadzonymi pod rękę – wszyscy z papierosami w ustach, damy wystrojone według najnowszej mody ze Stanów. Zmierzali ku gmachowi gigantycznego kina, gdzie wyświetlano jakiś kasowy western.

Ten widok nie poprawił mi samopoczucia. Pomyślałem o pewnych statystykach mogących być powodem do wstydu dla sił okupacyjnych. Ale tak pewnie działo się wszędzie tam, gdzie żołnierze stacjonowali dłużej, nie mając konkretnych zadań. Ja już nie byłem jednym z nich. Przyjechałem z konkretnymi planami, chciałem pracować, zarabiać i pokazać Japończykom, co potrafi luksusowy amerykański samochód, a oprócz tego pomóc w odbudowie gospodarki, dostarczając niższym warstwom społecznym porządne używane pojazdy w przystępnych cenach.

Odwróciłem się, by wyciągnąć notatnik. W pobliżu mieszkań jeden z oficerów, których miałem odwiedzić. Jim został; obiecał, że zjawi się znowu o umówionej godzinie. Nie musiałem się spieszyć.

*

Mój przyjaciel, porucznik, również spędził w Japonii pięć lat.

Przez godzinę słuchałem jego relacji, dowiadując się więcej, niż gdybym uczęszczał na wykłady orientalistyki na którymś z amerykańskich uniwersytetów. To było samo życie. Wreszcie odważyłem się zadać pytanie, które wprawiło go w zdumienie:

– Chcesz amerykański personel? Ale dlaczego? Wydaje ci się, że Japończycy nie spełnią twych oczekiwań? Człowieku, nie możesz zrobić nic lepszego, niż zatrzymać tych, których masz. Przez nikogo nie zostaniesz uważniej i uprzejmiej obsłużony, niż przez miejscowych, zakładając naturalnie, że nie będzie pośród nich zagorzałych komunistów. Lesley na pewno się postarał, tego możesz być pewien! Osobiście najchętniej jeszcze dziś zwolniłbym mój zachodni personel, gdyby nie to, że najpierw sprowadzam ich zza oceanu, a potem odsyłam z powrotem, bo nie wytrzymują konkurencji z krajowcami.

Wspomniałem o trudnościach z porozumieniem się, na co on udzielił mi rady:

– Przespaceruj się po miasteczku akademickim. Któregoś dnia znajdziesz odpowiedniego tłumacza. Trzeba tylko trochę cierpliwości. W gruncie rzeczy ci młodzi ludzie są niezwykle utalentowani językowo!

Podczas następnej obowiązkowej wizyty doradzono mi podobnie. Major wystrzegał się wyrażania negatywnej opinii o naszych ludziach. Zaznaczył jedynie, że żałuje, iż większość zwykła wydawać lekkomyślnie ciężko zarobione pieniądze w Asakusa. Jego propozycja brzmiała jeszcze konkretniej:

– Proszę nawiązać kontakt z profesorami na uniwersytetach. Nie urzędują pana posiadanie tłumacza jedynie na czas ferii semestralnych. Ten ktoś musi nabrać orientacji w branży i stać się pańską prawą ręką. Wykładowcy uniwersyteccy będą zachwyceni możliwością przedstawienia kandydatur młodych ludzi, którzy po zakończeniu studiów są jeszcze bez pracy. Pod tym względem toczy się prawdziwa walka o byt.

Zapytałem o adresy, a major się zakłopotał. Nie wiedział, co doradzić. W stolicy mieści się wiele szkół wyższych, państwowych i prywatnych. Jeśli natomiast zależy mi na dobrym tłumaczu, który na dłuższą metę poradzi sobie ze swoim zadaniem, to powinienem zwrócić się do pierwszego i jedyne katolickiego uniwersytetu Tokio i Japonii – prowadzonej przez jezuitów Sophii. Nawet japońscy menedżerowie starają się o absolwentów tej uczelni, gdyż pierwszym celem wykładowców jest nie tylko przekazywanie wiedzy, lecz także umacnianie charakteru – obojętnie, czy ich słuchacze przechodzą na chrześcijaństwo czy nie.

– Młodzi ludzie kończący Sophię mają po pierwsze szeroką znajomość zachodniej kultury i mentalności, po drugie zostali wychowani do podejmowania odpowiedzialności, a nie tylko ślepego wykonywania rozkazów, jak to wcześniej wpajano w japońskich szkołach.

Zdziwiłem się w duchu, bo majora znano jako przekonanego metodystę. On zaś zapisał dla mnie adresy kilku różnych szkół wyższych, co pozwoliło mi wyrobić sobie wyobrażenie, z jakim zapałem studiuje młodzież tego kraju. Wyraziłem wdzięczność i pożegnałem się, mając świadomość zbliżenia się nieco do celu.

Postanowiłem, że na razie zwrócę się do Uniwersytetu Sophia.

Gdy podszedłem do Jima, stał właśnie z jakąś dziewczyną, którą wziąłem oczywiście za Amerykankę, na skrzyżowaniu Ginza i Sukiwabashi, przy stoisku z napojami. Wokół tłoczyli się rozochoceni GI. Gdy się odwróciła, zdębiałem – flirtował z Japonką!

Jasne oczy na jego rumianym chłopięcym obliczu promieniały radością. Zdawał się mówić więcej rękoma niż ustami. Co z tego wyniknie?

Bezczelnie przedstawił mi swoją egzotyczną sympatię:

– Panna Michiko, ekspedientka z Mitsukoshi.

Ruchem dłoni wskazał na ogromne centrum handlowe, gdzie kupowali zarówno żółci, jak i biali, najnowocześniejsze i największe w swoim rodzaju. Na piątym piętrze mieściła się nawet kaplica katolicka!

Ukloniłem się sztywno zadowolony, gdy dziewczyna o zadartym nosie i okrągłej twarzy jamniczki skłoniła się i stukając bucikami na wysokich obcasach, opuściła nas.

Mój kumpel zachichotał.

– Co masz taką minę? Mała miłostka odświeża w taki upał. Ty też jeszcze zasmakujesz. Zaprzeczyłem.

– To nie wchodzi w rachubę. Ostatecznie kręci się tu dość urodziwych Amerykanek, które można poznać w porządnym klubach.

Lesley wyszczerzył zęby.

– Równie dobrze mógłbym zostać w domu i z chłodną blondynką z Hollywood dyskutować o polityce i gospodarce. Człowieku, nie masz pojęcia, jak słodkie są te żółte lalki! Oczywiście, nie ma mowy o żadnym małżeństwie, ale letni romans, czemu nie!

Odwrociłem się. W tej kwestii nie mogłem mu przyznać racji. Odkąd kiedyś zakochałem się nieszczęśliwie, traktowałem kwestię miłości ze śmiertelną powagą. Być może tkwiła we mnie też spora część staroirlandzkiego wychowania, jakie otrzymałem od mojej matki. Przy pożegnaniu, gdy wyjeżdżałem do wojska, wzięła mnie na stronę, mówiąc: „Synu, wyruszysz z pewnością w dalekie strony. Postępuj zawsze tak, jak gdybym ciągle jeszcze była przy tobie – zwłaszcza względem kobiet”. W odpowiedzi ucałowałem ją.

Widzieliśmy się wtedy po raz ostatni, dlatego jej słowa stały się dla mnie podwójnym testamentem i jak dotąd nie żałowałem niczego. Postanowiłem więc, że i w Nipponie tak ma pozostać. Bo skąd właściwie miało się pojawić zagrożenie, skoro tradycyjne, obeznane ze sztuką gejsze prawie wymarły? Z innymi dziewczętami trudno nawiązywało się kontakty, a nigdy nie gustowałem w znajomościach zawieranych na ulicy.

Jim spostrzegł, że mam kiepski humor, więc zapytał, czego udało mi się dowiedzieć. Najwidoczniej wbrew swoim przekonaniom zgodził się z moją propozycją, gdy opowiedziałem mu, że przede wszystkim musimy się postarać o porządnego tłumacza.

– Oczywiście zamieszka u ciebie? Tylko głośno myślę. W firmie możemy sobie radzić jak dotychczas.

To nasunęło mi pewną myśl.

– Nie miej mi za złe, ale jak dotąd nie mam pojęcia, gdzie ty masz kwaterę, Jim.

– Co tam! Wraz z twoim sztabem mieszkam w Jokohamie, w hotelu zarekwirowanym dla Amerykanów i osób cywilnych. Znośne warunki. Człowiek ma swobodę i nie musi się liczyć z gospodynią pilnującą domu niczym jakiś brytan.

Uśmiechnąłem się lekko.

– No, to ostatnie nie jest w twoim wypadku takie złe!

Lesley ruszył z piskiem opon. Schlebiało mu bycie uważanym za casanowę. Ale znałem go. W rzeczywistości tylko się przechwalał.

Na terenie firmy kilkakrotnie nadarzyła mi się okazja, aby go szczerze pochwalić. Był naprawdę doskonałym współnikiem ten Jim-san, jak nazywali go japońscy pracownicy. Przy jego nazwisku „Lesley” połamaliby sobie języki, ponieważ Japończycy nie potrafią wymówić „L”. Lubiano go wszędzie. Kłaniano mu się z uśmiechem, gdzie tylko się pojawił.

Zaden z nich nie wiedział, co znaczy koleżeństwo ze strony „szefa” względem pracowników. Zanim zajęliśmy Japonię, pomiędzy pracodawcami a pracownikami były zupełnie inne relacje. Każdy „boss” troszczył się przez całe życie o człowieka, którego kiedyś zatrudnił, również i w chorobie, nawet jeśli płacił mu wówczas nieco mniej i uzależniał go od siebie. Wszystko to runęło, odkąd McArthur zlikwidował zaibatsu dysponujące znacznymi kapitałami. Japończycy musieli się przyzwyczaić do nowego sposobu wynagradzania, a także do możliwości swobodnego wypowiedzenia umowy o pracę! Jim opowiadał, że denerwował go początkowo nadmierny respekt, szczególnie podczas rozmów handlowych rozpoczynających się od całego szeregu zbędnych wyrazów szacunku. Ale stopniowo się przyzwyczaił.

– Zapamiętaj jedno, Donaldzie. Nie wolno tracić cierpliwości. Prawdziwi Japończycy nigdy się nie spieszą. Cel osiągniesz, i to efektywniej niż mogłoby się wydawać na początku.

Bilans, jaki pokazał mi w biurze znajdującym się w baraku numer jeden, okazał się naprawdę godny uwagi. Sporo transakcji w tak krótkim czasie. Być może uda się jeszcze bardziej ożywić sprzedaż, gdy odpadną trudności z porozumieniem.

Jeszcze tego dnia korespondencyjnie zwróciłem się do kilku uniwersytetów: w pierwszym rzędzie była to Sophia, dalej Waseda, uniwersytet tokijski oraz Kyoiku-Daigaku-in. To powinno wystarczyć.

Ale być może nie uzbroiłem się jeszcze w japońską cierpliwość albo profesorom na krótko przed końcem semestru po prostu brakowało czasu, gdyż na próżno wyczekiwałem odpowiedzi.

*

Myślałem, że czerwiec to w Japonii jeden z najpiękniejszych wczesnowiosennych miesięcy, a tymczasem zaczęły się długotrwałe ulewy. Nie było burz, ale deszcz padał bez przerwy, przesłaniając szarą kurtyną morze i ląd.

Jim zapewniał mnie ze stoickim spokojem, że tak bywa co roku i osobiście woli taką aurę od żaru lejącego się z nieba w bezchmurnym sierpniu.

On oczywiście miał swoje zajęcia, ja natomiast jako nowicjusz musiałem się dopiero wszędzie zaaklimatyzować, nawet jeśli prowadzenie samej firmy nie było dla mnie żadną tajemnicą.

Zmęczony nudą postanowiłem udać się na spacer po „moim kwartale”. Owinięty w płaszcz przeciwdeszczowy z postawionym kołnierzem i w starym, czarnym berecie baskijskim na głowie poczłapałem zwężając się ku górze uliczką wzdłuż drewnianych domków. Gdzie drzwi stały otworem, zaglądałem z ciekawością do wnętrza, ale wszędzie było podobnie – świecące czystością pokoiki dla lalek z krzątającymi się drobnymi kobietkami w bawełnianych kimonach lub stukający młotkami rzemieślnicy. Nocą domki wyglądały bardziej romantycznie, gdy przez papierowe okna padało ciepłe światło, a tu i tam rozlegało się obce dla naszego ucha brzdąkanie starego koto. Gdybym tylko potrafił odczytać choć jeden z wielu znaków widniejących na mokrych choraągiewkach! Niestety, zapieczętowana mądrość.

Przedemną na wysokich zorii drobiły spiesznie gospodynie domowe niosące w rękach zawiązane w kunsztowny węzeł bajecznie kolorowe jedwabne chusty z zakupami. Dzieci o czarnych jak laka, przyciętych na pazia mokrych włosach dreptały grzecznie obok, nie marudząc i nie przeszkadzając. Tu i tam dojrzałem otulone w płótno niemowlę kołysane na ciepłych plecach matki. Mężczyźni w ciemnych opończach, z ponurymi rogowymi okularami na nosie, poruszali się szybciej. Od strony dalekiego portu rozbrzmiewało głucho buczenie syren mgielnych.

Przystanąłem niezdecydowany – spacer okazał się wątpliwą przyjemnością.

I wtedy moje spojrzenie padło na dziewczynę.

Siedziała pod wysuniętym dachem starego drewnianego domku, na engawie, jak nazywają tutaj werandę, ubrana w sięgające do kostek wąskie czarne spodnie i granatowy sweter. Połyskujące ciemnym błękitem czarne włosy niczym na starej gemmie otaczały ciasno smukłą głowę. Spięta je z tyłu w gruby węzeł, z którego wystawała błyszcząca jadeitowa szpilka. Z przyjemnością przyglądałem się eleganckiemu profilowi przypominającemu stare japońskie ryciny. Nie miała nieco zbyt szerokiego, azjatyckiego nosa większości tutejszych kobiet. Także jej twarz tworzyła owal o miękkiej doskonałości z odcieniem kości słoniowej.

Tak mogła wyglądać jedna z dawnych gejsz.

Tym jednak, co mnie zafascynowało u nieznanym i przykuło do miejsca, okazał się fakt, że trzymała w ręku ostatni numer „Life”, zdając się pilnie i z wielkim zainteresowaniem oddawać lekturze. O ile wiem, nie ma japońskiego przekładu angielskiego wydania tego pisma. Dziewczyna nie przewracała tylko kartek w obcym czasopiśmie, lecz czytała je. Treści, z którymi się zapoznawała, znajdowały odbicie w żywych rysach jej twarzy. Czyli – przemknęło mi przez głowę – rozumiała angielski!

Chrząknąłem głośno, co jednak nie okazało się pod tą szerokością geograficzną żadnym środkiem do nawiązania kontaktu, gdyż nawet nie drgnęła. Odważnie podszedłem bliżej, zwłaszcza że panujący w uliczce spokój oszczędził mi świadków, i półgłosem zagadnąłem ją w moim języku:

– Proszę wybaczyć, czy rozumie pani angielski?

Dziewczyna opuściła przeglądany magazyn, spojrzała na mnie bez zdziwienia, wstała i kłaniając się niczym paż, odparła:

– Oczywiście. Czym mogę służyć, panie Grane-san?

Gdybym mógł, to pewnie bym usiadł.

Znała mnie, ja natomiast nie znałem żywej duszy na tej ulicy. Zwróciła się do mnie po nazwisku i to takim angielskim, jak gdyby studiowała w Stanach. Słysząc było tylko słaby akcent. Uśmiechała się cierpliwie, czekając, aż odzyskam równowagę ducha. Już przy pierwszym spotkaniu biały człowiek tracił twarz. W podobnych sytuacjach Japończycy potrafią się doskonale opanować.

– Czy mogę zapytać, skąd pani wie, kim jestem? – zapytałem głupio.

– Czcigodny cudzoziemiec, do którego należą nowoczesne samochody, może być pewien, że zna go każde dziecko – odparła uprzejmie.

No tak, przecież od kilku tygodni żyłem w sąsiedztwie wszystkich tych obcych mi, skromnych ludzi, a oni przecież zapewne rozmawiali o mnie i moich poczynaniach i zdawali się to robić z niemałą intensywnością.

Kolejny raz poczułem się jak na samotnej wyspie. Nie miałem żadnego kontaktu z obcym otoczeniem.

– Czy słusznie zakładam, że pani studiuje? – pytałem dalej, spoglądając na „Life”. – Po angielsku – dodałem.

– Jestem studentką pedagogiki na Kyoiku-Daigaku-in. Od wczoraj mamy ferie semestralne – wyjaśniła.

Rozpromieniłem się i krew uderzyła mi do głowy.

– Proszę wybaczyć, ale właśnie zapytała mnie pani, czy może być mi pomocna. To pewnie niezwykle, że zwracam się w tej kwestii w takich okolicznościach – widząc jej wyrozumiały uśmiech, zacząłem się jąkać i oblałem się rumieńcem – ale od dłuższego czasu poszukuję dobrego tłumacza. Czy byłaby pani w stanie podjąć się tej pracy w czasie ferii?

Teraz z kolei dziewczyna się zaczerwieniła. Przez chwilę zwlekała, wreszcie zwinęła czasopismo, odpowiadając spokojnie:

– Jeśli pan pozwoli, omówię tę kwestię z moim czcigodnym dana-san. Jutro wczesnym rankiem udaję się do domu.

W moim wnętrzu coś się skurczyło.

– Pani nie mieszka tutaj? Znalazła się tu pani przypadkiem?

Pokręciła głową.

– Zamieszkuję tutaj u wdowy Teruko, mojej starszej krewnej, ponieważ akademiki w Tokio są bardzo drogie. Codziennie jadę do miasta metrem i wracam wieczorem.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Najwidoczniej czekała, aż niewychowany biały, lekceważący wszystkie lokalne zwyczaje, pożegna się teraz uprzejmie. Ale mnie przyszło do głowy jeszcze jedno pytanie, bardzo odważne: kim może być ten dana-san, jej mężem? Nie zważając już na nic, ośmieliłem się na ostatni wypad:

– Byłbym wielce zobowiązany, szanowna pani, gdyby pani małżonek zechciał wkrótce odpowiedzieć na moje zapytanie skierowane do pani. Bardzo mi zależy na zatrudnieniu kompetentnego tłumacza.

Dziewczyna spuściła głowę, ale mojej uwadze nie uszło, że z trudem tłumi śmiech. Natychmiast jednak się opanowała.

– Czcigodny cudzoziemiec zaszczyca mnie, uważając za szacowną małżonkę – odpowiedziała trochę niewyraźnie. – Miałam jednak na myśli mojego ojca. Jest nauczycielem w szkole ludowej, która mieści się w dzielnicy portowej. Nazywam się Mori Yuriko.

Serce wróciło mi do normalnego rytmu. Ukłoniłem się.

– Wielkie dzięki, panno Yuriko. Zapamiętam pani imię bez względu na to, czy spełni pani moją prośbę, czy też nie.

– Bogowie zadecydują – odparła cicho.

Spojrzałem zdziwiony. Perfekcyjnie opanowała mój język, ale jej mentalność okazała się obca. Oby wszyscy bogowie Japonii właściwie pokierowali decyzjami ojca panny Yuriko.

– Farewell – powiedziałem ją na odchodnym.

– Sayonara – usłyszałem w odpowiedzi i domyśliłem się, że to pożegnanie, które wyszeptwała zatopiona w myślach.

Deszcz padał jeszcze mocniej, a ja zapomniałem włożyć zdjęty z głowy beret. Wydawało mi się, że pomimo deszczu zaświeciło japońskie słońce, odczuwalne, choć niewidzialne. Czyżby naprawdę ociepliło się nieco?

Przez chwilę zatrzymałem się niezdecydowany przed moim domem, a potem wszedłem do środka. Sato-san, kucharz, wręczył mi pocztę: trzy, cztery przesyłki z Nowego Jorku, prawie

wszystkie w sprawach handlowych i, o, to pewnie pierwsza odpowiedź na moje zapytanie skierowane do rektora uniwersytetu. Niegrzecznie zlekceważyłem uprzejmy ukłon Sato-san usłużnie pytającego, co życzę sobie zjeść na obiad. Taki pech! Co teraz zrobić? Znalazłem właśnie znakomitą tłumaczkę, a tu być może nadeszła konkretna oferta. Otworzyłem list.

Uniwersytet Sophia – Jochi-Daigaku-in . A więc od jezuitów. Zgodnie z europejską dynamiką i pośpiechem odpowiedzieli pierwsi.

Jeden z dziekanów odpisał uprzejmie, iż podjął próbę przejrzenia podań z zapytaniami o miejsce pracy dla tłumacza i ma nadzieję, że wybrał najbardziej odpowiednią osobę. Nie proponuje mi przyjęcia studenta w ramach ferii semestralnych, lecz raczej zatrudnienie młodego Japończyka, który właśnie odszedł z uczelni, ale to się opłaci obu stronom. Dokładnie tak jak poinformował mnie major! Proponuje kandydaturę zdolnego człowieka mówiącego płynnie po angielsku, Kioshiego Tanakę, który zadowoliliby się w zupełności skromnym wynagrodzeniem dla początkującego pracownika i zakwaterowaniem. W jego osobie miałbym obeznanego z zachodnią wiedzą współpracownika będącego ponadto od wielu lat zdeklarowanym chrześcijaninem.

Odłożyłem pismo.

Kioshi Tanaka już mnie nie interesował. Być może na wypadek, gdyby panna Yuriko odmówiła. Ale nie mogła odmówić, bo kogoś takiego właśnie szukałem. Kobiety mają znacznie lepszą intuicję, a poza tym nie zachowywała się tak formalnie i sztywno, jak większość spotkanych dotychczas Japończyków.

Niespokojnie krążyłem po gabinecie. A więc jej ojciec jest nauczycielem w szkole ludowej i to w dzielnicy portowej. Ta okolica znajdowała się w odległości pół godziny drogi od firmy, co nie stanowiło żadnej trudności dla kogoś, kto pracował w branży samochodowej. Gdyby tylko nie te japońskie ceremonie. Z pewnością niesłychane było już to, że ją w ogóle zagadnąłem. Pojechać prosto do jej ojca i krótko załatwić całą sprawę, to pewnie w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Pospieszyłem do Jima.

Jego twarz najpierw się wydłużyła, a potem rozciągnęła w uśmiechu, ale nie zważałem na to. Poklepał mnie uspokajająco po ramieniu.

– Co ci powiedziałem? Cierpliwość jest tu najważniejsza. Niczego nie należy przyspieszać. Zepsujesz tylko wszystko, jeśli postąpisz teraz jak Amerykanin. Już dawno się od tego odzwyczaiłem, no może z wyjątkiem spraw sercowych.

Gdy wymieniłem jej imię, podkreślając, że za wszelką cenę muszę zatrudnić pannę Yuriko w firmie, roześmiał się na cały głos.

– Człowieku, od razu zwróciłeś się do niej po imieniu?

Spojrzałem, nie rozumiejąc. Czy nie przedstawiła się jako Mori Yuriko? Jako imię żeńskie Mori brzmiało całkiem niezłe, choć biorąc pod uwagę łacinę, budziło skojarzenia ze śmiercią. Ale nie byliśmy na Zachodzie tylko w Japonii. Jim oświecił mnie, że tutaj imię wymienia się na końcu. Ja, na przykład, nazywam się Grane Donald. Nie ma co, ładnego strzeliłem byka. Zaraz jednak mnie uspokoił, że na pewno okaże wyrozumiałość!

Słuchałem osłupiały. Yuriko, to imię dziwnie smakowało mi na wargach. Jim dodał na pocieszenie, że tu prawie wszystkie imiona żeńskie kończą się na „-ko”, jeśli nie zostały skrócone.

– Co chcesz, Yuriko, wypowiedz je parę razy z rzędu, ale nie z takim grymasem, bo brzmi to jak gruchanie dzikiego gołębia. Gratuluję ci w każdym razie udanego połowu!

Porozumiewawczy błysk w jego oczach. Przywołałem się natychmiast do porządku, przyjmując poważną i surową postawę.

– To całkowicie i wyłącznie służbowa sprawa – zaprotestowałem energicznie. – Wypraszam sobie jakiegokolwiek insynuacje.

– Nic innego nawet mi przez myśl nie przeszło! – obruszył się Jim. – Tylko... sam musisz przyznać, że zaczęła się mało oficjalnie i dziwnie przypomina sposób, w jaki nasi dzielni wojacy rozglądają się za dziewczętami. – To powiedziawszy, oddalił się ze śmiechem.

Demonstrowanie złości mijało się z celem, umacniałoby jedynie mojego przyjaciela w jego przekonaniach. Fatalnie tylko, że nazwałem ją Yuriko. Ona w każdym razie, niczym prawdziwa dama udała, że nie dosłyszała.

Przez trzy dni nie ruszałem się na krok z willi, obawiając się, że przegapię ją lub jakiegoś posłańca. Na odgłos dzwonka bezceremonialnie odsuwałem na bok zdumionego syna Sato-san, którego zatrudniłem jako odźwiernego, i w konsekwencji wieczorem uroczystość musiałem go przeproszać za moje zachowanie. Męczyłem jego córkę uciążliwym gestykulowaniem, pytając, czy nie zjawił się już listonosz – a na koniec zostawiłem niedojedzony, bardzo starannie przygotowany posiłek. Jim wydzwaniał do mnie i robił kawały, więc odtąd – gdy się zgłosił – rzucałem słuchawkę na widelki.

Trzeciego dnia wreszcie się ktoś się zjawił.

Był to Kioshi Tanaka, który zgodnie z zachodnim zwyczajem przedstawił się, używając „właściwej” kolejności imion – niski, drobnej budowy młody człowiek w znoszonym garniturze z szarego tweedu, wydeptanych, zbyt dużych butach i o niezwykle inteligentnym, szczupłym obliczu, którego wieku nie dało się ocenić. W rzeczy samej, jego angielski okazał się jeszcze lepszy niż Yuriko, hm, panny Mori.

Słuchałem jego uprzejmych wywodów z wymuszonym spokojem. Przeczytałem też starannie napisany życiorys. Oczywiście nie zatrudnię go, zdecydowałem, ale wtedy zobaczyłem, że jest jedynym synem poległego podczas wojny oficera, ma pod opieką matkę oraz pięcioro rodzeństwa i – tu spojrzałem na niego zdumiony – zdobył już tytuł doktora z dziedziny gospodarki narodowej. Ponadto jest chrześcijaninem i liderem ruchu studenckiego na Jochi-Daigaku-in, Uniwersytecie Sophia, jak my go nazywamy.

Złościłem się potem na siebie, ale w takich wypadkach ponosi mnie odziedziczone po matce miękkie serce. Zgodziłem się.

Kioshi Tanaka prawie stracił twarz. Nie stawiałem żadnych warunków, nie żądałem dalszych negocjacji, nie chciałem żadnych dodatkowych referencji – nie do wiary. Z pewnością musiał zwątpić w moją poczytalność, chociaż na uniwersytecie usłyszał już pewnie niejedno o zachodniej mentalności, a szczególnie o amerykańskich dziwactwach. Jego pokłony zdawały się nie mieć końca, gdy zapewniłem go o zatrudnieniu na rok.

Gdy wreszcie poszedł, miałem uczucie, że po raz pierwszy w obcym kraju uczyniłem kogoś szczęśliwym – i to dzięki sprzedawanym samochodom. Kiedy natomiast pomyślałem o pannie Mori, poczułem silny niepokój. Pomimo tego świętowałem prawdziwy triumf, gdyż trzy dni później mogłem przedstawić Lesleyowi nowego tłumacza. Sam mógł się przekonać, że nie w głowie mi były miłostki! Zaskoczony Jim zapowiedział mi najgorsze katastrofy, jeśli ja, baran, zrobiłem nadzieję nauczycielowi ze szkoły ludowej na zatrudnienie jego córki i nie dotrzymałem obietnicy. Taki postępek Japończycy uważają za zamach na swoją cześć i nie zapomną go.

– Well, wobec tego zatrudnię oboje. Tyle tylko że do dzisiaj nie dał znaku życia, a minął już tydzień.

– Co w tłumaczeniu na japońskie pojęcia oznacza jedną chwilę. Przecież musi zasięgnąć języka o tym, komu powierza swoje dziecko.

Widząc rysujące się na mojej twarzy zdumienie, Jim się uśmiechnął.

– No tak! Myślisz, że wystarczy oszołomić Japończyków wielkim transparentem reklamowym i sypnąć dolarami, a rzuca ci się na szyję. Nie cieszymy się tu najlepszą opinią. Bądź zadowolony i czuj się zaszczycony, jeśli ojciec w ogóle wyrazi zgodę! Bo niby skąd ma wiedzieć, czy przypadkiem nie handlujesz nielegalnie dziewczętami? To już też przerabialiśmy. W gazetach nie brak czerwonych nagłówek. Oczekajmy i pijmy herbatę.

To pogłębiało jedynie moją desperację. W rezultacie będę miał dwoje tłumaczy i żadnego z nich nie będę mógł zwolnić ze względów prestiżowych.

Trzy dni później posłaniec dostarczył mi list od pana Moriego, w którym prosił mnie o złożenie mu wizyty. W rzeczy samej nie uchybiał sobie w niczym. A więc to ja miałem się zjawić u niego! Nie zastanawiałem się nawet dwóch minut, tylko rozbryzgując wodę w głębokich kałużach, ruszyłem w kierunku portu, nie powiadomiwszy nikogo, dokąd się wybieram. Nowego tłumacza zostawiłem w firmie, żeby się zapoznał z otoczeniem. Przecież Yuriko też będzie obecna i ona przejmie jego rolę.

Pytając o drogę, nieomal rozjechałem żandarma wojskowego w białym hełmie na głowie.

Zdziwiony poprowadził mnie przez płataninę uliczek, których nazw nigdy bym nie spamiętał. Okolice miejsca pracy pana Moriego nie zachęcały do częstych odwiedzin!

Dzielnice portowe są do siebie podobne na całym świecie. Wszystkie mają labirynt cuchnących zaułków, gdzie osiadły bieda i nędza. Jokohama natomiast przodowała w intensywnym zapachu ryb. Wzdrygnąłem się. Najwidoczniej mieszkańcy utrzymywali się wyłącznie z rybołówstwa. Dosłownie przedzierałem się przez rybie wyziwy. Było około południa.

Wreszcie stanąłem przed szkołą – barakiem o wybitych w połowie oknach, zastawionych tu i tam kawałkami tektury, stojącym pośrodku szarego placu, na którym nie rosło ani jedno źdźbło trawy.

Napotkane dziecko poinformowało żandarma rozumiejącego nieco japoński, że Mori-san mieszka w tylnej części baraku. Żandarm zasalutował i już chciał odejść, ale zapytałem go, czy przy wejściu należy zachować jakiś rytuał. Zaprzeczył.

– Nas to nie obowiązuje. Japońce już nas poznali. Wystarczy zapukać. Jeśli ktoś odpowie, znaczy to: „serdecznie witamy”. Ale – tu rozejrział się podejrzliwie wokoło – trzeba zachować dystans, panie Grane! Tu się roi od komunistów!

Uśmiechnąłem się uspokajająco. O czym on myślał! Ostatecznie pan Mori należał do klasy średniej. Na pewno nie dał się zaślepić bolszewizmowi! Gdy żandarm się oddalił, zapukałem do wypaczonych od wiatru drzwi.

Bez odzewu. Zapukałem głośniejsze. Milczenie. Zabębniłem pięściami. Cisza. Oczekałem chwilę, a gdy nikt się nie ruszył, obszedłem wokoło barak, próbując zaglądać do okien. Mieszkanie miało szyby z papieru, więc nie mogłem dostrzec śladu czyjejs obecności.

Przepełniony nieopisaną złością opuściłem miejsce zamieszkania ojca Yuriko.

Gdy wróciłem do domu, akurat zjawił się Jim. Słyszając moją relację, postukał się po czole.

– Dlaczego nie wysłałeś posłańca? Przecież nawet po otrzymaniu zaproszenia nie leci się tam od razu. Po co zatrudniłeś syna Sato? Mówiłem ci, że przyda ci się jeszcze zatrudniony personel.

Miał rację. Codziennie się czegoś uczyłem.

Syn Sato miał więcej szczęścia. Otrzymałem uprzejmą informację, aby zjawić się w któryś z następnych dni po południu i łaskawie przyprowadzić ze sobą tłumacza. Rozczarowany i ucieszony zarazem przyjąłem zaproszenie.

Wreszcie koniec formalności. Dawać mi tu Kiosiego Tanakę! Dobrze, że go zatrudniłem! Po drodze zapoznałem go z moimi oczekiwaniami co do mającego się odbyć spotkania. Na pewno chcę wyrażenia zgody. Kioshi zmieszał się nieco – to zbyt wysokie wymagania jak na pierwszy kontakt. No tak, ale miałem może negocjować do końca ferii semestralnych?

Uspokoił mnie. Jeśli rozmowa przebiegnie pomyślnie, cała sprawa jest wygrana. Pozostałe formalności nie zajmą już tak dużo czasu, zwłaszcza że nauczyciele szkół ludowych nie stoją najlepiej finansowo, a dana-sanpanny Mori z pewnością uzależniony jest od jej wsparcia, zwłaszcza gdy nie ma synów. Odebrało mi mowę, gdy wymienił kwotę poborów nauczyciela – i to w wypadku szkoły prywatnej, nie mającej żadnych państwowych subwencji. Najwidoczniej nie udało mi się spotkać z Mori-san, gdyż żeby przeżyć, po zakończeniu lekcji w szkole udawał się do pracy w porcie. No tak, aby prowadzić w Japonii szkołę, należało niewątpliwie kierować się niezwykłym idealizmem! A Yuriko? Czy i ona musiała pracować?

Kioshi przytaknął, najprawdopodobniej tak. Na przeludnionej wyspie nie mógł się utrzymać nikt, kto spożywał coś, czego nie potrafił zarobić własnymi rękoma. Moja kandydatka nie mogła wyczekać, aż zakończę negocjacje. Zarówno prości ludzie, jak i inteligencja, wykorzystywali każdy dzień. Wszyscy walczyli o przetrwanie.

Spuściłem z tonu. A więc to dlatego tyle próśb i zgłoszeń. Każda zmarnowana minuta oznaczała utratę zarobku. Przerażała mnie tylko jedna myśl – oby w tej sytuacji Yuriko nie podjęła zobowiązań gdzie indziej, co by spowodowało, że nasze zabiegi okazałyby się jedynie wymianą formalnych uprzejmości.

Gdy stanęliśmy przed drzwiami, Kioshi Tanaka zawahał się.

– Czy najczciodszy szef przyjmie od mojej skromnej osoby drobną sugestię?

Denerwował mnie sposób, w jaki się wyrażał.

– Proszę mówić prosto z mostu, Tanaka-san. Ucieszy mnie każda wskazówka. Co się dzieje?

Kioshim wstrząsnęła taka bezpośredniość.

– Być może czcigodny szef nie powinien wspominać, że ma już kogoś na stałe jako tłumacza.

Aha, japońskie poczucie godności! Każdy pragnął być jedynym i pierwszym. Obrzuciłem krytycznym spojrzeniem młodego człowieka, ale on ani mrugnięciem nie zdradził, że czułby się urażony gotowością szefa do zatrudnienia jeszcze jednej tłumaczki.

– Well, wobec tego zdaję się na pana. Proszę się tylko postarać sfinalizować sprawę. Nie musi się pan obawiać, zostaje pan u nas. Będziemy potrzebowali pańskich usług w obrębie firmy, natomiast panna Mori zostanie tłumaczką-sekretarką do mojej dyspozycji, gdyż uważam, że kobieta nie opanuje wszystkich niuansów związanych z pracą w naszej branży.

Czegoś się jednak nauczyłem. Twarz Kioshiego zajaśniała radością, zdradzając dziecinny rys pod z trudem skrywaną dumą.

Rozochocony podszedł do drzwi baraku i zapukał. Natychmiast rozbrzmiał odzew i zaproszenie do wejścia, po czym otwarto drzwi.

Ukazał się w nich wysoki, jak na Japończyka, szczupły mężczyzna odziany w błękitny dres pracownika portu, patrzący na nas głęboko osadzonymi oczyma, lecz obojętnie i bez wyrazu. Moja pierwsza impresja: maska no , nieprzenikniona, dziwnie staromodna, a jednocześnie sprawiająca wrażenie nowoczesnej i mającej wystąpić w nieznaney jeszcze sztuce.

Zaden mięsień nie drgnął na tej twarzy, która tylko dlatego nie odzwierciedlała żadnej miny, gdyż skóra zdawała się bezpośrednio oblekać wystające z policzków kości. Gdyby ten człowiek był buddyjskim mnichem, to pewnie uważałbym go za fanatycznego ascetę. Skłonił się, a Kioshi Tanaka rozpoczął w moim imieniu rozmowę. Z mojej strony wszystko, co mogłem zrobić, to także kilkakrotnie się ukłonić.

Mój tłumacz zwrócił się do mnie z zaproszeniem do wejścia, a Mori-san odsunął się nieco. Już się pochylałem, aby zdjąć obuwie, ale mój młody towarzysz zaznaczył, że nie jest to konieczne, więc ze zdziwieniem wkroczyłem do pomieszczenia urządzonego zupełnie na zachodnią modłę. Oczywiście po meblach widziało się, że miały za sobą wojnę i pewnie ze dwadzieścia lat już przed nią, lecz oprócz tego w pokoju stały dwa krzesła, na których dało się usiąść, okrągły stół, a w kącie znajome biurko z piętrzącymi się nań papierami. Jedynie bielone ściany zdawały się dziwnie nie pasować do reszty. Tu i tam na poszarzałym tle jaśniejsza plama, jak gdyby po wiszącym obrazie. Jednym spojrzeniem ogarniało się wszystko. Dylowana podłoga skrzypiała. Surowych desek nawet nie pomalowano. Odgłosu kroków nie tłumił żaden dywan ani mata tatami.

Wreszcie usiedliśmy, po raz pierwszy naprzeciw siebie. To jednak, co początkowo z ulgą odczułem jako zachodnią atmosferę, okazało się później pułapką. Zmieszałem się, widząc zupełnie innego Japończyka, niż się spodziewałem, najwidoczniej obytego w kontaktach z białymi ludźmi i umiającego się przystosować. Udzielał odpowiedzi szybko i nie zwlekając. Zmierzał do celu zupełnie w naszym stylu. Ten człowiek doskonale wiedział, czego chce. W ciągu dziesięciu minut, zadając zręczne pytania dowiedział się tego, o czym ja właściwie nie miałem mu zamiaru mówić: o sprawach związanych z firmą, które obchodziły jedynie mój „sztab”. Ale ostatecznie, skoro się zainteresował, po co miałem odgrywać zamkniętego w sobie milczka. Nie zobowiązywała mnie tajemnica wojskowa.

Zirytowały mnie natomiast pytania niemające wiele wspólnego z planowanym zatrudnieniem jego córki: czy zamierzam zostać na stałe, czy zaplanowałem tylko kilka lat na moneymaking .

Czy mam zamiar dalej zatrudniać japońskich pracowników i kształcić ich w branży. Czy ograniczę działalność handlową do Honsiu, czy rozciągnę ją na pozostałe trzy główne wyspy archipelagu. Czy długo zajmuję się już eksportem i czy ogranicza się on do określonych krajów i których...

W chwili, gdy już miałem okazać rozdrażnienie, Mori-san przerwał przesłuchanie i po raz

pierwszy się uśmiechnął. W tym dziwnie sztucznym uśmiechu zdawały się nie brać udziału jego nieruchome, czujnie przyglądające się mi oczy.

– Moja córka, kamień spadł mi z serca, nie zobowiązała się gdzie indziej. Jeśli pan, Granesan gotowy jest spełnić dwa warunki, udzielię zgody na to, żeby Yuriko podjęła pracę w pańskiej firmie zasadniczo podczas swoich ferii. Do uzyskania dyplomu ma jeszcze trzy lata studiów.

Uśmiech zgasł jak zdmuchnięty płomień.

– Moje warunki brzmią następująco: Yuriko dalej będzie mieszkać u swojej ciotki Terukosan. Towarzyszyć będzie panu tylko w podróżach jednodniowych. Zachowa pełną swobodę co do stałego kontaktu ze mną.

Tylko tyle? Natychmiast odzyskałem pewność siebie i już chciałem zaakceptować warunki, ale dojrzałem ostrzegawcze spojrzenie Kiosiego. Jak gdyby chodziło o drugorzędne stwierdzenie w tłumaczeniu, dodał z uśmiechem: „Nie zobowiązywać się, spisać umowę!”. Podporządkowałem się jego wskazówce, prosząc, aby poinformował Mori-san, że za kilka dni prześlę stosowny dokument, który po przejrzeniu i zaakceptowaniu może podpisać w imieniu córki.

Mori-san spuścił na chwilę wzrok, ale ani mrugnięciem nie zdradził, o czym myśli. Potem wstał i odwzajemnił zwykle formuły grzecznościowe. Wydały mi się one znacznie oszczędniejsze niż u pozostałych Japończyków, na przykład Sato-san przyjmował mnie zawsze tuzinem pozdrowień. Ale ten mężczyzna nie był moim służącym. Zachował się jak równy urodzeniem, ktoś, kto przywykł do rozkazywania i prowadzenia interesów.

Dziwnie wstrząśnięty i upokorzony stanąłem przy drzwiach, spoglądając na szary pusty plac. Kioshi Tanaka przyglądał mi się w milczeniu, przyzwyczajony nie odzywać się do szefa, dopóki on się do niego nie zwróci. Ale ja nie powiedziałem ani słowa do momentu, gdy znaleźliśmy się w samochodzie. Wtedy zapytałem:

– Z jakiego powodu ta kolejna zwłoka, Tanaka-san?

Mój tłumacz zawahał się przez chwilę, a potem odparł:

– Czcigodny szef miał zamiar przyjąć bardzo osobliwe żądanie.

– Które to?

– Łaskawy Mori-san życzył sobie pozostawać w stałym kontakcie z córką.

Uśmiechnąłem się ironicznie.

– To przecież oczywiste. Jest jej ojcem i nie chce jej stracić z oczu. Poza tym to młoda osoba i być może aż nadto urodziwa.

Kioshi spojrział na mnie, ale się nie odezwał. Wreszcie nie wytrzymałem:

– Co się dzieje, Tanaka-san? Proszę się nie obrażać, jeśli robię coś, co według pańskich wyobrażeń może uchodzić za nieprzyzwoite. Nie jestem Japończykiem. Jakie wątpliwości mogły się panu nasunąć przy tym nieszkodliwym żądaniu?

Odpowiedź młodego człowieka sprawiła, że prawie straciłbym panowanie nad kierownicą:

– Mori-san to komunista.

Udało mi się opanować auto i w szybkim tempie wyjechaliśmy z ponurej dzielnicy portowej.

– Nonsens, Kioshi! Skąd to przekonanie?

– Proszę czcigodnego chef-san, aby stale zwracał się do mnie Kioshi. Chcę się okazać godnym jego zaufania. To moje życzenie.

– Dobrze, Kioshi, darzę pana zaufaniem, nawet jeśli żywione przez pana obawy wydają mi się śmieszne. Skąd to absurdalne przypuszczenie?

– Mori-san jest nauczycielem w szkole ludowej, a prawie wszyscy nauczyciele ludowi należą do czerwonego zrzeszenia pedagogów Nikkyoso.

– To nie posyłałby swojej córki do – zachichotałem – zachodniego kapitalisty.

– Czcigodny szef wybaczy, ale jestem odmiennego zdania.

– Tu nie trzeba niczego wybaczać, Kioshi, tylko nie bardzo mnie to przekonuje. Potrzebuję dowodów.

– Mori-san zadawał pytania daleko wykraczające poza ojcowską troskę o córkę.

To się zgadzało.

– Jest nowoczesnym człowiekiem, otwartym i zainteresowanym odbudową kraju.
– Posłał jedyną córkę na uniwersytet uważany w znacznej mierze za skłaniający się ku komunizmowi.

– Co takiego? Kyoiku-Daigaku-in ma komunistyczne tendencje?

Kioshi przytaknął.

– To znana sprawa. Ponadto należy wziąć pod uwagę, że Mori-san stracił podczas wojny jedyne syna. Teraz wszystkie nadzieje koncentruje na najmłodszej córce. Zostali sami i zdani są tylko na siebie. Matka zginęła podczas nalotu bombowego na port, może więc wychowywać dziewczynę według swoich przekonań. Starsza córka żyje na wyspie zamieszanej przez rybaków położonej z dala od zatoki.

– Skąd te wszystkie wieści?

– Pozwoliłem sobie zasięgnąć informacji dla czcigodnego chef-san.

– Doskonała robota, Kioshi, ale nie przekonał mnie pan. Nawet jeśli jest komunistą, a my jesteśmy współwinni, że w jego kraju niejedno jest tak, że ma powody nim być, to jego córka w żadnym wypadku nie sprawia wrażenia komunistki.

– Być może czcigodny chef-san ma wyobrażenia ze swojego kraju.

To było możliwe. Mój szacunek dla młodego doktora gospodarki narodowej wzrósł. Myślał logicznie i nie poddawał się emocjom. Tylko...

– No dobrze, jest młoda. Teraz dostanie się pod wpływy Zachodu, więc coś będzie się dało zrobić. Nie obawiam się tego nauczyciela ludowego. Liderzy komunistyczni wyglądają nieco inaczej.

– Mori-san należy od inteligencji.

– Właśnie dlatego, komunizm zwraca się do prostego ludu.

– Mori-san pracuje pośród ludu, pomiędzy robotnikami portowymi.

Miałem wrażenie, że Kioshi rozgrywa ze mną partię szachów, zbijając po kolei moje figury.

– Jak słyszałem, musi zarabiać na chleb. Nigdy nie zostanie prawdziwym robotnikiem, a w konsekwencji przekonany komunistą. Gdy sytuacja gospodarcza się poprawi i zarobki wzrosną, to być może stanie się niezłym demokratą.

Kioshi uśmiechnął się lekko.

– Czcigodny chef-san nie dostrzega, że nasza partia komunistyczna została zmuszona do pójścia inną drogą niż w jakimkolwiek innym kraju. Ze względu na opozycję do rządu oraz prawa uważane przez każdego Japończyka za święte, stracili w ostatnim czasie prawie wszystkie miejsca w parlamencie. Władza okupacyjna rozprawiła się z organizowanymi przez nią dzikimi strajkami, przy czym aresztowano przewodników. To sprawiło, że komunizm stracił twarz pośród prostego ludu.

Przytaknąłem.

– Well, wobec tego wszystko jest okay! Czego możemy chcieć więcej?

– Komuniści zeszli do podziemia. Zainteresowali się w pierwszym rządzie niezadowoloną inteligencją, wolnomyślicielami niezwiązanymi z Tenno, rządem i prawem, a mającymi ciągotki anarchistyczne, i tu usadowieni oddziałują na lud poprzez szkoły.

Dojechaliśmy do naszej firmy. Zwolniłem tempo jazdy, nie potrafiłem też odpowiedzieć na argumentację Kioshiego. W rzeczy samej, w tym kraju wszystko okazywało się inne, nawet komunizm. Mój tłumacz przeszedł dobrą szkołę, to się widziało. Dostrzegał też istotną słabość Zachodu. Powoli docierało do mnie, że w żadnym wypadku nie wolno mi zwolnić tego cennego współpracownika, i to nawet wtedy, gdy Yuriko zapozna się już ze swoimi obowiązkami.

Zaparkowałem samochód. Kioshi wysiadł i chciał się udać w kierunku baraków.

– Chwileczkę, Tanaka, sorry, Kioshi! Potrzebowałbym pana jeszcze. Proszę ze mną do willi. Musimy opracować umowę.

Siedzieliśmy nad nią kilka godzin, opróżniając niejedną filiżankę herbaty. W efekcie Kioshiemu udało się mnie przekonać i wyraziłem zgodę, aby Yuriko utrzymywała kontakt z ojcem jedynie poza godzinami pracy. Tego nie mogłem jej zabronić. Nie dodałem natomiast uwagi, że moi pracownicy mają się wystrzegać wszelkiej aktywności politycznej, choć Kioshi obstawał przy niej z właściwym sobie uprzejmym uporem. Nie zatrudniałem dyplomaty, tylko skromną studentkę,

prawie dziecko. Jeśli Mori był nieszkodliwy, to tego rodzaju klauzula tylko by go doksztąpiła. Uprzejmość Kiosiego nie pozwalała mu na dłuższy sprzeciw. To przecież nie on, tylko ja byłem szefem firmy.

– Jeśli w tej umowie popełniliśmy jakiś błąd – oznajmił, gdy podałem mu gotowy do przetłumaczenia i wysyłki dokument – to Mori-san natychmiast go podpisze.

Zaraz następnego dnia zjawił się posłaniec nauczyciela z dzielnicy portowej, przynosząc zawartą umowę. Mori-san kilkoma zdecydowanymi pociągnięciami pędzelka umieścił na niej japońskie znaki swojego imienia. Kioshi spojrzał na mnie z powagą i zatroskaniem, ale wyśmiałem go. Po co tyle zachodu z zatrudnieniem małej Yuriko, studiującej namiętnie nasz „Life” i z pewnością wytężającej umysł, aby znaleźć możliwe dla niej do zaakceptowania powiązanie zachodniej i wschodniej mody.

Kioshi uklonił się bez słowa i poszedł.

*

Oczekiwałem na Yuriko Mori.

Gdy przyszła i z uśmiechem stanęła w drzwiach, wszystko, co powiedział mi Kioshi, uznałem za twór wybujałej fantazji. Yuriko, w czarującym blasku dziewiętnastu lat, chłopcę szczupłą w czarnych spodniach Manchester i jeszcze bardziej urokliwa dzięki lekkiemu zakłopotaniu spowodowanemu koniecznością usprawiedliwienia studenckiego ubioru – choćby po stokroć była córką zatwardziałego wroga kapitalistów, który z konieczności stał się komunistą, nie z jego dziedzictwa nie przeszło na nią. To uważałem za pewne.

Gdybym tylko wiedział, że to bieda skłania ją do ubierania się po chłopięcemu. Para prostych spodni nie zwraca takiej uwagi jak eleganka konfekcja damska, z taką tęsknotą podziwiana w salonach mody przez młode Japonki. Od czasów wojny ludność, również i żeńska, przywykła do korzystania z prostych ubiorów. Młode robotnice, dziewczęta ze wsi i nieco ekstrawaganckie studentki zachowały ten styl z praktycznych powodów. Gdybym przeczuwał, że również Yuriko ubiera się nie po kobiecemu ze względu na ubóstwo, to zamiast zadatku podarowałbym jej całą miesięczną pensję.

Mój błąd dostrzegłem dopiero wtedy, gdy na początku miesiąca wręczałem jej premię za nadgodziny, a następnego dnia zjawiała się w zwiewnej letniej sukience, promieniejąc radością i wyjaśniając, że od tej chwili spodnie spoczęły w szafie aż do rozpoczęcia zajęć na uczelni.

– Czcigodny chef-san nie powinien mieć złego wyobrażenia o japońskiej kobiecie! – poinformowała mnie, czerwieniąc się aż po korzonki ciemnych włosów. Mogła być spokojna, nie miałem o niej złego zdania. Nieomal musiałem się strzec, żeby wręcz nie podziwiać wszystkiego, co jej dotyczyło: bystrej pojętności, zdolności przystosowania się, taktu oraz bycia pod ręką, właśnie wtedy, kiedy chciało się ją przywołać.

Niepotrzebny okazał się dłuższy okres przejściowy związany z wprowadzeniem jej w obowiązki. Jeśli na wykładach wykorzystywała tylko połowę swoich talentów, to zdanie egzaminów nie nastroży jej w przyszłości żadnych trudności. To co podczas przerw w pracy opowiadała mi o sytuacji w domu, brzmiało tak niewinnie – dla owdowiałego ojca stanowiła jedyną pociechę w szarej codzienności – że złościłem się wręcz na Kioshiego, który przyprawił mnie o skrupuły. Jeśli tylko odczuwała taką potrzebę, mogła zaraz jechać do dzielnicy portowej. Za zgodą ojca nauczyła się pod moim okiem prowadzić samochód. I w tym względzie pojęła wszystko w bardzo krótkim czasie. Nie przejmowałem się kąśliwymi uwagami Jima Lesleya na temat nowej relacji pomiędzy szefem i tłumaczem. Nie poczułem się urażony, gdy Kioshi oddał się do dyspozycji pozostałych współpracowników.

Chciałem jak najlepiej wykorzystać te kilka miesięcy, kiedy tak dobrze pracowało mi się z Yuriko. Zabierałem ją ze sobą prawie wszędzie, nawet gdy składałem prywatne wizyty w Tokio. Stopniowo musiałem też przyznać, że coraz trudniej przychodzi mi wyobrażenie, że poradzę sobie bez niej. Yuriko od razu polubili także moi znajomi i gratulowali mi najnowszego nabytku mojej młodej firmy. Czy w oczach majora nie przebłyskiwały szelmowskie iskierki, gdy mnie ostrzegał, żeby tłumaczka nie stała się dla mnie powodem choroby menedżerskiej, gdyż najwidoczniej uparłem się, aby w ciągu roku rozkręcić biznes na skalę światową?

Miał poniekąd rację. Nie wychodziłem z pracy. Nagle wszystko stało się „ściśle służbowe” – wizyty z Yuriko w tokijskiej dzielnicy rządowej, zakupy na Ginza, odwiedziny partnerów handlowych w podmiejskich dzielnicach czy poszukiwanie późnym wieczorem rozrywki w Asakusa!

Oczywiście do Asakusa przestało mnie wkrótce ciągnąć, gdyż jako biały mężczyzna czułem się skrępowany. Zarówno Yuriko, jak i ja wiedzieliśmy doskonale, co się tam dzieje w pewnych barach i lokalach nocnych. Yoshiwara, dzielnica domów publicznych, została zniszczona podczas wojny, a ustawodawstwo amerykańskie dopełniło reszty. Nie było już uwięzionych za kratami dziewcząt-kwiatów. Za to Asakusa stała się aleją występku, niechronioną żadnymi barierami ani prawem. Co się tam widziało na słupach ogłoszeniowych, czytało na krzykliwych plakatach i słyszało rozbrzmiewające z głośników, było hańbą Zachodu, jaka spadła na Japonię niczym zaraza.

Nie żeby przedwojenny Nippon nie znał występku – egzystencja Yoshiwary była aż nadto

wymowna – ale nie szerzył się publicznie, na oczach dzieci i młodzieży. Nie wabił nieświadomych wyuzdaną reklamą.

Cichłem, im głośniejszy i jaśniejszy rozciągała się przede mną aleja rozrywki, im ciasniej otaczały mnie nieprzeliczone tłumy białych i żółtych.

Odczułem to nieomal jako wyzwolenie, gdy Yuriko delikatnie pociągnęła mnie za rękaw, pytając z uśmiechem:

– Kwannon-Sama, czy mogłabym ją krótko nawiedzić?

Pogańska, wieloreka bogini miłosierdzia, „łaskawie słuchająca wezwań o pomoc”, jak nazywają ją Japończycy, miała miniaturową świątynię na wielkim wypalonym kole ogromnego, słynnego na całym świecie sanktuarium Kwannon. Nagle, gdy Yuriko odeszła na chwilę, aby kupić kadzidelka, zapalić je od płomienia ofiarnego i zanieść do świątyni, poczułem w sercu palący mnie wstyd. Przypomniałem sobie pytanie Kiosiego, czy na nowej posadzie może mieć pewność, że w niedzielę będzie mógł uczestniczyć w chrześcijańskiej liturgii. Przytaknąłem obojętnie, to przecież oczywiste, i przeszedłem nad tym do porządku dziennego. Później nie zapytałem już, gdzie znajdę najbliższą świątynię mojego wyznania.

Teraz, gdy obserwowałem Yuriko, jak trzykrotnie klaszcze w dłonie, aby zwrócić uwagę bogini na modlitwę i dar ofiarny, a potem nabożnie skłania głowę, postanowiłem wkrótce nadrobić moje zaniedbanie. W drodze powrotnej mijaliśmy park Hibiya. Zobaczyłem zgromadzony tam tłum i uznałem go za członków sekty słuchającej wywodów kaznodziei, który na angielską modłę produkował się w miejscu publicznym. Potem podniosłem wzrok i nad głowami kobiet, dzieci, a także licznie zgromadzonej młodzieży dostrzegłem czerwone flagi z jasnymi, białymi znakami. Zaświtało mi w głowie. Zapytałem. Yuriko przytaknęła z uśmiechem.

– Tak, oczywiście, komuniści. Żyjemy przecież w demokratycznym państwie! Tokuda-san zorganizował wiec. Ma znakomitych mówców. Chce pan posłuchać, chef-san? Przetłumaczę wszystko.

Powiedziała to z takim uśmiechem, jak gdyby zapraszała mnie na jakieś wesołe jarmarczne przedstawienie.

Nie, nie miałem najmniejszej ochoty przeżywać komunizmu w wydaniu japońskim. Jedno spojrzenie na twarde, wynędzniałe twarze zebranych kobiet robotnic i fanatyczne rysy trzymających transparenty mężczyzn, powiedziało mi aż za wiele.

– To wszystko studenci – wyjaśniła Yuriko, nie bez dumy wskazując na młodzieńców o długich zmierzwionych czuprynach artystów powiewających flagami oraz na doshis, młode komunistki ubrane w spodnie i czerwone bluzki.

Ruszyliśmy szybko dalej. Zatrzymałem się przy następnej herbaciarni i posililiśmy się. Był to mały lokalik urządzony w tradycyjnym stylu. Po raz pierwszy nie przeszkadzało mi siedzenie na ułożonych na podłodze poduszkach i spożywanie potraw z małych tac z laki podawanych usłużnie przez dziewczęta w kolorowych jedwabnych kimonach. Typowo japońskie otoczenie uspokoiło mnie, a jednocześnie wmawiałem sobie, że to, co zobaczyłem na zewnątrz, to tylko jakieś koszarne widmo, które wkrótce zniknie; tutaj zaś mam do czynienia z prawdziwą Japonią. Spojrzałem na Yuriko zręcznie posługującą się pałeczkami i jedzącą z taką gracją, że poczułem się przy niej niezgrabny niczym Guliwer.

Kiedy w maleńkich porcelanowych filiżankach podano ciepłą sake, odważyłem się zapytać bez ogródek:

– Yuriko, jakie jest pani zdanie na temat komunistów?

Pozwoliła mi zwracać się do siebie po imieniu, gdyż raz już popełniłem gafę z zamianą imion. Nieomal ze strachem rozejrzała się wokoło, jak gdyby podsłuchiwał nas ktoś z obsługi. Wyglądało na to, że nie chciała, by przypadkiem uważano ją za taxi-girl bogatego Amerykanina.

Niczym dziecko pytane o to, czy wierzy jeszcze w zająca wielkanocnego, spojrzała na mnie swoimi błękitno-czarnymi oczyma.

– O, chef-san, czy nie wie pan, że komuniści zaspokoją kiedyś głód ludzi ubogich?

Nie spodziewałem się usłyszeć w odpowiedzi takiej riposty.

– Ależ, Yuriko, czy Amerykanie nie robili tego przez tyle lat? Nie słyszała pani o

gigantycznych akcjach pomocy?

Moja rozmówczyni przytaknęła:

– O tak, ale wiem także, że zwycięzcy zamknęli granice, nie pozostawiając żadnej możliwości emigracji. Gdyby czcigodny chef-san nie odkrył mnie, nie byłabym teraz w tak szczęśliwym położeniu, mogąc trzy razy dziennie spożywać ciepły posiłek. Czcigodny Grane-san jest naprawdę wspaniałomyślnym gajjinem.

Gajjin znaczyło „cudzoziemiec”, tyle się już nauczyłem. Ale teraz pojęcie to wydało mi się oceną. Zarumieniłem się.

– A więc głodowała pani, Yuriko, zanim zaczęła pracować u mnie?

Teraz na jej szczupłej, urodziwej twarzy pojawiło się coś z uśmiechu jej ojca. Nie uczestniczyły w nim oczy, pozostawały martwe i bez wyrazu.

– Wszyscy głodują, profesorowie i studenci. Prawie nikt nie może sobie pozwolić na więcej niż garść ciepłego ryżu raz dziennie. Wszyscy idą dodatkowo arbeits, wieczorami, nocami, sypiając tylko po parę godzin. Arbeits, arbeits, inaczej nie da się przeżyć.

Nie zrozumiałem obcego słowa, więc wyjaśniła mi. Rzecz znamienna, ale już dawno temu przejęto je z niemieckiego.

Jak tam teraz było, podczas gdy my siedzieliśmy w przytulnym pawilonie, roztrząsając po raz pierwszy kwestie polityczne?

– I wydaje się pani, Yuriko, że to jest przyczyną zrodzenia się komunizmu?

– Głód, owszem, tak! – odparła po prostu. – Na pierwszym miejscu. Daje się wiarę temu, kto obiecuje zaspokojenie go. W Rosji też mówią arbeits i syty jest nie tylko pracodawca, lecz także wielu pracujących dla niego. Nasz naród też tego oczekuje: ryżu dla mas.

Powiedziała to wszystko z takim uśmiechem, i to delikatnym, kobiecym głosem, że poczułem się nieswojo, po czym upiła nieco ze swojej filiżanki. Sake uderzała do głowy, choć piła się ją w tak niewielkich ilościach.

Przyjrzałem się Yuriko, była zbyt urodziwa, żebym poczuł surowość kryjącą się w jej słowach.

– A więc tego uczą na Kyoiku-Daigaku-in? – spytałem żartobliwie.

– O, jeszcze wielu innych rzeczy – wyjaśniła z dziecięcym zapałem, zachwycając mnie swobodą, z jaką podjęła ten niebezpieczny temat. – Mówią też, że skończy się wiekowe zniewolenie kobiet!

Wzniosłem toast.

– Skoro w tym zniewoleniu wyrosły takie kobiety jak pani, to nie mogło być ono tak ciężkie.

Skloniła się lekko, gdyż ją pochwalilem.

– Jestem niezamężna – powiedziała – więc moje życie może się potoczyć zupełnie łatwo, jeśli dostanę dobrą pracę jako nauczycielka w Postgraduate School. W szkole ludowej trzeba głodować. Ale gdy wyjdę za mąż... – zamilkła.

– Tak, Yuriko. Co wtedy?

Westchnęła.

– Życie jest bardzo ciężkie, słuchać i być posłuszną mężczyźnie, którego rzadko można sobie wybrać samej. I wiele dzieci, które przyjdą na świat, które się kocha, ale nie można ich wyżywić, umiera.

Ująłem ją za rękę.

– A jeśli wyszłaby pani za, hm, gajjina, Yuriko? Czy musi to koniecznie być Japończyk?

Tylko przez chwilę można było zauważyć, że jest skonsternowana. A potem padła spokojna odpowiedź:

– Rzadko się zdarza, że cudzoziemiec poślubia córkę Nipponu, natomiast często się słyszy, że gajjin unieszczęśliwia japońską dziewczynę, to zwyczaj apera-guera.

Spojrzałem na nią pytająco, znowu określenie niebędące ani angielskie, ani japońskie.

– To znaczy après guerre, zapożyczyliśmy je z francuskiego i nieco zmieniliśmy.

Musiałem się uśmiechnąć – przed chwilą słowo niemieckie, teraz znowu francuskie.

Najprawdopodobniej komunizm też mógł być tylko hasłem zaczerpniętym od Rosjan.

Niestety, miała jednak rację, co do sposobu postępowania naszych sił okupacyjnych.

– Wcześniej – jej słowa brzmiały prawie jak usprawiedliwienie – zdarzało się jedynie, że gejsza darzyła obcego mężczyznę niespełnioną miłością. Dziś doświadcza tego każda dziewczynka.

– A gdyby kiedyś doszło do happy endu? – odważyłem się zapytać.

– W zeszłym tygodniu amerykański oficer popełnił samobójstwo razem z japońską dziewczyną – brzmiała odpowiedź – i tak się to skończyło.

Potem zamilkła, a ja nie wiedziałem, czy ostatnie słowa to tylko ironia, czy rzeczywiście wspomniała o życiowej tragedii dwojga ludzi. Zjawiała się obsługująca nas dziewczyna w kimonie, przynosząc kolejną czarzkę sake. Podziękowałem gestem ręki, gdyż musieliśmy już jechać.

W samochodzie zdobyłem się na odwagę i zapytałem, co na temat komunizmu sądzi jej ojciec. Patrzyła prosto przed siebie, jak gdyby przyglądała się jezdni.

– Mój czcigodny dana-san próbuje nauczyć dzieci międzynarodowego pisma, aby mogły opanować świat obcych.

Wreszcie udało mi się przyłapać moją dzielną tłumaczkę na pomyłce językowej. Chciała pewnie powiedzieć „nauczyły się rozumieć”.

– To dobrze! – zgodziłem się szybko. – Uczenie się tylu znaków japońskiego pisma musi być bardzo trudne.

Jej twarz rozpogodziła się w uśmiechu.

– Tak, dziecko kończące szkołę ludową musi opanować tysiąc pięćset kanji . Aby studiować na uniwersytecie, trzeba się nauczyć dziesięciu tysięcy dalszych.

Pożegnałem się z jakimikolwiek chęciami podjęcia trudu zrozumienia japońskiego pisma. Ale życzliwie oceniłem jej ojca. Faktycznie robił coś użytecznego, takiego człowieka Zachód mógł potrzebować. Próbował przez pismo przygotować porozumienie. Yuriko dyplomatycznie obeszła moje nieuprzejme, bezpośrednie pytanie. Już wcześniej zauważyłem, że Japończycy niechętnie odnoszą się do naszego nieokrzesanego sposobu dowiadywania się o cokolwiek. Ciekawskie pytania oceniali po prostu jako brak taktu.

Postanowiłem, że nie poruszę już tematów związanych z polityką, jeśli nie zajdzie ku temu bezwzględna konieczność. Co moja firma mogła mieć wspólnego z polityką na świecie?

Ale czuło się, jakby wraz z pojawieniem się Yuriko prosperowała lepiej. Codziennie przybywali nowi klienci, wielu dzięki jej osobistemu pośrednictwu. Przyjaciele i znajomi, mówiła. W przeciągu tygodnia sprzedałem więcej samochodów niż zwykle przez miesiąc. Nie bez znaczenia okazała się też swobodna i pewna siebie postawa Yuriko prezentowana podczas rozmów, a także jej kobiecy urok, któremu ulegali nawet najbardziej ostrożni kupcy, składając w efekcie zamówienie.

– Szkoda – westchnęła kiedyś, gdy z Osaki, a więc z daleka, zjawił się zamożny handlarz jedwabiu, nabywając nowego forda – szkoda, że tylko bogaci mogą się cieszyć możliwością zakupu dobrych, zagranicznych pojazdów. Prości ludzie stoją na poboczach i schodzą z drogi.

W jej głosie słychać było tyle żalu, więc zapytałem, czy nie wystarczy, że oferujemy również używane samochody i jeepy po najniższych cenach.

– Dobro jest dla mas, a nie to, co mniej wartościowe – oceniła, ale zaraz przeprosiła, gdyż dostrzegła, że się czerwienię.

– A jak udostępnić masom to co dobre, nie szkodząc sobie samemu? – zapytałem poirytowany.

Nie zastanawiała się ani chwili. Wydawało się nawet, że czekała na ten sprzeciw. Z najbardziej uroczym uśmiechem wyjaśniła.

– Czcigodni cudzoziemcy wprowadzili system wynajmowania całych domów zamiast ich kupowania. Czy z samochodami nie da się zrobić podobnie?

Zatkało mnie – wypożyczanie samochodów – oczywiście! Tego nam brakowało. Najchętniej bym ją uściskał.

– Znakomicie, Yuriko! – zawołałem. – Jak pani na to wpadła? Natychmiast porozumiem się z zarządem firmy. Tym sposobem nawet prosty człowiek doświadczy przyjemności zapoznania się z dokonaniem Zachodu.

– To nie mój pomysł – przyznała skromnie. – Zapytał mnie o to mój szacowny dana-san, a ja obiecałam, że poruszę ten temat.

Patrzyłem na jej ojca z coraz większą sympatią. Gdyby miał zamiar na komunistyczną manierę podjudzać robotników przeciwko kapitalistom i Zachodowi, to przecież nie proponowałby tak pojednawczego wyjścia im naprzeciw i budowania porozumienia.

Wypożyczalnia samochodów dostarczała ponadto znakomitej reklamy. Docierałem nie tylko do wyższych warstw społecznych. Należało jedynie pogodzić się z niewielkim ryzykiem, że kilka samochodów ulegnie szybszemu zużyciu. Ale cały system sprawdził się już w Nowym Jorku. Że też nie przyszło mi to do głowy!

Co za głupiec z tego Kioshiego, że ostrzegał mnie przed Mori-san!

Pobiegłem zaraz do biura, żeby omówić kwestię z Lesleyem. Był przy tym również Tanaka.

Jim zaraz się rozochocił:

– Jasne! Twoja laleczka rozwija się jak trzeba, i to w kraju, w którym kobiety przez całe stulecia nie miały nic do powiedzenia!

Kioshi spojrział na nas, a następnie zapytał ostrożnie:

– Czy szanowni panowie zdają sobie sprawę z tego, że tym samym powierzają większą część produkcji nieznanym osobom, których językiem nie władają i których zamiary nie są im znane?

Spojrzeliliśmy po sobie. Nie ma co! Kioshi nie zawahał się wyrazić negatywnej opinii o swoich rodakach. Jak na Japończyka rzecz zupełnie niezwykła!

Jim zaoponował:

– Chyba nie spadną na nas sami gangsterzy! Jako nasz tłumacz i znawca współziomków musi pan mieć dla nas i za nas oczy otwarte, Kioshi-san!

– Nie jest to w żadnym wypadku komunistyczny pomysł – zatryumfowałem.

Kioshi chciał coś powiedzieć, ale miałem już dość jego nieufności i sceptycyzmu.

Wykonałem gest ręką, o którym każdy w firmie wiedział, że oznacza nieodwołalną decyzję.

– Załatwione! Jeśli wiąże się z tym jakieś ryzyko, to biorę je na siebie. Osobiście odpowiadam za to, co się stanie, nikt inny.

Kioshi skłonił się.

Okazywanie posłuszeństwa to wrodzona cecha Japończyków. Tanaka nie sprzeciwiłby się nawet wtedy, gdy miałoby to kosztować głowę. Ale o tym dowiedziałem się dużo później.

Po dłuższej chwili podszedł do mnie i zapytał, jak gdyby nic się nie stało:

– Czy czcigodny chef-san zamierza pożyczać samochody wszystkim bez wyjątku, nie biorąc pod uwagę wykonywanego zawodu?

Zmarszczyłem czoło.

– Oczywiście, Kioshi! Nie możemy przecież zatrudnić jeszcze detektywów.

– Myślałem o czym innym. Czy byłby pan tak łaskawy i za niewielką opłatą wypożyczył samochody również misjonarzom?

Gwizdnałem przez zęby – o to chodziło! Uśmiechnąłem się, podziwiając jego wytrwałość. Nie rezygnował z zamiaru zapoznania mnie ze swoimi profesorami z Uniwersytetu Sophia.

– Well, Kioshi! W niedzielę możemy pojechać do jezuitów. Nie mam nic przeciwko temu, żeby przy okazji zrobić coś dla misji.

Tanaka nie mógł zaprzestać dziękczynnych pokłonów, jednak z tych szlachetnych zamiarów niewiele wynikło.

W niedzielny poranek, jak już zdarzało się wcześniej, zamiast w łóżku znalazłem się na podłodze. Nagłe drgnięcie skorupy ziemskiej tak nieszczęśliwie wyrzuciło mnie z pośłania, że zwiczniałem sobie rękę. Miałem zbyt mocny sen, Japończycy zrywali się natychmiast i zaraz się ubierali. Chociaż przywykli do trzęsień ziemi od dzieciństwa, częstotliwość wstrząsów nie stępiła im czujności, wręcz przeciwnie – wzmocniła ją jeszcze. Zdarzyło się już bowiem wielokrotnie, że niebezpieczne poruszenia ziemi wywoływały pożary, które dokonywały prawdziwych spustoszeń pośród drewnianej zabudowy. W moim wypadku musiało się wydarzyć coś więcej, gdyż jako były pilot przywykłem do niejednego.

Udałem się do najbliższego europejskiego lekarza i zawieszono mi rękę na temblaku, a potem Jim odwiózł mnie do domu. Yuriko, nieznająca różnicy między niedzielą a dniem powszednim, z wyjątkiem niektórych japońskich świąt religijnych lub państwowych, współczuła mi bardzo, co odczuwałem jako balsam dla duszy. Ponieważ nie zaplanowałem niczego innego, przyjąłem jej uprzejme zaproszenie spędzenia popołudnia w kręgu japońskiej rodziny. Nie, nie zamierzała zabierać mnie do baraku jej dana-san, lecz do Teruko-san, swojej ciotki i gospodyni mieszkającej przy tej samej ulicy, gdzie ją poznałem, w odległości dziesięciu minut drogi na piechotę. Czy mogłem życzyć sobie czegoś lepszego na nudę? Wydawać się mogło, że Yuriko odgaduje moje najskrytsze myśli. Już od dawna pragnąłem pobyc z nią prywatnie, poza godzinami zajęć, kiedy pracowaliśmy razem. Tylko dokąd się udać? Większość lokali nie nadawała się do tego, a do któregoś z nielicznych, starych domów gejsz nie wypadało pójść w damskim towarzystwie.

Wystroilem się zatem, na ile to było możliwe ze względu na zwichniętą ręką, a żona Sato ze zdumiewającą zręcznością zawiązała mi krawat i udzieliła dobrych rad – niestety po japońsku.

Był piękny słoneczny lipcowy dzień, powietrze miękkie niczym jedwab i słodkie od zapachu nieznanymi kwiatów. Do tego znad morza powiewała jeszcze lekka chłodna bryza. Przyspieszyłem kroku. Im bliżej znajdował się domek wdowy, tym bardziej zapominałem o dolegliwościach, jakie sprawiało mi bolące ramię.

Mały ogródek wypełniał labirynt roślin o smukłych splecionych łodygach z bajecznie kolorowymi kwiatami o ciężkim zapachu. Papierowe okna lśniły czystością, a przesuwające się w nich cienie zdradzały obecność mieszkańców. Moje kroki zaskrzypiały na wysypanej żwirem ścieżce prowadzącej do rozsuwanych drzwi. Zapukałem i zaraz je odsunięto.

Otworzyła starsza kobieta ubrana w szare jedwabne kimono z drobnym wzorem. Jej włosy były tradycyjnie wysoko upięte. Wykonała głęboki ukłon na powitanie. To musiała być Teruko. Domyślałem się treści wypowiedzianych do mnie słów. Potem przez kilka minut stałem jak oniemiały.

Na śnieżnobiałym tle rozłożonych tatami unosiła się tajemnicza istota, w której z trudem rozpoznałem Yuriko Mori. Wydawało mi się, że ożyła jedna ze zwiewnych gejsz przedstawianych na starych japońskich malowidłach na jedwabiu. Turkusowe kimono ozdobione złotymi kwiatami lotosu otulało ściśle jej postać. Po bokach wystawały długie rękawy – niczym skrzydła, pomyślałem na ten widok. Szeroki pas obi różanejbarwy spinał cenną suknię tuż pod ramionami, przydając zmysłowej kobiecej postaci dziecięcej niewinności.

A włosy – kto ułożył je w tę czarującą błękitno-czarną fryzurę, w której połyskiwały grzebienie z macicy perłowej i jadeitu? Wysłuchana studentka w spodniach i wełnianym swetrze przeszła przemianę, o której mi się nawet nie śniło. Otrząsnąłem się dopiero, gdy zwróciła się do mnie w moim ojczystym języku, prosząc, bym łaskawie wszedł.

Pochyliłem się i zakłopotany ściągnąłem niezgrabne, zachodnie buty. Przygotowano już dla mnie słomiane sandały, suche, czyste i białe, abym mógł wejść na miękką matę tłumiącą wszelkie odgłosy stąpania. Papierowe drzwi zamknęły się za mną cicho.

Tym razem znalazłem się w znacznie bardziej elegancko urządzonym wnętrzu, niż kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z architekturą tego kraju w naszym baraku-herbaciarni, będącym tylko niezgrabną kopią stylu japońskiego. Zaraz zauważyłem przyozdobioną niszę, butsuma, z królującym w niej obrazem bóstwa, przed którym z metalowej miseczki unosiły się ku sufitowi esyfloresy palącego się kadzidła. Szary wazon z ceramiki, z przypominającymi janowiec kwiatami był wyrazem hołdu dla domowego bóstwa oraz duchów przodków, którzy zwykli się zbierać w centrum domostwa.

Przed nim półkolem leżały kolorowe poduszki do siedzenia. Moją, w kolorze błękitu, ułożono w ten sposób, że musiałem spoglądać na wspaniałą zwijany obraz stanowiący jedyną ozdobę ścian. Wydawało się, że to pozołkły jedwab, lecz barwy, którymi Fudzijama odcinała się od nieskalanego nieboskłonu, odbijając się w błękitnozielonym jeziorze, sprawiały wrażenie tak świeżych, jakby dopiero wczoraj je namalowano. Najwidoczniej do dobrego tonu należało ucieszenie gospodarzy pełnym szacunku milczeniem. Nikt nie przerywał ciszy. Yuriko przyklęła

obok miedzianego piecyka rozpalonego węglem drzewnym. Z zawieszzonego nad nim czajnika unosiły się z sykiem obłoki białej pary. Starsza niewiasta przyniosła lakową tacę z porcelaną i po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwą ceremonię przygotowywania herbaty.

Czułem, choć nic z tego nie rozumiałem, że każdy gest musi mieć nieomal sakralny charakter. Korzystając z bambusowego czerpaka, Yuriko polała wrzątkiem starte na proszek zielone liście, które nałożyła do filiżanek z emaliowanego, kolorowego pojemnika. Za każdym razem wykonywała czerpakiem w czajniku kolisty ruch. Mątewką wymieszała spieniony napój, postawiła filiżankę na otwartej dłoni i z lekkim pokłonem podała ją gościowi.

Podobnie jak Japończyk, instynktownie poczułem się zaszczycony. Aby jakoś podziękować, podniosłem miseczkę z cienkiej, białej porcelany, zapewniając, że nie widziałem jeszcze nic piękniejszego od tej filiżanki z namalowanymi na niej motywami pawich oczek. Jak się później dowiedziałem, odpowiadało to powszechnie przyjętemu zwyczajowi.

Ale moje niesłychane szczęście dostosowania się do wymogów ceremonii nie trwało zbyt długo – i stało się! Zachodnim zwyczajem ująłem niemającą ucha czarkę w obie dłonie. Już sam ten gest wyglądał wystarczająco niezręcznie. Po pierwszym smakowitym łyku rozległo się ciche trzaśnięcie. Gorąca herbata polała mi się po rękach, a ja trzymałem już tylko skorupy.

Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz czułem się tak bardzo zakłopotany. Jednak obie panie – również starsza – okazały się prawdziwymi damami. Uśmiechając się, jak gdyby nic się nie stało, żartowały z niezręcznej sytuacji, wybawiając mnie z kłopotu. Potem przyglądałem się, jak Yuriko w milczeniu demonstruje mi, jak pija się herbatę w Kraju Kwitnącej Wiśni. Na otwartej prawej dłoni filiżanka poszybowała ku górze i przytrzymywana lewą ręką została przystawiona do ust. Po pierwszym drobnym łyku dziewczyna skłoniła się wdzięcznie najpierw w moją stronę, a potem ku gospodni, po czym odstawiła czarkę na tacę z laki. Odczekała, aż wypiję, i dopiero wtedy powtórzyła całą ceremonię drugi i trzeci raz. Zaczęliśmy konwersację.

Dzięki uprzejmemu zainteresowaniu ze strony Yuriko nie odczuwało się wcale, że przebywa się w tak egzotycznym kraju. Nie miało większego znaczenia, że słowa uśmiechniętej starszej damy o pełnej zmarszczek, żółtawej macierzyńskiej twarzy trzeba było bez przerwy tłumaczyć. Rzadko udawało mi się tak szybko zadomowić, jak w małym domku Teruko. Położona przy tej samej ulicy, zamieszkiwana przeze mnie willa wydała mi się wręcz obca.

Miseczki z herbatą opróżniały się i napełniały. Jadłem czerwone i białe ciastka z ryżu, przyglądając się Yuriko, która trzymanym w ręku składanym wachlarzem demonstrowała pełną kobiecej gracji zabawę w chowanego. Tylko jej wąskie oczy o długich rzęsach widać było nad jego pozłacaną krawędzią, a moja dusza zatonała w nich niczym w ciemnobłękitnym jeziorze u stóp Fudzijamy.

Dziś już nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Być może były to tylko uprzejme komplementy, jakie zwykle się prawi. Być może rozmawialiśmy nawet o pogodzie. Nie zachowałem niczego w pamięci poza słodkim wspomnieniem spotkania po raz pierwszy prawdziwie kobiecej istoty. Obie kobiety poświęcały mi całą swoją uwagę, gotowe spełnić każde życzenie gościa, a przy tym nie narzucały się i zachowywały z niezwykłym taktem. Wielkim zdziwieniem napełniało mnie i to, że również starsza dama uczestniczyła w tej scenie – wyglądało to jak starannie przygotowana sztuka teatralna, z tym że widz zapominał, że jest w teatrze. Czy Teruko nie pochodziła z prostego ludu? Jeśli tak, to w każdej Japonce, gdy tylko poruszała się we własnym domu, jak to odpowiadało jej naturze, kryło się nieco romantyki uważanej powszechnie za utraconą.

Nie rozumiałem ani jednego słowa, ale sposób, w jaki patrzyła, uśmiechała się i usługiwała, zapadł mi w serce. Nie wiedziałem, czy miała dzieci, ale wobec mnie była jak matka. Czułem, że Yuriko chętnie u niej przebywa i lepiej zrozumiałem żądanie jej ojca, Mori-san, że powinna tu nadal pozostać. W tym domu nie mogła tak szybko ulec wpływowi Zachodu. Tu odnajdzie samą siebie, gdy zaślepi ją nasz styl. Również za tą klauzulą, potraktowaną z taką podejrzliwością przez Kiosiego nie kryło się nic poza mądrą ojcowską dobrocią. Zacząłem myśleć sercem.

Mijały godziny. Czy to naprawdę zmierzch położył się cieniem za papierowymi oknami? Teruko wstała i odsunęła drzwi do ogrodu. Do wnętrza wpadło światło księżycy łagodząc ostre

kontury otoczenia, a mnie wydało się, że nie jestem już w nędznej dzielnicy portowej w Jokohamie, lecz na samotnej wyspie. Cykały świerszcze, a Yuriko sięgnęła po stary shamisen o długim gryfie.

Usłyszałem obco brzmiące, skarżące się, dźwięczne melodie i zawodzenie trójstrunowego instrumentu – czy to pełna nostalgii pieśń stęsknionego za ojczyzną wygnańca, a może hymn opiewający utraconą miłość? Czułem oplatający mnie coraz ciasniej czar, ale nie broniłem się. W całej Ameryce wynajdującej wciąż nowe odmiany uganiania się za rozrywką nie znalazłbym niczego, co choćby w przybliżeniu tak bardzo zniewalało serce i zmysły.

Pomyślałem o szlagierach, które ryczały z głośników w Asakusa! Że też wrażliwi Japończycy chcieli ich w ogóle słuchać – to przecież był gwałt zadawany duszy.

Rozkojarzony ruszyłem do domu, który – teraz rzeczywiście obcy – stał nieco dalej. Cieszyłem się z całego serca, że jestem w Japonii, i to nie ze względu na interesy.

*

Następnego dnia rano Yuriko zjawiła się w pracy, jak gdyby nie zaszło nic szczególnego. Dla niej niezwykłość przynależała do codzienności. Z pewnością nie pojęłaby mojego nastroju i dziwiłaby się, skąd bierze się moja małowówność. Prawie nie odważyłem się popatrzeć na nią, jak niczym niewzruszona fachowo porządkuje pocztę i redaguje listy do moich partnerów handlowych.

Tego dnia w największych dziennikach Japonii pojawiły się pierwsze ogłoszenia reklamujące naszą wypożyczalnię samochodów. Yuriko napisała krótki artykuł do „Ashai”, który zaraz przyjęto. Była wręcz nieoceniona.

Jako pierwszy na naszą ofertę odpowiedział buddyjski bonza zarządzający świątynią w parku Nikko. Prosił nas, abyśmy złożyli mu wizytę, gdyż nawał obowiązków nie pozwalała mu dłuższą nieobecność. Uśmiechając się, zapytałem Yuriko, z jakiego to powodu świadomy przemijalności ziemskich dóbr bonza interesuje się tak karygodnymi, budzącymi chęć używania życia, wynalazkami ludzi Zachodu, bo przecież odrzucił od siebie wszelkie pożądliwości. Spojrzała na mnie zdumiona.

– Czcigodny chef-san wyobraża sobie to wszystko nieco staroświecko. Nasi bonzowie to ludzie postępu. Idą z duchem czasu i studiują Zachód, podobnie jak i my. Obecnie przybywa stamtąd więcej poważnych poszukujących niż z naszych własnych szeregów.

Musiałem usiąść.

– Chce pani powiedzieć, że buddyzm przeżył się w Japonii?

Yuriko opuściła ręce i skłoniła głowę.

– Zachowamy go, podobnie jak zachowujemy stare, czcigodne obyczaje, jako uświęconą kulturę. Ale młodzież już nie wierzy.

– Z jakiego powodu, Yuriko?

Milczała przez chwilę.

– Życie jest jak magnes – szepnęła cicho.

Zrozumiałem. Budda uczył nicości bytu przyporządkowanego tylko przemijalności, pokoju w wyzbywaniu się pragnienia spraw doczesnych, wyrzeknięcia się własnego Ja.

Zderzenie z afirmującym życie, więcej, delektującym się życiem światem Zachodu lat powojennych okazało się zbyt drastyczne. Nie oparł mu się cierpiętniczy Budda. Natomiast tam, gdzie Zachód się postarzał i skarłał, tam pociągała go negacja egzystencji buddyzmu – co za niesamowity, zamknięty krąg. Japończycy to młody, budzący się właśnie, naród.

– Wobec tego jedźmy do bonzy – postanowiłem. – Musi mi pani towarzyszyć, Yuriko. Jeśli staję się bezradny wobec prostych ludzi, to co dopiero przed obliczem oświeconego bonzy!

Jeszcze tego samego popołudnia wyruszyliśmy do parku Nikko.

Ze zdziwieniem skonstatowałem, że w przeciwieństwie do mocno zniszczonego Tokio wyszedł cało z ciężkich bombardowań. Czy to też nie stanowiło okrutnej cechy Zachodu, że wyżej ceniło się martwe pomniki kultury niż dzielnice zamieszkałe przez żywych ludzi?

Nietknięte, pomalowane na czerwono belkowania wysmukłych wież wystawały ponad drzewami parku, ku niebu wyrastały mury wzniesione z pokrytych lśniąca glazurą cegieł, szintoistyczne torii rozwierały swoje podwoje niczym gigantyczne litery. Stałem zaskoczony ilością świątyń, ale zamarłem, gdy Yuriko z biegłością studentki, która wysłuchała wykładu na zadany temat, wyjaśniła mi, że w Tokio znajduje się około 2570 świątyń buddyjskich i 1500 szintoistycznych świątyń. Poczulem coś na podobieństwo powiewu pogaństwa, gdy wraz z nią kroczyłem powoli od jednej budowli do drugiej. Pokazywała mi najslawniejsze, prowadząc mnie fachowo jak przewodnik – bez zaangażowania emocjonalnego. Ale czy w Asakusa nie modliła się sama przed Kwannon, boginią miłosierdzia? Zmieszała się nieco. Owszem, miewa się takie myśli, że nie byłoby źle od czasu do czasu zwrócić się do istoty wyższej. Miłosierni bogowie to w Japonii rzadkość. Kami chce bojaźni i ofiary – nie miłości.

Kami – to z pewnością jakieś bóstwo. Tak, słyszało się o wielu wszelkiego rodzaju bożkach, ale nie budziły one lęku jak w wypadku niektórych ludów pierwotnych, choć i one wykazywały wyraźny wpływ elementów demonicznych. Najwięcej osób nawiedzało przybytki bogów szczęścia i płodności, w tych drugich widziało się w większości kobiety.

– Również nasz bonza – moja przewodniczka bez trudu odnalazła jego świątynię – zarządził jedną z nich. Poświęcono ją Kishibo-jin, bogini zapewniającej potomstwo. Kiedyś była demoniczną istotą wykradającą w okresie głodu małe dzieci, aby ich pokarmem nasycić własne potomstwo. Wówczas Budda wziął jej najmłodszą pociechę i ukrył w swojej czarze ofiarnej. Odchodząca od zmysłów ze strachu i miłości Kishibo-jin przybyła do jego pagody, prosząc miłosiernego Oświeconego o pomoc. On zwrócił jej dziecko z upomnieniem, że ponieważ sama doświadczyła matczyne go bólu, powinna odtąd stać się strażniczką kobiecej pomyślności.

Taka była historia obrazu tego bożka, który jeśli chodzi o wygląd demonicznego oblicza, nie miał w sobie niczego przyjaznego, a przecież w magiczny sposób przyciągał kobiety, szczególnie te przy nadziei.

Nie miałem czasu się zastanawiać nad usłyszaną story. Stanęliśmy przed tym, kogo poszukiwaliśmy – bonzą o wygolonej głowie, odzianym w żółtą szatę i zupełnie inaczej wyglądającym, niż się spodziewałem. Ani śladu ascetycznej szczupłości mnichów z sekty zen ćwiczących się w ścisłej kontemplacji – mieliśmy do czynienia z korpulentnym ojcem rodziny zdającym się doskonale pasować do bogini płodności. Rzadko widziało się tak dobrze wyglądających Japończyków. Najwidoczniej z pracy na rzecz świątyni dało się dobrze żyć, lepiej w każdym razie niż z pracy w świecie. Do miedzianej skarboxy wierni bez przerwy wrzucali swoje datki i uderzali w gong, aby zwrócić uwagę bogini na swoją jałmużnę.

Starszy pan nie miał zbyt uciążliwej pracy. Przy recytacji sutr mógł przykucnąć, a ceremonie ofiarne okazały się bardzo skromne. Od czasu do czasu matki prosiły o błogosławieństwo dla dzieci i na ile mogłem to ocenić, na tym zasadniczo kończyła się jego posługa. Do czego mógł potrzebować samochodu?

Szeroka, nalana twarz rozciągnęła się w uśmiechu, skośne oczy prawie na niej znikły. Yuriko przetłumaczyła:

– Odbywają się zebrania bonzów buddyjskich z dalszych części kraju, często również poza Tokio, których nie wolno mu opuścić. Buddyizm prowadzi polemikę z dwoma silnymi zachodnimi kierunkami: komunizmem i chrześcijaństwem. Najprawdopodobniej z tym ostatnim podejmie próbę wspólnego działania przeciwko komunizmowi.

Otworzyłem szeroko oczy – z jaką oczywistością padła ta wypowiedź.

Czy nie wiedział, że na przykład w Hiroszynie ma powstać katedra światowego pokoju upamiętniająca ofiary bomby atomowej, której projekt stworzyli buddyści, a chrześcijanie mieli go wykonać? Najwidoczniej buddyizm uznał komunizm za zagrożenie.

Szybko doszliśmy do porozumienia. Bonza zadeklarował gotowość do uiszczenia żądanej przez wypożyczalnię opłaty, po czym podpisał umowę. Musiał jednak wracać do swoich obowiązków i wkrótce rozbrzmiał głuchy dźwięk świątynnego gongu.

Wydawało mi się, że Yuriko jest nieco przygnębiona. Czyżby rozmowa o religii przyprawiła ją o rozterkę? Gdy ją zapytałem, odpowiedź zabrzmiała jak oskarżenie:

– Wspomagamy rozwój zabobonu i błędów. Religia to opium dla ludu.

Zamarłem – komunistyczna sentencja w jej ustach!

Gdy jednak odwróciłem głowę, delikatny owal jej twarzy był znów niezmacony i opanowany. Tylko w głosie dało się słyszeć echo prawdziwej namiętności. A może się myliłem? Nie, te szlachetne rysy nie miały w sobie nic fanatycznego. To mnie uspokoiło.

– Kto naopowiadał pani tych bzdur, Yuriko? – zapytałem, próbując naśladować jej opanowanie, ale nie bardzo mi się powiodło. Drażniła mnie myśl, że Kioshi mógł mieć rację i rzeczywiście sprowadziłem sobie pod dach komunistkę. Uśmiechnęła się.

– Do tez nauczanych na Uniwersytecie Kyoiku należy również zapoznanie studentów z myślą ideologiczną nowej Rosji – odparła, jak gdyby powtarzając często słyszane twierdzenie. – Przeczytałam podręcznik marksizmu i znam pisma Engelsa, Lenina i Stalina.

Zaatakowałem ją.

– To wspaniale, a czy można wiedzieć, co oprócz tego zna pani z literatury zachodniej?

Bez ociągania i z dumą zaczęła wyliczać, nie zdając sobie sprawy z tego, jak mną wstrząsnęła:

– Bardzo dużo czytamy. Z filozofii francuskiej przejęliśmy Sartre’a i Camusa, z myśli niemieckiej Nietzschego i Kanta, ze szkoły angielskiej Shawa i Coleridge’a, z...

– Stop! – przerwałem gwałtownie. – To wystarczy. A o Biblii pewnie pani nic nie słyszała, prawda?

Spojrzała na mnie zdziwiona, nie mogąc sobie wyobrazić, dlaczego biały człowiek o mało co nie stracił opanowania.

– Nie – padło w odpowiedzi. – Ale mogę nadrobić zaległości, jeśli należy to do wiedzy o Zachodzie, którą trzeba posiadać.

Nawymyślałem sobie w duchu, że nieprzemyślenie chcę ją zapoznać z chrześcijaństwem poprzez filozofię. Ale nie było odwrotu, obudziło się w niej zainteresowanie:

– Czy zechciałby mi pan wyjaśnić, o co chodzi z tym dziełem? Nie słyszałam o nim dobrej opinii.

Mogłem to sobie wyobrazić. Doprawdy, w Kraju Kwitnącej Wiśni nieomal stałbym się obojętnym chrześcijaninem, gorszym nawet od odstępcy od wiary. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, żeby zatrzymać się nagle w dzielnicy Yotsuya. W górze na zboczu, to musiało być to, jezuicki kościół świętego Ignacego z wysoką, kanciastą wieżą i świetlistym krzyżem na szczycie – ogromne zabudowania, teren uniwersytetu.

– Chodźmy, Yuriko! Mam coś do załatwienia, bo chciałem podziękować za pośrednictwo. Zakładam się tysiąc do jednego, że znajdzie się tam jakaś japońska Biblia.

Przytaknęła uprzejmie.

– Jochi-Daigaku-in jest bardzo znany – zwróciła się do mnie pojednawczo, bo ciągle jeszcze byłem podenerwowany, nie wiedząc nawet, ile wstydu kosztuje mnie to zaniedbanie. Ale miało być jeszcze gorzej.

Na terenie misji czułem się obco, podobnie jak i Yuriko, stojąc bezradnie przed kościołem otoczonym wokoło potężnymi gmachami i wieloma innymi budynkami o różnym przeznaczeniu. Po lewej ręce mieliśmy typowe półokrągłe baraki Nissena, płaski trójskrzydłowy kompleks Uniwersytetu Sophia, bibliotekę, laboratoria do ćwiczeń i inne pomieszczenia. Yuriko z cierpliwością azjatyckich kobiet czekała, aż zorientuję się w terenie.

Muszę przyznać, że niestety weszliśmy wtedy do świątyni. Przynajmniej tu się na czymś znałem. Ale o ile pewniej czuła się moja towarzyszka w parku Nikko! Co za upokorzenie!

Stałem w nowoczesnym, jasnym i harmonijnie skonstruowanym wnętrzu domu bożego, spoglądając na potężne łuki wieńczące wspierające sklepienie kolumny – i wstydziłem się przed pogańską dziewczyną zgiąć kolano i przykłęknąć. Muszę się do tego przyznać, gdyż z perspektywy czasu uważam za prawdziwy cud łaski, że ta godzina nie pozbawiła jej wszelkiej chęci zapoznania się z chrześcijaństwem. Opanowany dziwną nieśmiałością nie odważyłem się przejść środkiem ku głównemu ołtarzowi, tylko skradałem się boczną nawą, chociaż w kościele panowała cisza i nie było nikogo.

Yuriko wskazała na obrazy drogi krzyżowej, które przyciągnęły jej uwagę.

Przystanąła przy czwartej stacji, ścisząc mimowolnie głos do szeptu:

– Co to takiego?

Musiałem wyjąkać jakieś chaotyczne, zupełnie bałamutne wyjaśnienie, bo gdy już ruszyliśmy dalej, moja tłumaczka nie wyglądała na lepiej zorientowaną, ale oglądała każdą scenę. Przy ukrzyżowaniu zobaczyłem, jak nie pojmując, kręci głową.

Na zewnątrz zapytała mnie:

– Czy to Chrystus, którego zwalczali i który zmarł na krzyżu?

Przytaknąłem, rozglądając się za studentami spieszącymi przez dziedziniec ku blaszanym barakom – nie widziało się między nimi żadnego profesora, bo przecież mieliśmy ferie. Mimo to poprosiłem Yuriko, aby zapytała jednego z nich o mieszkanie dziekana.

Jak się jednak okazało, rozmawiali między sobą po angielsku i wskazali mi akademik świętego Alojzego. Oni natomiast zamieszkiwali baraki Bosch-town. Lekkie konstrukcje nie sprawiały tak nędznego wrażenia jak te stojące na terenie mojej firmy. Małe okienka świeciły czystością, ogródki wyplewiono, a trawę przystrzyżono. Najmłodszy z uprzejmej gromady wyjaśnił

mi, że planuje się budowę akademika na trzysta miejsc z pomieszczeniami klubowymi, stołówką i salą gimnastyczną. Pilnie zbierają każdy grosz.

Zdawał się odczuwać taką dumę z całego przedsięwzięcia, jak gdyby sam za nie odpowiadał.

– Dom świętego Alojzego jest tam!

Poczułem się trochę niezręcznie. Od najmłodszych lat nie żywiłem zbyt wiele sympatii dla najczęściej słodko i sentymentalnie przedstawianego młodego jezuickiego świętego. Wolałem raczej surowego oficera, świętego Ignacego, choć i jego życiorysowi nie poświęciłem szczególnej uwagi. Bo co wiedziałem o ukrytym bohaterstwie młodego Gonzagi!

Kiedy dzisiaj pomyślę, iloma błędami obciążony – i to jako chrześcijanin – kroczyłem obok Yuriko, niezdolny udzielić jej właściwej odpowiedzi na najprostsze pytanie, to czerwienieję i błędę ze wstydu.

Niestety, nie spotkaliśmy duszpasterza akademickiego, lecz jego zastępcę ojca Tomasza. Nastąpiło krótkie, serdeczne powitanie. Zakonnik w ciemnym habicie w ciągu kilku minut wyczuł moją niepewność, ale wykazał się taktem, który pozwolił mi wreszcie głębiej odetchnąć.

Tak, przekaże oczywiście moje podziękowanie za pośrednictwo w znalezieniu dobrego tłumacza, niemniej to duszpasterz powinien czuć się zobowiązany do wyrażenia wdzięczności za zatrudnienie jednego z jego podopiecznych. Krótkie spojrzenie padło w kierunku Yuriko, a ja wyjaśniłem, że to nie jej, lecz Kioshi-san powierzono zadanie prowadzenia rozmów handlowych dla firmy. Młoda dama poszukuje dobrego japońskiego lub angielskiego wydania Biblii.

Jezuita odpowiedział, że tak mu się właśnie wydawało, iż jego współbrat nie zatroszczył się o żeńską pomoc, gdyż na Jochi studiowali prawie wyłącznie młodzieńcy. Oczywiście są także wykłady teologii dla kobiet, regularnie prowadzone dla licznych uczestniczek. Zmieszałem się nieco. Czyżby myślał, że dlatego przyprowadziłem Yuriko? Ale on już zmienił temat:

– Podejźmy do stoiska z czasopismami. Panna Mori-san może sama wybrać, które wydanie jej odpowiada. Japońskie ma już pięćdziesiąt lat, ale ciągle spełnia swą funkcję, angielskie jest powojenne.

– Będę szczęśliwa, mogąc posiadać obydwie, dla porównania – wyraziła swoją opinię Yuriko bez fałszywej skromności. Jako studentka przywykła do gruntownego zapoznawania się z zachodnią kulturą. Ojciec uśmiechnął się i podał jej dwa tomiki.

– Życzę owocnej lektury. Domyślam się, że pani szef z pewnością nie poskapi na to wolnego od zajęć czasu.

Spojrzałem na niego czerwony aż po korzonki włosów. Dotarło do niego, że Yuriko jest poganką.

– Well, ojcie Tomaszu, macie tutaj wiele czasopism. To wszystko własne wydania, jezuickie?

Przytaknął:

– To „Seiki”, w tłumaczeniu tytuł znaczyłby „Stulecie”, nasz miesięcznik. Tu znany „Digest” i „Nipponica”. To z kolei „Zeszyty Sophii”.

W jednym z numerów Yuriko zobaczyła znowu ilustrację sceny ukrzyżowania i zapytała z przerażającą wręcz ignorancją:

– I to ma być bóg kapitalistów?

Zatkało mnie, a ojciec Tomasz wyglądał na kogoś, kto przywykł do takich pytań, gdyż odparł z uśmiechem:

– Prawda, pomiędzy ludźmi z tej klasy społecznej rzadko się zdarza, by ktoś umierał za drugiego. Ale Chrystus tego dokonał, i to nie tylko za „kapitalistów”.

Yuriko skinęła i pytała dalej:

– Czy on jest bogiem dającym ludowi chleb?

Ojciec Tomasz odparł spokojnie:

– Owszem, o ile wiemy, kiedy ich już pouczył, dwukrotnie nakarmił tysiące prostych, głodnych ludzi. To również rzadko spotykane u zachodnich nauczycieli, nawet komunistów.

Yuriko oblała się rumieńcem, została bowiem przejrzana.

Ukloniła się w milczeniu.

Darowane jej Biblie trzymała mocno pod pachą. Niestety, ojca wzywano. Był podobnie jak ja Amerykaninem i – jak mi jeszcze szybko wyjaśnił – tylko zastępował jednego z chorych docentów. Szkoda, bo spodobała mi się jego postawa.

– Proszę zaglądać częściej! – zawołał do mnie. W jednej chwili otoczyła go gromada roześmianych i rozgadanych studentów idących w kierunku boiska. Jak udało mi się zrozumieć ze strzępów rozmów, mieli zamiar zagrać w baseball. W dole rozciągał się szeroki teren rekreacyjny.

Yuriko patrzyła na to w zdumieniu.

– Rozmawia ze studentami? Będzie z nimi grał?

Przytaknąłem.

– Zgadza się, co w tym dziwnego?

Moja tłumaczka pokręciła głową.

– Straci twarz!

Zaśmiałem się.

– Na pewno nie, tak jest również na uniwersytetach amerykańskich. Wykładowcy i studenci nie tworzą odrębnych kast. Wydaje mi się, że ci też dobrze się rozumieją.

Rozejrzała się wokół.

– Mieszkają tu, to dobrze. Z pewnością wielu z nich nie musi głodować.

– Bóg, którego czczą, jest przecież bogiem kapitalistów – rzuciłem z uśmiechem.

Z powagą na twarzy spojrzała na trzymane w ręku czasopisma i książki.

– „Sophia” znaczy „mądrość”. Wszędzie jej poszukiwałam i nigdzie nie znalazłam. Jeśli jest tutaj, to będzie kłopot.

– Z jakiego powodu, Yuriko? Nie wydaje mi się, że komuś tak oczytanemu jak pani, trudno się studiuje.

Nie powinienem był okazywać sarkazmu. Jej twarz stężała. Wziąłem od niej pakunek.

– Mój czcigodny dana-san nigdy nie wyrazi zgody, abym zapoznawała się z mądrością pochodzącą od rzymskich bonzów – jej głos brzmiał bezbarwnie.

Potrzebowałem kilku minut, aby pojąć, że to twardo brzmiące i nadużywane wyrażenie niekoniecznie musiało dla niej odznaczać coś negatywnego. Mógł to być komunistyczny slogan, a także określenie kapłana zaczerpnięte ze znanego jej buddyzmu.

– Wydaje mi się, że przywykła pani do duchowej niezależności, Yuriko – zaznaczyłem, nie wiedząc, że to stwierdzenie stanie się dla niej decyzją i wzbudzi płomienną ambicję. Dorówna amerykańskim studentkom co do wolności w zdobywaniu wiedzy.

Przypadkowo droga powrotna prowadziła przez most Yotsuya do Shinjuku, tej części miasta, która szczególnie ucierpiała podczas bombardowań. Tam zobaczyliśmy wielkiego konkurenta Chrystusa w Azji, Buddę spoglądającego ku zachodowi. Również i jego świątynia została zniszczona. Ostało się jedynie tylko kilka fragmentów murów, ale pod bezchmurnym, błękitnym niebem wznosiła się pełna dostojnej powagi i skupienia, królująca w pozycji lotosu postać o wyniośle nieruchomym obliczu. Weszliśmy do zrujnowanej świątyni Saigyogi i długo przyglądaliśmy się posągowi Buddy-Amidy. Patrzył w stronę zachodzącego słońca – ku Okcydentowi.

Powiedziałem wtedy – a zrodziło się to z ukrytej głębi mojego wnętrza, której sam jeszcze nie znałem – niezwykłym dla mnie nieśmiałym szeptem:

– Wie pani, Yuriko, czego Budda oczekuje od Zachodu?

Spojrzała na mnie, ufając, że znam odpowiedź.

– Czeka na ostatnie oświecenie, na światło Chrystusa, ponieważ jest jednym z wielkich poprzedników, jacy zgodnie z ich naturą zostali dani wszystkim narodom.

Zachowała pełne szacunku milczenie. Budda przyglądał nam się nieruchomy, gdy opuszczaliśmy zrujnowane sanktuarium. Powoli spowijał go mrok nocy.

*

Pozostał we mnie niepokój. Czułem, że coś w moim życiu może się zmienić. Przybyłem do Japonii, aby przynieść temu krajowi nieco najnowszych osiągnięć nowożytności. W krótkim czasie prowadzony przeze mnie interes rozkwitł, potwierdzając pokładane w nim nadzieje. Spojrzałem w oczy poszukującej córki Nipponu i dotarło do mnie, że Japonia oczekuje od Zachodu czegoś zupełnie innego – sophii – mądrości Okcydentu będącej naszym najcenniejszym dobrem, jakie zaniedbaliśmy i niemal zdeprecjonowaliśmy przez brak uwagi.

Nie, na chwilę refleksji nie wybrałem kościoła świętego Ignacego, był świadkiem mojej żalosalnej porażki. Za pomocą pożyczonego od Kiosiego egzemplarza Catholic Tokio, przewodnika po archidiecezji, wyszukałem katedrę Niepokalanego Poczęcia i w Święto Wniebowzięcia wyruszyłem do Sekiguchi, ku samemu centrum arcybiskupiej rezydencji.

Towarzyszącemu mi Jimowi Lesleyowi wytłumaczyłem, że koniecznie chcę poznać znanego mówcę radiowego, który w każdą niedzielę rano przemawiał do katolików japońskich na falach rozgłośni tokijskiej. To dzięki niemu Kioshi, jak sam się przyznał, przyjął chrześcijaństwo i uczestniczył w uroczystym poświęceniu Nipponu Niepokalanemu Sercu Maryi w maju 1948 roku. Na marginesie zauważył też, że w katedrze spowiada się w trzech zachodnich językach, po angielsku, francusku i włosku, dlatego w Sekiguchi stale widuje się wielu gaijin.

Początkowo Lesley zachowywał się tak, jak gdyby nic go nie obchodziło.

Nie wspomniał słowem, że mnie obserwował. Przyznał tylko, iż Japończycy wykazują lepszy gust w urządzaniu grot lourdzkich niż wielu Europejczyków. Rzadko widuje się tak estetyczne przedstawienia, przed którymi nawet mężczyzna może poświęcić się modlitwie. Byłem mu wdzięczny. Gdy jednak z powrotem zasiedliśmy w samochodzie i zaraz potem gwałtownie zahamowaliśmy przed grupą sióstr Sacré-Coeur odbywającą z podopiecznymi z przedszkola niedzielną wycieczkę, skinął ku nim głową i stwierdził:

– Uważaj, żeby panna Mori nie wylądowała u nich, bo wtedy na próżno dzisiaj się nawracałeś. Powiedziano mi, że sporo japońskich dziewcząt dało się im zwabić i wciągnąć do klasztoru.

Udałem obojętność i zareplikowałem:

– Dziwne stwierdzenie jak na kogoś, kto do niedawna uważał tę samą damę za komunistyczną agentkę.

Zachichotał:

– No, gdybyś posłuchał dysputy z Kioshim, na szczęście po angielsku, bo jej powodem okazała się angielska Biblia, to też zacząłbyś mieć wątpliwości.

Podskoczyłem na siedzeniu.

– Podśluchiwałeś ich?

Jim ostentacyjnie zapalił papierosa.

– Nie miałem takiego zamiaru, to zupełny przypadek. Siedziałem w biurze nad rozliczeniami podatkowymi. Co mogę poradzić na to, że jeden z naszych inteligentnych Japończyków zaproponował przedzielenie pomieszczenia oryginalną bambusową zasłoną? Nie zadali sobie trudu, żeby popatrzeć, czy nikt za nią nie siedzi.

– I co?

– Hm, chciała się dowiedzieć, dlaczego w całej Biblii ciągle wspomina się o tym, że człowiek powinien ratować swoją skórę, powiedziała: swoją duszę, i czy chrześcijaństwo nie jest religią socjalną.

Nieświadomie zwolniłem nieco tempo jazdy.

– Czy Kioshi potrafił jej odpowiedzieć?

– W rzeczy samej. Ja na jego miejscu poprosiłbym o czas na zastanowienie się i porozumiał z jednym z moich profesorów. Odpowiedział spokojnie, że to nie system, lecz dzięki Chrystusowi zakorzeniony w dobru człowiek może prawdziwie socjalnie oddziaływać w głąb. Dlatego każdy chrześcijanin musi najpierw sam poszukiwać Królestwa Bożego i starać się dojść do ładu z przemieniającym przesłaniem Chrystusa w swoim wnętrzu. I gdy w tym usposobieniu zwróci się do bliźniego, nie z wymyślonymi teoriami, lecz żywym, podobnym do Chrystusowego własnym Ja, to

przemieni oblicze ziemi. Wyobraź sobie, od czasów szkolnych nie zapamiętałem tak żadnej lekcji. Nigdy bym się czegoś takiego po nim nie spodziewał.

Milczałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Kioshi był konwertytą, a ja ochrzczonym od urodzenia. Poza tym Lesley nie traktował wszystkiego poważnie, ale to nawet jemu dało do myślenia.

– Co na to powiedziała? – zapytałem po dłuższej chwili.

– O, nic takiego, jeden z tych japońskich zwrotów, jakąś uprzejmość. Ale miałem wrażenie, że Kioshi trafił w dziesiątkę. Chciała się dowiedzieć, czy chrześcijaństwo podejmie wyzwanie komunizmu, który dotychczas wydawał się jej jedynym systemem rozwiązującym trudności ludzkiej egzystencji.

– Słuchaj, Jim, czy Mori-san to komunista?

Odpowiedzią był uśmiech:

– Myślę, że nawet na pewno. Kioshi ma rację.

– Bardzo mnie to cieszy. Co teraz zrobimy?

– Jaki problem? Zatrudniłeś Moriego czy jego córkę?

– Sam zadaję sobie to pytanie. Czasami myślę, że jej ojciec ma na nią silniejszy wpływ, niż mi się wydaje. Nie mogła przecież wynieść wszystkich tych bolszewickich przesądów z Uniwersytetu Kyoiku.

– Zostaw ją w spokoju. Może właśnie teraz jest na najlepszej drodze, żeby się ich pozbyć.

Przecież to i tak ciebie nie dotyczy. – A może masz zamiar ożenić się z nią?

Zmroziłem go spojrzeniem.

– Zwariowałeś czy co?

– No i dzięki Bogu!

Poczułem, że krew mi się burzy w żyłach. Skąd to podenerwowanie? Lesley znał mnie już wcześniej. Poznał mnie dobrze, rozumiał każdy grymas na mojej twarzy. Bolesnie odczuwałem jego wwiercający się we mnie wzrok.

– Czy wiesz, że Mori bardzo interesuje się naszą firmą? Ciągle przysyła klientów do naszej wypożyczalni; powołują się na jego rekomendację, wszystko to zwykli pracownicy portowi, którzy nie marzą nawet o zakupie auta. Każdy tylko pożyczka.

No cóż, też sposób na rozbitcie czyjegoś interesu i zduszenie kwitnącego handlu. Ale równie dobrze mógł chcieć okazać wdzięczność. Yuriko doskonale u nas zarabiała; sam się o to postarałem. Odsunąłem od siebie wszelką podejrzliwość.

– Nawet jeśli próbowałby nam przeszkadzać, nic nie osiągnie. Bilans ciągle wzrasta. W ostatnim miesiącu musieliśmy podwoić liczbę pracowników. Kioshi nie może się opędnąć od klientów. Czego możemy chcieć więcej?

– Powinniśmy złożyć Mori-san uprzejmą rewizytę.

– Niby dlaczego? Był może u nas?

– Dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze wtedy, gdy szef z Yuriko właśnie wyfrunął, jak gdyby mógł się poczuć niezręcznie, widząc ją u boku czcigodnego Grane-san.

– Czego chciał?

– Wystarał się nam o godnych polecenia i zaufania pracowników. Zatrudniliśmy ich, gdyż powinno się być wdzięcznym za taką pomoc, nieprawdaż?

– Hm, wobec tego po co rewizyta?

– Jim zachichotał.

– Po pierwsze, to dobry japoński obyczaj, po drugie, niejedno można odkryć, zjawiając się niespodzianie. Ale to już rzecz samego szefa.

– Nienawidzę szpiegowania.

– Twoja sprawa – Jim wzruszył ramionami.

Nie odpowiedziałem, bo poczułem budzącą się we mnie złość.

Komunistyczna infiltracja mojej firmy byłaby bardzo niepożądana, bo stanowiłaby zagrożenie dla całego przedsięwzięcia.

Odkąd komuniści zaczęli nawoływać do intensywniejszej kampanii przeciwko wszelkim

działaniom okupanta, również rząd poczuł się zmuszony do sięgnięcia po bardziej radykalne środki. Ich japońska partia otwarcie zadeklarowała chęć zbratania się z siłami Północnej Korei i czerwonymi Chinami. Na porządku dziennym były akty sabotażu przeciwko własnym i amerykańskim politykom. Intensywność strajków i demonstracji wskazywała na to, że komuniści przygotowują prawdziwą rewolucję.

Przeciwdziałanie temu, podjęte przez McArthura, dowiodło, że nie nikt nie zamierza się z nimi pogodzić. Rekwirowano czerwone czasopisma i ulotki, zabraniając jednocześnie ich rozpowszechniania, zamknięto drukarnie, aresztowano autorów i wydawców. Z państwowych zakładów i fabryk masowo zwolniono znanych działaczy o kontrowersyjnych poglądach. Nawet jeśli uniknięto tym sposobem bezpośredniego zakazu działania Partii Komunistycznej, to lud natychmiast zrozumiał, że tymi środkami pogrążono ją w nielegalności.

Tym niebezpieczniej rozprzestrzeniała się natychmiast czerwona działalność podziemna, szczególnie wśród inteligencji. W Tokio oraz innych większych miastach doszło do gwałtownych demonstracji. Gdy wiosną 1951 roku znalazłem się na ziemi japońskiej, nastawał właśnie okres przełomu. Ewentualne dorobienie się czerwonych agentów mogło się okazać fatalne. Nagonka przeciwko zakończeniu rozmów na temat paktu pokojowego właśnie się rozpoczęła. Nie wiadano, co się jeszcze stanie, zanim zostanie ratyfikowany.

Pogrążony w myślach zaparkowałem na naszym terenie i wydaje mi się, że minąłem Jima Lesleya, nie pozdrowiwszy go. Nagle uświadomiłem sobie, że to nie tylko moja prywatna sprawa, czy w Japonii jestem solidnym chrześcijaninem, czy nie, czy jasno wyznaczam front, czy zacieram granice. Tutaj bycie człowiekiem wiary oznaczało nieskończenie więcej. To nie Budda, jak zakładałem, był silniejszym przeciwnikiem Chrystusa. Budda spoglądał pasywnie, bez poruszenia ku Zachodowi – widział, że stamtąd nadchodzi nie tylko Syn Boży.

Tej nocy zbudziłem się, gdy tylko pierwsze poruszenia ziemi wstrząsnęły moim łóżkiem. Zdenerwowany nałożyłem ubranie i wyszedłem na cichą uliczkę. Ku mojemu zdziwieniu o tej późnej godzinie dojrzałem światła za papierowymi szybami małych domków. Przesuwane drzwi stały otworem, a mieszkańcy przysiedli na werandach przy piecykach opalanych węglem drzewnym – i to w świątecznym odzieniu. Czyżby to był sposób oczekiwania na dalsze wstrząsy? Niespokojny udałem się w stronę domku Teruko.

O dziwo – natychmiast rozpoznałem ją w jasnym świetle księżyca, podchodząc ku tyłowi skromnej posiadłości i przywołując ją szeptem. Natychmiast wstała z poduszek i skłoniła się głęboko.

– Yuriko?

Wzruszyła bezradnie ramionami, nie znając ani słowa po angielsku. Wymawiałem wciąż jej imię. Musiałem ją zobaczyć, usłyszeć i bez ogródek zapytać o polityczne poglądy ojca. Starsza kobieta spojrzała na mnie i westchnęła, czyniąc gest w kierunku eleganckiej porcelanowej czary napełnionej smakowitymi okrągłymi owocami i kwiatami, a następnie wskazała na księżyc, którego cicha i pełna tarcza zwieszała się nad portem.

Na litość boską, chyba nie chce mi powiedzieć, że Yuriko jest gdzieś tam w górze – czyżby się jej coś stało? Co ma do tego księżyc?

Jak gdyby czując mój niepokój, uśmiechnęła się uspokajająco, powtarzając słowa, które i ja zrozumiałem:

– Yuriko, dana-san, Mori-san, ach!

Odetchnąłem głęboko – wszystko okay – była u swojego ojca. Musiało chodzić o coś szczególnego, być może o jakąś uroczystość rodzinną. Jeszcze kilka razy ziemia zadrżała w lekkim paroksyzmie. Stary smok, według legendy drzemiący pod wyspami, przewrócił się we śnie z boku na bok, wstrząsając Nipponem w posadach.

Kiedy zasnąłem, śniły mi się tańczące gejsze.

*

Następnego dnia Yuriko wyjaśniła mi prostodusznie, że wczoraj celebrowali Meigetsu, święto łagodnej bogini księżycy, rzewną uroczystość pożegnania lata przypadającą zawsze na dzień 15 sierpnia. Boginię czczono, składając jej tej nocy w ofierze okrągłe, szlachetne owoce, pierwsze jesienne kwiaty oraz wygłaszając dowcipne wierszyki. A więc to część poezji szinto – a o czym ja, osioł, myślałem? Meigetsu – święto tajemniczego pożegnania – jeszcze tylko cztery tygodnie, a potem przez wiele miesięcy znowu będę zmuszony radzić sobie bez mojej tłumaczki.

Tylko dlatego, że postanowiłem sobie i zależało mi na tym, aby rozwiać jako bezpodstawne obawy Jima Lesleya, jakich z pewnością nabił mu do głowy wiecznie podejrzliwy Kioshi, pojechałem – tym razem z Kioshim – do dzielnicy portowej, aby złożyć Mori-san niezapowiedzianą wizytę. Jako podarunek zabraliśmy ze sobą grę cieszącą się w Japonii wielką popularnością i przypominającą nieco nasze szachy. Miała być wyrazem naszej wdzięczności za jego starania dotyczące werbowania dla nas klientów, a poza tym w Kraju Kwitnącej Wiśni nie idzie się w odwiedziny bez upominku. Nie powiem, żebyśmy jechali wolno, jak przystało na takie zamierzenie. Nasze tempo przypominało raczej pościg radiowozu policyjnego pędzącego za jakimś przestępcą, zakończony ostrym hamowaniem przed szkołą. Nie spodziewano się nas na pewno.

Trwał rok szkolny. Nie miało sensu dobijanie się do mieszkania Mori, zwłaszcza że sprawiało ono wrażenie wręcz zabitego gwoździami. Obeszliśmy więc budynek – niezorientowanym obcokrajowcom wolno nawet przeszkadzać podczas lekcji.

I wtedy mnie zamurowało.

Znałem tę melodię. Zwolniłem, nie mogłem złapać tchu. Czy to możliwe? Rozejrzałem się za Kioshim Tanaką. Stał obok mnie w swoim starym, wymiętym ubraniu, uśmiechając się z wyrozumiałością. Tego się właśnie spodziewał.

– Międzynarodówka po japońsku, Kioshi?

– Mądry chef-san słusznie się domyślił.

– Ale to przecież głosy dzieci!

– Tak, Międzynarodówki uczy się już w przedszkolach, i to w zależności od politycznych przekonań pedagogów.

Nie czułem się zdolny do natychmiastowego podjęcia jakiegoś działania. Najpierw musiałem przetrwać to, co usłyszałem. Zaraz jednak uspokoiła mnie jedna myśl. Przecież w każdej szkole pracowało kilku nauczycieli. To niekoniecznie Mori-san musiał polecić śpiewanie Międzynarodówki.

Skinąłem na mojego towarzysza i energicznym krokiem podszedłem do baraku. Zapukałem i zaraz otworzyłem drzwi.

Nie wydaje mi się, żeby Mori-san choć na sekundę stracił pewność siebie. Dyrygował spokojnie dalej. Dzieci – podobnie jak w zachodnich szkołach chłopcy i dziewczęta – stały na baczność przy starych drewnianych ławkach. Dziewczęta odwróciły głowy. Chłopcy okazali dyscyplinę.

Najwidoczniej krótkie japońskie słowo wypowiedziane przez Mori-san znaczyło: „siadać!”.

Klasa usiadła nieomal bezszelestnie. Wychowanie – japońska kindersztuba! Moje spojrzenie powędrowało ku wielkiemu portretowi Stalina wiszącemu obok tablicy. Była to tania reprodukcja utrzymana w jaskrawych barwach. Ojczulek Stalin uśmiechał się znad wyszczotkowanych wąsów, spoglądając na młody Nippon.

– Proszę szanownego Mori-san o wybaczenie za moje wtargnięcie. Gdybym się spodziewał, że odbywa się właśnie nauka religii, zaczekałbym do przerwy na zewnątrz – poleciłem przetłumaczyć Tanace. Nie wiem, czy to zrobił, ale odpowiedź Mori-san brzmiała:

– Nauczanie religii i etyki zostało zabronione przez władze okupacyjne. Rozejrzeliśmy się za czymś zastępczym.

Oho! Doskonale ripostował. Czego się miał obawiać? Nie byłem z policji, a żyliśmy w demokratycznym kraju. Czerwonych przywódców aresztowano, organy prasowe zarekwirovano, demonstracje rozproszono, ale pojedynczych komunistów nie prześladowano. Nie doszło jeszcze do zdelegalizowania samej partii.

Pod nieruchomym spojrzeniem Mori-san poczułem się nagle niezręcznie, obawiając się, że sprawiam wrażenie kogoś ze Scotland Yardu polującego na szpiega, którym nie był. Był po prostu obywatelem demokratycznego kraju o określonych przekonaniach politycznych!

Mori-san właściwie zinterpretował moje wahanie i niepewność. Z lekkim ukłonem zapytał, jak gdyby nic się nie stało:

– Panowie chcą ze mną rozmawiać? Proszę o chwilę cierpliwości.

Zwrócił się do klasy, aby polecić dzieciom wykonanie jakiegoś ćwiczenia w czasie swojej nieobecności. Uczniowie natychmiast wyciągnęli zeszyty, pochylając się nad nimi i sięgając po pędzelki i kałamarze z tuszem. Zdziwiony zauważyłem, że Kioshi z niezrozumiałych powodów okazuje niepokój. Policzki płonęły mu rumieńcem, a na jego twarzy rysowało się coś na podobieństwo zawstydzenia. Czyżby Mori-san ośmielił się zadać dzieciom temat, którego sens kierował się przeciwko władzom okupacyjnym?

Nie mieliśmy już czasu dyskutować o tym, gdyż gospodarz poprowadził nas do mieszkania. Musieliśmy przemierzyć zakurzony dziedziniec, więc zobaczyliśmy, jak przedszkolanka ćwiczy z dziećmi jakąś zabawę w kole. Przynajmniej to odbywało się bez polityki. Pucłowate japońskie dzieciaki podskakiwały wokół niczym stadko trzepoczących skrzydłami wróbli. Ich dźwięczne głosy roznosiły się daleko i nieco rozchmurzyły moje myśli.

Mori-san spokojnie otworzył drzwi domostwa. Natychmiast zobaczyłem wielki portret Lenina, tam gdzie ostatnio widniała jaśniejsza plama. Sytuacja była jasna. Ojciec Yuriko okazał się komunistą!

Kioshi odczekał, aż usiedliśmy, a potem wypowiadając kilka zdań wyjaśnienia, przekazał Mori-san upominek, który gospodarz przyjął, ale nie rozpakował. Wymieniono z obu stron uprzejmości.

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z pracy mojej niewiele wartej córki – polecił wreszcie przetłumaczyć mój rozmówca, patrząc na mnie chłodno, ale nie bez wyczekiwania.

Zachodnim zwyczajem przeszedłem do ataku, odpowiadając:

– Jak dotąd nie miałem najmniejszego powodu do niezadowolenia. Ponieważ jednak dzisiaj stałem się mimowolnie świadkiem politycznej demonstracji w pańskiej szkole, chciałbym zaznaczyć, że w mojej firmie nie będę tolerował politycznej aktywności moich pracobiorców.

Kioshi złagodził nieco ton mojej wypowiedzi, gdyż jego tłumaczenie trwało odpowiednio dłużej. Wreszcie zaczerpnął głębiej powietrza i przekazał mi odpowiedź nauczyciela:

– Mówi, że celowo pozwala córce na studiowanie na liberalnym uniwersytecie, aby sama wyrobiła sobie niezależne poglądy polityczne. Jak dowodzi jego postępowanie, nie zabronił jej także zapoznania się z Zachodem. Czas, gdy wciskano młodzież w duchowy kaftan bezpieczeństwa, na szczęście minął już w Japonii, a to dzięki wyzwoleniu jej przez Amerykę.

Ostatnia uwaga zakrawała na ironię, ale twarz mojego rozmówcy pozostała nieprzenikniona.

– Jeśli jednak postępowanie jego córki wzbudzi kiedykolwiek moje zastrzeżenia, to mam wszelkie prawa do tego, aby ją zwolnić, która to nowość w życiu gospodarczym i zawodowym znajduje jego pełne uznanie.

Zwolnić Yuriko? Poczulem skurecz w sercu. To nie wchodziło w rachubę. Po co wtedy miałbym tu jeszcze być? Teraz już wiedziałem, jak wyglądał światopogląd jej rodzica. Jednak miał rację; była na tyle dorosła i na szczęście wystarczająco roztropna, aby sama zdecydować o wyznawanym przez siebie politycznym credo. Ja, głupiec, nie miałem natomiast pojęcia o stosunkach rodzinnych Japończyków, o relacji pomiędzy ojcem i córką. Wyjaśniłem zmieszany, że nie myślałem o zwolnieniu, oraz że żałuję, iż przerwa semestralna zbliża się już ku końcowi.

Mori-san zdawał się słuchać tego nie bez satysfakcji, a wreszcie wyraził przekonanie, że jego nieutalentowana córka czegoś się u mnie nauczyła. Musi także podziękować mi w imieniu wielu robotników i rzemieślników, którym w mojej firmie udało się zdobyć lepsze kwalifikacje zawodowe.

Zdawkowe uprzejmości – miałem ich dość, więc wstałem z miejsca. Również Mori-san miał na tyle oleju w głowie, że bez trudu się domyślił, czego u niego szukałem i co znalazłem. Spożyliśmy skromny poczęstunek, a następnie wyproszono nas za drzwi w najbardziej dosłownym

sensie tego słowa. W tym względzie również i Japończyk-komunista pozostał nieodrodnym synem Nipponu.

Gdy zajęliśmy już miejsca w samochodzie, przypomniałem sobie o zakłopotaniu Kioskiego w klasie szkolnej. Zapytałem więc od niechcienia, czy Mori-san polecił dzieciom znaleźć najlepszy sposób, w jaki można się znowu pozbyć cudzoziemców z Japonii. Kioshi Tanaka spojrzął na mnie i odpowiedział powoli:

– Była to zniewaga wymierzona przeciwko czcigodnemu chef-san, nawet jeśli z pozoru na taką nie wygląda. Zadał dzieciom wypracowanie: Co wiem na temat kontroli urodzin...

Otworzyłem szeroko zdumione oczy, a potem roześmiałem się, jak gdybym usłyszał dobry dowcip.

– Musiał się pan przesłyszeć, Kioshi-san, przecież to były dzieci w wieku od sześciu do dwunastu lat.

Kioshi nie okazał wesołości.

– To nie przeszkadza mu w poruszaniu takich tematów. Nie wątpię też, że potraktował go poważnie. Wprawdzie potomstwo w naszym kraju uświadamia się wcześniej i zupełnie bez sentymentów, ale to idzie trochę za daleko.

Nie bardzo to wszystko rozumiałem. Wreszcie oświeciło mnie, dlaczego ta właśnie kwestia oznaczała dla mnie hańbę. Byłem Amerykaninem, a Ameryka wszelkimi sposobami starała się wprowadzić w Japonii antykoncepcję. Nasze siły okupacyjne nie znalazły żadnego innego rozwiązania problemu przeludnienia wysp, jak ten właśnie podstępny zamach na życie. Więcej, oburzaliśmy się, gdy komuniści natychmiast podjęli całą sprawę, dolewając jeszcze oliwy do ognia!

Poczułem, jak krew uderza mi do głowy.

– Kioshi, nie powie mi pan chyba, że rodzice tych dzieci, gdyby wiedzieli o takim postępowaniu, nie podjęliby żadnych środków zaradczych?

Mój młody tłumacz spojrzął na mnie z troską.

– Zapomina pan, że żyje w Japonii, chef-san. Tu wszystko jest inne. Rodzice tych dzieci uczęszczali jeszcze do szkół, w których nauczyciela uważano za istotę wyższą i godną respektu. Nie wolno się było jej sprzeciwić, a słowa przyjmowano jak rozkazy, których należało się nauczyć na pamięć bez względu na treść.

– Wobec tego muszą także przejść komunizm od tych pijawek! – oburzyłem się.

– I tak z reguły się dzieje. Komuniści doskonale wiedzą, dlaczego wybrali drogę przez środowisko nauczycielskie.

Zamilkłem pogrążony w myślach. Skoro tak to wyglądało, to jaką szansę, jaką odpowiedzialność miały szkoły misyjne i jakie zadanie stało przed Uniwersytetem Sophia w Tokio!

– Szkoła japońska ma w naszym kraju wszelkie pełnomocnictwa wychowawcze, poczynając od przedszkola aż do trzypięcioletniej szkoły wyższej. To ona formuje dziecko, a nie dom rodzinny. Proszę, żeby czcigodny chef-san pamiętał o tym – dotarł do mnie cichy głos Kioskiego.

W głowie roztrząsałem gorączkowo tylko jedną myśl:

– Wobec tego Yuriko też przeszła przez szkołę swojego ojca i jest obciążona tą niszczycielską wiedzą. Kiedy wstąpiła na uniwersytet, była już skrzywiona wewnątrz, i to w wybranym przez niego kierunku.

Kioshi milczał taktownie. Ani jednym słowem nie pokazał, że potwierdziła się jego opinia na temat Mori-san.

Zatrzymałem się przed terenem firmy, której żółte szyldy z czerwonymi literami widoczne były już z daleka, i stwierdziłem zdecydowanie:

– Kioshi-san, proszę przygotować mi listę wszystkich szkół misyjnych w Tokio, a także zredagować ofertę, w której proponuję im bezpłatne wypożyczenie moich samochodów dla celów misyjnych.

Rzadko można było zobaczyć tak rozpromienione oblicze jakiegoś Japończyka, jak mojego młodego tłumacza. Skłonił się, jak gdybym był co najmniej prawą ręką Tenno.

Dopiero później dotarło do mnie, że poczułem wewnętrzny sprzeciw przed zleceniem tego

zadania Yuriko. Czyżbym przestał jej ufać? Czy nie mogłem już polegać na córce Moriego? W ponurym nastroju wszedłem do domu.

Yuriko ubrana w zieloną, kwiecistą, letnią suknię siedziała pochylona nad listem nadesłanym z okolic Oshimy. Bogaty Japończyk, właściciel flotylli kutrów rybackich, prosił, abyśmy przybyli do niego z nowoczesnym pojazdem, ponieważ choroba nie pozwalała mu zjawić się u nas w firmie.

Yuriko spojrzała na mnie z radością w oczach.

– W tej okolicy, w rybackiej wiosce na małej wyspie, żyje moja jedyna siostra – wyszeptała cicho nieomal z prośbą. W jednej chwili zapomniałem o własnych kłopotach.

– Oczywiście, dam pani okazję, aby ją odwiedzić. Za to oczekuję pomocy podczas negocjacji z armatorem.

Skłoniła się uszczęśliwiona. Jeden jej uśmiech rozproszył wszystkie moje troski.

*

Na początku września, w słoneczny jesienny dzień szybką łodzią motorową ruszyliśmy przed siebie w głąb Zatoki Tokijskiej. Głodnym wzrokiem rozglądałem się po otaczających nas żywiołach, wodzie i błękitnym niebie.

Na rozkołysanej od fal tafli morza leżały rozproszone wkoło, małe zielone wysepki porośnięte gęstymi zaroślami, skrzypiącymi sosnami i samotnymi skałami, na których sztormy i szkwały tak często próbowały swoich sił, że wraz z wodą i piaskiem uformowały ich dziwaczne kształty. Okrążały je nieustannie wrzeszczące mewy, wypatrujące pomiędzy wodorostami łatwej zdobyczy.

Mieliśmy czas i potraktowaliśmy tę wyprawę jako odpoczynek. Sprawy handlowe udało się szybko załatwić. Armator okazał się starszym, na wpół sparaliżowanym człowiekiem, mieszkającym na wybrzeżu i poszukującym wygodnego pojazdu, który jednocześnie ulżyłby mu i w dolegliwościach, i w pracy. Z pomocą Yuriko szybko doszliśmy do porozumienia, więc umowę kupna miałem już w kieszeni.

Teraz czekała nas wycieczka na małą wysepkę rybacką, jedną z setek rozsianych szeroko na morzu, chwila radości dla szczęśliwych ludzi chcących cieszyć się pogodnym dniem. Po drodze napotykalismy inne motorówki i parowce podążające tym samym szlakiem. Widziałem, jak czarne migdałowe oczy Yuriko spoglądają za nimi tęsknie. Wreszcie wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Tam płyną ku wyspie pięknej śmierci!

Nie docierało do mnie to, co mówi. Wskazywała ku bajecznemu skrawkowi ziemi unoszącemu się nad błękitną tonią niczym fatamorgana, zwieńczonemu wysoką górą otoczoną kłębamii białej pary.

– Oshima! – wyszeptała.

Wstrząsnęło mną. Oshima to przecież ciesząca się złą sławą wyspa wulkaniczna z ciągle czynnym kraterem Mihara. Znałem ją jedynie z opowiadań wycieczkowiczów z mojej firmy, którzy udali się tam, aby odwiedzić stare herbaciarnie i luksusowe hotele, a także odważyć się na niebezpieczne wejście na zbocze dymiącego stożka. Jedna z łodzi wynajęta przez studentów również się tam kierowała. Pewnie przed rozpoczęciem zimowego semestru młodzi ludzie chcieli jeszcze wykorzystać wakacyjny dzień, ale na wyspie śmierci?

– Oshima – wyszeptała Yuriko w rozmarzeniu, co sprawiało, że odnosiło się wrażenie jak gdyby jej usta delektowały się słowami. – Nigdzie nie umiera się piękniej jak na Oshimie. Tam kochający się wybierają Tengokueno-michi, drogę do nieba. Trzeba tylko piętnastu sekund, aby gojinka, boski ogień, strawił ich ciała.

Pochyliłem się, jak gdybym musiał wyrwać ją z otchłani czaru. Jej piękne, skośne oczy spoglądały tęsknie ku Miharze który nagle stracił dla mnie cały swój urok.

– Śmierć, Yuriko, dlaczego? Nie, nie potrafię sobie tego wyobrazić. Proszę spojrzeć na tę młodą parę studentów w łodzi. Płyną tam pewnie po to, żeby cieszyć się pogodnym dniem.

Spojrzała na mnie.

– W kraju Nippon jest niewiele spełnionej miłości. Dla wielu jedynym wyjściem jest wspólna śmierć. Dlatego udają się na Oshimę.

Japoński sternik kierujący naszą motorówką nie rozumiał ani słowa z naszej konwersacji. Uśmiechał się tylko przyjaźnie i stereotypowo. Przysunąłem się ku Yuriko, która nagle wydała mi się dziwnie zagrożona, choć z każdą minutą oddalaliśmy się od wyspy śmierci.

– Yuriko! – zawołałem głośno, jak gdybym, żeby dotrzeć do jej serca, musiał najpierw przekrzyczeć wabiący szum spienionych fal, przenikliwe krzyki mew i głuchoe odgłosy okrętowych syren. – Mam nadzieję, że nie wierzy pani w to, iż we współczesnej Japonii samobójstwo jest rozwiązaniem dla młodych, kochających się osób? Czy nasze przepisy matrymonialne nie otworzyły drogi do szczęścia każdej parze?

Siedziała w bezruchu. Tylko jej prawa dłoń zwieszała się nad burtą łodzi głaszcząc syczące pianą grzywy fal.

– Przepisy – uśmiechnęła się z lekką pogardą – nie zniosą tak szybko odwiecznej tradycji. Pobożni zakochani podporządkują się wyroczni bogów małżeństwa decydującej o każdym związku,

a przemawiają oni przez wolę i postanowienia rady rodzinnej.

Zerknęła w stronę białego parowca wycieczkowego, na którego pokładzie kilka par wspierało się o reling, bok przy boku – pośród nich stał także amerykański żołnierz z małą roześmianą Japonką i trzymali się nawet za ręce.

– Nie zgadzam się, Yuriko! – sprzeciwiłem się, gdy odzyskałem rezon. – Proszę spojrzeć, ten statek też rzuca kotwicę u brzegów Oshimy. Ale podróżujący nim zakochani są szczęśliwi. Słyszała pani śmiech tej dziewczyny? Brzmiał jak wołanie mewy.

Przytaknęła.

– Córki Nipponu nie płaczą. Idą z uśmiechem na zagładę w śmiertelnej otchłani miłości – jej głos zabrzmiał dziwnie uroczyście.

Przy tym uśmiechała się sama.

Miałem dość. Już chciałem zaprotestować, dowieść jej, że samobójstwo to bezsens oznaczający nie spełnienie, lecz raczej kres, gdy nasz sternik odwrócił się i poinformował uprzejmie:

– Komashima.

Najwidoczniej nazwa wyspy. Tak, Yuriko tak ją nazwała. Stępka zaszurała w piasku wybrzeża małego skrawka lądu. Wstaliśmy i doprowadziliśmy do porządku nasze ubiory. Moja towarzyszka rozmówiła się z marynarzem i prosiła, aby poczekał na nas dwie godziny. Zapłaciłem mu z góry, a on przycumował łódź.

Stanęliśmy obok siebie w kołyszącym się na wietrze sitowiu. Wysepka rybacka rozciągała się szerokim zielonym cieniem na tle błękitnego morza. Nad naszymi głowami ku wschodowi wyciągała swoje gałązki szydlica. Oshima leżała daleko. Tutaj na krótki czas chcieliśmy zapomnieć o zabieganej codzienności i przeżyć wspólnie urok starej romantyki Japonii. Gdyby była dziewczyną z Zachodu, to trzymając ją za rękę, pobiegłbym z nią przez piaszczystą plażę. Ale nie miałem odwagi jej dotknąć. Pomimo wszelkich zachodnioliberalnych wpływów wokół Yuriko czuło się nieuchwytną barierę, jaką wokół każdej dziewczyny tworzyło starojapońskie wychowanie.

Powoli, delektując się każdym krokiem, pomaszrowaliśmy w głąb lądu. Wyspa była mała, miała zaledwie parę kilometrów. Nadchodząc z zachodu, mogliśmy łatwo dojrzeć unoszący się nieco wschodni brzeg. Na stojakach rozwieszono już do suszenia pierwsze sieci, a powietrze przepełniał ostry zapach wodorostów, soli i morskiej wody. W trawie cykały świerszcze, a przed nami bujały się w słońcu połyskujące lazurem ważki.

– Pięknie tutaj – orzekłem, oddychając głęboko. – Nie powinno się żyć w dużym mieście, gdzie Wschód i Zachód zderzają się ze sobą. Tu pewnie można zobaczyć Japonię, jaką znam ze starych historii.

Spojrzała na mnie z ukosa, podniosła brodę i wskazała na pierwszy z małych domków wylaniających się spoza wydm:

– Tam mieszka przywódca ruchu walczącego o wolność rybaków – powiedziała twardo. – On już zatroszczy się o to, żeby skończyła się wreszcie „stara Japonia”, również i na wyspach.

Poczułem się, jakby wylano mi na głowę kubał zimnej wody.

– Tak – dodała Yuriko. – Czcigodny chef-san jest cudzoziemcem i nie orientuje się w wielu sprawach. Przez stulecia drobni rybacy nie posiadali własnych łodzi ani sieci. Tak tu jest i dzisiaj. Tylko teraz pojawiły się kapitalistyczne koncerny. To one ciemnią prostych ludzi jak kiedyś ten stary armator, któremu sprzedaliśmy samochód. Ale Matsu-san zrobi z tym porządek.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, zapytałem:

– Matsu? Czy to lider komunistyczny?

Wydawało się, jak gdyby otaczający nas krajobraz i szeroki horyzont morza dodały jej odwagi, by mogła mówić otwarcie.

– Owszem – odparła niezwykłym dla niej hardym tonem. – Jest tutaj jedynym, który czegoś chce. Walka potrwa wprawdzie jeszcze długo, ale wszystko w Japonii potrzebuje czasu. Kiedyś rybacy z Komashimy podziękują mu za wolność.

Poczułem w ustach smak gorzkości, ale nie spowodowała go ani surowa morska bryza, ani ostry zapach ryb przepełniający powietrze, ani dym niesiony wiatrem od wioski.

– A pani siostra, Midori? – zapytałem z ociąganiem przygotowany na to, że usłyszę, iż należy pewnie do komunistycznego ruchu kobiet i zajmuje tam ważne stanowisko.

Spuściła głowę, jak mi się wydało, też wracając do rzeczywistości.

– Midori uosabia stary świat. Ona i jej mąż są niestety bardzo konserwatywni. Nie rozumieją celów Matsu-san.

Odetchnąłem.

– Ale chce ją pani odwiedzić?

Yuriko przytaknęła.

– Nie wolno ich zostawić na pastwę zagubienia, bo pewnego dnia świat przetoczy się nad nimi i zmyje ich do morza.

Nie podzielałem tej troski, gdy po raz pierwszy przekroczyłem progi małej, schludnej rybackiej chatki. Midori wraz z piątką dzieci zasiadła właśnie do posiłku, ukazując obraz japońskiej matki, która z niewypowiedzianą cierpliwością i miłością karmi najpierw swoich bliskich, zanim na koniec pomyśli o sobie. Najmłodsza pociecha, kilkumiesięczny śpiący chłopczyk, zawinięty w płótno, zwisał jej na plecach, a jego czarna główka zakołysała się nad karkiem mamy, gdy z szacunkiem i nieco nieśmiało skłoniła się przed ogromnym cudzoziemcem z dużymi stopami. Tak, moje stopy – nie podano mi słomianych sandałów. Dom był ubogi, więc stałem w dziurawych skarpetkach na matach z sitowia niczym strach na wróble. Ale żadne z dzieci nie naśmiewało się ze mnie.

Zaproszono nas, abyśmy usiedli przy miedzianym piecyku, w którym żarzył się ogień z węgla drzewnego. Midori sięgnęła po patelnię i przyprawy, aby usmażyć mi kilka kawałków ryby, gdyż nie potrafiłem jej przełknąć surowej i nieposolonej, tak jak ją spożywały do ryżu te dzieci natury. Zrumieniona na otwartym ogniu smakowała wyśmienicie. Musiałem się pilnować i nie okazywać zbyt dużego apetytu, bo chociaż morskie powietrze sprawiło, że poczułem głód, to przecież gospodarze nie spodziewali się naszej wizyty.

Obie siostry rozmawiały z sobą żywo, próbując uprzejmie włączyć i mnie do swojej dyskusji. Ja natomiast zająłem się chłopcami, którzy nie spuszczała ze mnie wzroku. Rozdałem im ostatnie kawałki gumy do żucia, podarowałem zagraniczne monety, a także inne drobiazgi znalezione w kieszeniach moich spodni. Na szczęście w prowiancie na drogę znalazła się także czekolada, której widok rozpromienił dziecięce twarze.

Ukradkiem przyglądałem się obu siostrze, tak bardzo do siebie podobnym. Twarz Midori była jednak pełniejsza, a jej ruchy łagodniejsze i bardziej macierzyńskie. Pewnie w młodości wyglądała tak delikatnie i energicznie jak Yuriko. Żałowałem, że nie poznałem rybaka, ale wyruszył właśnie wraz z innymi na połów.

Fascynowało mnie przyglądanie się, jak Japończycy jedzą, posługując się pałeczkami i zonglując miseczkami z laki niczym w teatrze. Dzieci również opanowały tę niepojętą dla mnie sztukę: najpierw zanurzały każdy kawałek ryby w przygotowanym sosie, a następnie szybko wkładały sobie jedzenie do ust, nie roniąc z niego ani jednej kropli. Niemowlę na plecach Midori obudziło się także i przyglądało się cierpliwie, jak wszyscy jedzą. Ani jeden odgłos nie zdradzał, że się nudzi. Nie przeszkadzała mu także moja obca dla niego twarz. Co za idylla!

Sam nie wiem, jak się to stało, ale tutaj czułem się równie dobrze jak u Teruko, jak zawsze, gdy otaczało mnie prawdziwe japońskie życie. Szybko minęły dwie godziny. Na koniec poznałem jeszcze Matsu-san. Nie potrafiłem ukryć, że ciekawy byłem człowieka pragnącego odmienić życie na wyspie. Czy przypadkowo znalazł się na drodze, czy może obserwował przybyszów? Wyższy od większości tubylców, stanął potężny w rozsuwanych drzwiach, ubrany w silnie pachnący tranem rybacki przyodziewek. Głowę, podobnie jak większość jego ziomków miał ogoloną do skóry. Z wielkim trudem przyzwyczailem się do tego widoku pośród moich pracowników. Na początku wydawało mi się ciągle, że mam do czynienia ze zbiegłymi więźniami. Jedno spojrzenie w ciemne, mądre oczy Matsu powiedziało mi, że komuniści nie popełnili błędu, szkoląc politycznie tego młodego człowieka o potężnych pięściach i trzeźwym umyśle.

Nie zdziwiło mnie, kiedy Yuriko przekazała swojej siostrze pakiecik. Ostatecznie nie składa się w Japonii wizyt bez podarunków. Zaskoczyło mnie jednak, gdy drugi pakiecik wręczyła obcemu

mężczyźnie, otrzymując od niego w zamian dużo mniejsze zawiniątko. Oczywiście żadnego upominku nie otwarto, to uchodziłoby za niegrzeczne. Cóż to za uprzejmości wymieniali tak długo?

Po raz pierwszy poczułem się zepchnięty na margines, gdyż nie rozumiałem ani słów, ani gestów. Poczułem samotność bycia obcym pomiędzy tak różnymi ode mnie tubylcami. W pewnej chwili miałem wrażenie, jak gdyby dotknęło mnie długie, badawcze spojrzenie jego ciemnych, przenikliwych oczu, jak gdyby zapytał o coś, co mnie osobiście dotyczy. Ale z krótkiej odpowiedzi uśmiechniętej Yuriko nie dało się niczego wywnioskować. Wkrótce potem Matsu-san się pożegnał, a i dla nas nadszedł czas powrotu.

Dzieci długo stały przed domkiem, machając nam na pożegnanie:

– Herro, herro-san! – krzyczały za nami ile sił w płucach.

Jedyne angielskie słowo, jakie znały, to „hallo”, a ponieważ nie potrafiły wymówić „l”, więc zrobiło się z niego „herro”. „San” – grzecznościową sylabę – musiały oczywiście dodać, aby być uprzejmymi dla obcego pana Hallo zza oceanu.

W milczeniu kroczyliśmy przez wyspę ku plaży, każde pogrążone w swoich myślach. Jak daleko musiałbym wędrować, aby znaleźć Japonię niedotkniętą jeszcze wpływami Zachodu i politycznymi rozgrywkami? Znany mi z lirycznych wierszy Nippon już nie istniał. Musiałem pogodzić się z terażniejszością taką, jaka była. Yuriko też wydała mi się dziwnie cicha, prawie przygnębiona.

Rozcinając z sykiem fale, nasza łódź popędziła ku wybrzeżu, gdzie oczekiwał samochód, którym mieliśmy pojechać do Tokio.

*

Czyżby w stolicy rozszalało się piekło?

Nie przeczuwałem jeszcze niczego, gdy skręciwszy do Marunouchi zobaczyłem zagradzające nam drogę grupy młodzieży. Ale im bardziej zbliżaliśmy się do centrum, tym groźniejsze stawały się ludzkie masy. Nie można było przejechać. Musieliśmy stanąć na pół godziny. Oddział japońskiej policji o niespotykanej liczebności wsparty siłami naszych żandarmów wojskowych w białych hełmach zamykał niektóre ulice dojazdowe. Zagadnąłem jednego z nich.

– Hallo, co to za teatr? Spieszmy się. Czy główną drogą znowu maszeruje jakiś orszak szinto?

Żołnierz się zaśmiał.

– Chciałbym, żeby tak było. Demonstracja studencka. Dzisiaj nadeszła wiadomość, że w San Francisco podpisano układ pokojowy, oczywiście z wyjątkiem ZSRR i czerwonych Chin. Komunistyczna młodzież oszalała. Przed Daiichi Building musieliśmy użyć siły, żeby ich rozproszyć.

Potrząsnąłem głową.

– Nonsens! Przecież protesty i tak tego nie zmieniają. Ciekaw jestem, kto podburzył młodzież. Pewnie zebrało się jej parę setek?

Policjant wyśmiał mnie.

– Chyba raczej tysięcy. Nie, nie ma co myśleć o przedostaniu się tędy. Proszę spróbować objazdu i pytać wokoło, jak się wydostać z tego rozgardiaszu. Może najlepiej zostawić samochód, aż wszystko się uspokoi.

Zdenerwowałem się.

– Tego jeszcze brakowało! Odbywam podróż służbową i przed zapadnięciem zmierzchu chcę wrócić do Jokohamy.

Żandarm zasalutował.

– Well, ale proszę uważać, ci studenci są zdolni do wszystkiego!

Spojrzałem na Yuriko. Była blada. Przed sobą trzymała kurczowo małe zawiniątko, które otrzymała od Matsu-san. Ciągle jeszcze skrywała je jedwabna chusta. Odważyłem się na żart.

– Czy chce pani wysiąść, Yuriko, żeby wziąć udział w demonstracji?

Jej wargi zadrżały nerwowo.

– Jestem w pracy, podobnie jak chef-san. Zostaję z panem. Ale radzę, żebyśmy zaczekali.

– Co takiego? Czy rzeczywiście mamy do czynienia aż z takimi radykałami? Zobaczmy! Mam już za sobą niejedną próbę przebicia, kiedy ostro strzelano.

Dałem gazu, zawróciłem samochód i skręciłem w boczną ulicę, ruszając na północny zachód. Czy to złość kipiała we mnie, że z zacięciem i na ślepo miałem zamiar wywalczyć swoje prawa? Nie zważałem na tłumy młodych ludzi cisnących się z prawa i z lewa w zbitych gromadach, z czerwonymi chustami na szyjach, śpiewających i skandujących. I nagle znaleźliśmy się w samym centrum zamieszek; musiało to być w okolicy czerwonego Uniwersytetu Waseda.

Jak gdybyśmy byli pośród watahy wilków, zaraz zostaliśmy otoczeni. Nagle wszyscy Azjaci mieli takie same wykrzywione wściekłością twarze, takie same błyszczące, skośne oczy. Natychmiast wzniosły się ku nam zaciśnięte pięści. Rozpoznano luksusowy samochód znienawidzonych Amerykanów „wyzyskujących Japonię”. Opuściłem szybę. Odsunęli się nieco. Mieli jeszcze szacunek dla gestu odwagi. Ale po chwili dojrzeli siedzącą obok mnie Yuriko. Myśleli pewnie, że to jedna z lekkomyślnych pańienek, więc natychmiast spadła na nią wściekła kanonada obelg.

Wokół nas rozległy się gwizdy i wycia. Kilku młodych ludzi pochyliło się, by sięgnąć po kamienie. I w momencie największego niebezpieczeństwa moja towarzyszka jednym ruchem otworzyła drzwi pojazdu. Czyżby postradała zmysły? Chciała przejść na stronę wroga?

Na próżno próbowałem ją powstrzymywać. Błyskawicznie rozwinęła jedwabną chustę kryjącą „podarunek” od Matsu i dźwięcznym, prawie łamiącym się głosem kilkakrotnie coś zawołała. Studenci zamarli nagle, stali się nieruchomym murem milczenia.

Yuriko machnęła ulotkami, całymi plikami zadrukowanego na czerwono papieru, których

rodzaj i pochodzenie nie pozostawiały żadnych wątpliwości, chociaż widniały na nich japońskie litery. Z nieomal rozpaczliwą desperacją rzuciła swoją ofiarę młodym ludziom, którzy spadli na nią niczym głodni na chleb. Nie pozostawiono ani jednego egzemplarza. A potem otwarł się przed nami wąski przejazd. Najwidoczniej powtórzono wokoło jakieś hasło. Mogliśmy przejechać.

Yuriko usiadła sztywno w samochodzie, jak gdyby nie widząc tego, co się stało. Jej twarz nie miała żadnego wyrazu.

– Yuriko – zagadnąłem ją, próbując nadać mojemu głosowi jak najdelikatniejsze brzmienie – myślałem, że córki Nipponu nie płaczą.

Spuściła głowę zasłaniając twarz rękoma.

– O, wszystko zdradziłam. Matsu-san, mojego ojca, siebie samą i pana, mojego szefa. O, ja niegodna!

Odczekałem chwilę. Potem powiedziałem:

– Proszę nic nie mówić, Yuriko. Być może dzisiaj uratowała mi pani życie, a to znacznie więcej warte niż działania, których nie pochwalam w pani postępowaniu.

Ktoś zastukał w szybę:

– Hallo, idiota, jechać!

Znajome słowa. Nacisnąłem na gaz, ruszyliśmy dalej.

– Obiecuję pani, Yuriko, że nie będę o nic pytał. Nie chcę też wiedzieć o żadnych kontaktach – oznajmiłem, nie spuszczając wzroku z drogi.

– Proszę czciwego chef-san, aby mnie zwolnił z pracy – zwróciła się do mnie zduszonym głosem.

Uśmiechnąłem się.

– Nawet o tym nie myślę. Wręcz przeciwnie, chciałbym, żeby jeszcze dzisiaj wieczorem podpisała pani umowę na ferie wiosenne.

– Pan nie wie, co się stało, chef-san.

– Mogę sobie mniej więcej wyobrazić. To wystarczy. Chcę panią zatrzymać, Yuriko, ponieważ żywię co do pani osoby desperacką nadzieję, że człowiek pani pokroju odnajdzie właściwą drogę, której nie dyktuje nienawiść.

Milczała. Na poboczach drogi zapłonęło gazowe oświetlenie.

Gdy zatrzymaliśmy się w Jokohamie przed moją willą, był już wieczór, głęboki, pogodny, a przecież pełen niespokojnej tęsknoty.

Staliśmy pod jedną ze starych, kamiennych latarni, która oświetlała nas złotym blaskiem swojego płomienia. Yuriko podała mi rękę, jej głos drżał, ale twarz znowu miała spokojną.

– Proszę pozwolić mi na pożegnanie, chef-san.

– Dobrze, Yuriko, ale nie na zawsze. Zobaczymy się znowu!

Chciałem, żeby moje słowa miały moc zaklęcia.

– Czy czciwodziwy chef-san zgodzi się, abym ostatnie dni przed rozpoczęciem semestru spędziła w domu?

Zawahałem się przez chwilę.

– Oczywiście, Yuriko. Proszę tylko o powiadomienie mnie, kiedy podczas studiów będzie pani u Teruko.

Odetchnęła głęboko, ale milczała. Nie potrafiłem bardziej nalegać. W przypiływie nagłego impulsu pochwyciłem jeszcze jej dłoń.

– Proszę mi przyrzec, Yuriko, że to nie koniec.

– Straciłam przed panem twarz, chef-san.

Zaprzeczyłem gwałtownie:

– Nonsens, Yuriko, po raz pierwszy była pani prawdziwą kobietą.

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, nieomal z lękiem, czy przypadkiem nie kpię z niej.

– Czy... czy nikt nie dowie się o mojej hańbie?

– Że pani płakała? Nie, a jeśli sobie pani życzy, to i ja całkiem o tym zapomnę.

– Potrafi pan?

– Przysięgam pani, Yuriko.

Wyrwała mi dłoń z ręki.

– Sayonara – powiedziała nagle, a ja przypomniałem sobie jej wyjaśnienia, że to pozdrowienie kieruje się jedynie do osób, które pragnie się znowu spotkać. Oznaczało coś innego niż brytyjskie farewell czy good bye.

– Sayonara! – zawołałem za nią. Nie odwracając się, pobiegła uliczką oświetloną szeregiem kolorowych świateł. Długo jeszcze widać było jej jasną letnią sukienkę.

O tym, co tego dnia przytrafiło mi się w Tokio, nikt się nie dowiedział, nawet Jim Lesley, który zainteresował się jedynie podpisaną umową. Następnego dnia krzyczące nagłówki gazet donosiły o gwałtownych starciach lewicujących studentów z policją, aktach wandalizmu i przemocy, aresztowaniach i karach dla agitatorów.

– I tamtędy udało ci się przejechać? – zapytał mnie współnik.

– Sam widzisz, co potrafi Grane Motors – i tylko tyle usłyszał ode mnie w odpowiedzi.

*

Nadeszła jesień, przynosząc regularne opady i szarą ścianę wilgotnej mgły prawie bez przerwy zwieszającą się za oknami. Na szczęście całkowicie pochłonęła mnie praca. Handel samochodami kwitł. Zewnętrznie w moim harmonogramie dnia nic się nie zmieniło, tyle tylko że odtąd moim stałym towarzyszem stał się Kioshi.

Czy domyślał się, jak odczuwam tę zmianę?

W pierwszych dniach po odejściu Yuriko nie miałem pojęcia, czego mi brakuje. Czasami wydawało mi się, że zapadłem na jakąś chorobę. Głowa i serce zionęły lodowatą pustką. Zżerał mnie gryzący niepokój, choć na zewnątrz desperacko starałem się udawać opanowanie. Przerzucałem poranne gazety z większym niż dotychczas pośpiechem – poszukiwałem kolejnych doniesień o nowych zamieszkach studenckich – ale japońska policja wsparta siłami naszej żandarmerii wykonała dobrą robotę. Gwałtowne wystąpienia przeciwko uroczystości podpisanemu układowi pokojowemu doprowadziły jedynie do tego, że komuniści jeszcze bardziej stracili uznanie wśród społeczeństwa. Tym sposobem nic nie mogli wskórać. Zbyt głęboko sięgały korzenie odwiecznej czci dla Tenno i obowiązującego prawa. Nie dało się bezkarnie rewoltować przeciwko nim.

Któregoś wieczora spotkałem ją w przelocie, prawie mnie nie poznała; zmierzała w stronę domku swojej ciotki otulona peleryną z kapużą, ściskając pod pachą aktówkę z notatkami. Gdy krótko odpowiedziała na moje pozdrowienie, a potem prawie z obawą, większymi krokami niż przystało na dobrze wychowaną japońską dziewczynę wbiegła do domu, stanąłem jak uderzony obuchem, wstrząśnięty i otępiały. Zobaczyłem, jak za papierowymi szybami zapalają się światła i nagle wiedziałem już, że ją kocham.

Odwróciłem się powoli i ruszyłem bez celu w mrok deszczowego wieczoru. Nie wiedziałem, dokąd mnie nogi niosą. Nie potrafiłbym też prowadzić samochodu. Otrząsnąłem się dopiero w porcie. Na redzie stało kilka ogromnych transatlantyków, ich burty zdobiły szeregi rozświetlonych bulajów. Marynarze śpiewali szanty w podmuchach słonego wiatru. Ale nie płonęła we mnie tęsknota za ojczystymi stronami.

Niczym zagubiony pasażer na gapę, który nie odważy się ruszyć w głąb lądu, przysiadłem na starej skrzyni noszącej na sobie białe litery wyblakłego napisu: „Made in Occupied Japan”. To też wkrótce przestanie być potrzebne. Po zakończeniu negocjacji pokojowych Nippon ponownie odzyska daleko idącą samodzielność; pozostanie może niewielki kontyngent wojskowy. Z pewnością dojdzie do znacznych ustępstw ze strony Zachodu. Czy to, co przeżyłem z Yuriko, będzie także początkiem w sferze prywatnej? Czy też wycofała się już na zawsze?

Drążył mnie ból, który obserwowałem ze zdziwieniem. Jeszcze nigdy mnie tak nie dopadło. Tu i tam za oceanem przeżyłem nic nieznaczącą miłośćkę, flirt w klubie, który szybko się kończył. Ale to było coś nowego. Yuriko stała mi przed oczami dniem i nocą. Widziałem jej uśmiech i łzy. Sposób, w jaki opuszczała oczy, wstrząsał moim sercem.

Co z tego wyniknie? Kochałem córkę komunisty, co do którego nie wiedziałem, czy jest niebezpiecznym agentem, czy nie. Przyłapałem ją na przejmowaniu i kolportażu nielegalnych materiałów, ale zachowałem to dla siebie. Studiowała na lewicującym uniwersytecie, była zatem całkowicie pod jego wpływem. Choćby mi jednak powiedziano, że to kierowana z Moskwy agitatorka, to i tak na nic by się to nie zdało wobec ogromu miłości wstrząsającej moim wnętrzem niczym jesienny orkan.

– Your papers, please!

Drgnąłem wystraszony. W twarz zaświecił mi latarką barczysty żandarm. Sięgnąłem do kieszeni. Co za głupiec ze mnie, wszystkie papiery zostawiłem w samochodzie. Wyglądało to na złośliwy kawał spleatany mi przez los, ale musiałem pomaszerować na posterunek. Na szczęście jeden telefon wyjaśnił wszystko.

– Musi pan wybaczyć, panie Grane, ale tropimy przemytników broni szmuglujących niebezpieczne materiały z Rosji do Korei.

Zdobyłem się na zmieszany uśmiech, nie potrafiłem bowiem podać konkretnych powodów mojej bytności w porcie. A może powinienem był wyjaśnić żandarmom, że – najprawdopodobniej

nieszczęśliwie – zakochałem się w japońskiej studentce? Gdy odchodziłem, patrzyli za mną, kiwając głowami. Z głośnika słuchanego przez nich radia w nocnej ciszy rozbrzmiewał najnowszy przebój To Fall in Love .

Musiałem się pozbierać, tak nie mogło być dalej. Każda decyzja podjęta w takim stanie ducha jest warta fortunę. Postanowiłem do niej napisać; uważałem, że to dobry pomysł. Niewielu Japończyków potrafiło czytać po angielsku. Gdyby list dostał się w niepowołane ręce, to nie narobiłby tak wiele szkody. Najlepiej osobiście oddam go w ręce Teruko-san.

Przesiedziałem pół nocy, pisząc pierwszy list do kobiety, którą rzeczywiście pokochałem. Potem z ciężką głową położyłem się spać. Rankiem Sato-san powiadomił mnie, że szczęśliwie udało mu się zapobiec pożarowi, bo zgasił żarzący się niedopałek jednego z dziesięciu wypalonych przeze mnie papierosów rzucony obok kosza na papiery. Przywykł do tego, żeby obejść jeszcze dom, po tym, jak jego lekkomyślny pan udał się już na spoczynek. Nie odważyłem się spojrzeć mu w oczy, wymruczałem tylko kilka słów podziękowania.

W chwilę później podarłem napisane nocą stronicę w drobne strzępy. Cała sytuacja zakrawała na ironię.

Z jednej strony pragnąłem jakiegoś rozwiązania, a z drugiej lękałem się go. Żeby tylko nie dostać uprzejmej japońskiej odmowy. Chciałem odczekać do ferii wiosennych i osobiście zapytać Yuriko na spokojnie. Przecież najpierw należało się przekonać, czy mogę liczyć na wzajemność. To, że pomogła mi wyjść cało z zamieszek studenckich, mogło równie dobrze być w jej własnym interesie. Rzuciłem się z desperacją w wir pracy.

Na szczęście nawiązaliśmy już mnóstwo znaczących kontaktów. Wielu przemysłowców z Osaki i Kioto zwróciło uwagę na nasze samochody. Gdybym tylko chciał, mogłem każdego dnia skorzystać z innego zaproszenia. Kioshi towarzyszył mi wiernie, wspaniale bezosobowy i nienarzucający się. Dla niezakochanego człowieka posiadanie obok siebie Japończyka jako doradcy stanowiło świetne rozwiązanie. Kłopoty sercowe zawsze przeszkadzają w życiu zawodowym i interesach, ale ja nie chciałem się już ich wyrzekać.

Przy tym należało się pogodzić z myślą, że Yuriko świadomie mnie unika. Kilkakrotnie odważyłem się na złożenie wizyty Teruko, ale nigdy nie zastałem jej bratanicy. Język migowy to dla zakochanego prawdziwa męczarnia. Nie rozumiałem ani słowa z tego, co pocziwa starsza pani starała się mi przekazać, a wstydziłem się zwrócić do Kioshiego o pomoc w tej sprawie.

Prawie do Bożego Narodzenia nosiłem w sobie ten ciężar, płonący w mojej duszy niczym krater Oshimy. Wreszcie nie mogłem już dłużej wytrzymać. Musiałem coś postanowić!

Z pomocą przyszedł mi list od ojca Tomasza, bo przecież zaoferowałem, że za pośrednictwem wypożyczalni samochodów wesprę dzieło misyjne. Odpisywał z radością, że mam się zwrócić do organizacji LARA – Licensed Agencies for Relief in Asia. Instytucja ta współpracowała ściśle z japońskim ministerstwem dobroczynności i podejmowała aktywność wszędzie tam, gdzie okazywało się to konieczne. Troszczyła się także o sprawiedliwy podział grantów od stowarzyszeń katolickich oraz wszelkich kolekt na cele misyjne. W okresie powojennym całymi tonami rozdzielała potrzebującym żywność i odzież.

Ojciec Tomasz prosił mnie jednak, bym najpierw zajrzał do niego. Chciał mi wystawić referencję dla wielbnego prałata Felseckera, szefa Akcji Katolickiej.

Było mi to bardzo na rękę. Do ojca Tomasza poczułem zaufanie już podczas pierwszego spotkania. Na pewno będzie mi potrafił doradzić w tej gardłowej sprawie. Tym razem nie musiałem fatygować Kioshiego i jeszcze tego samego ranka wyruszyłem w drogę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu w dobrym humorze, jechałem samochodem i pogwizdywałem nawet pod nosem. Należało zachować ostrożność, ponieważ w nocy spadł świeży śnieg. W Tokio panował lekki przymrozek, a jasne słońce odbijało się oślepiającym blaskiem od śnieżnej bieli.

Rozpędziłem się nieco i zostałem upomniany przez drobnego japońskiego policjanta. Zrobił to w taki sposób, jakby prosił o przebaczenie, że w ogóle pełni służbę.

Tym razem zaparkowałem od razu przed Domem świętego Alojzego. Musiałem też zaczekać dłuższą chwilę, bo ojciec Tomasz miał właśnie wykład, którego temat zainteresowałby również i mnie. Prowadził zajęcia z japońskiego – po angielsku – dla członków sił okupacyjnych

oraz cywili. Zastępował dzisiaj japońskiego profesora uczącego literatury niemieckiej, który właśnie zachorował. Nieco zdenerwowany sięgnąłem na stelaż po jeden z zeszytów „Sophia” i zacząłem przeglądać artykuły czołowych profesorów z prawie wszystkich krajów Europy.

Po chwili zobaczyłem grupę Amerykanów uczących się języka japońskiego; wychodzili z gmachu uniwersytetu, śmiejąc się i żartując. Traktowali się wzajemnie okrucami japońskiego. Jeśli poślubiłbym Yuriko, to nie byłoby wcale złym pomysłem, aby ukończyć taki kurs już tylko po to, by móc ją zapewnić o miłości w jej ojczystym języku!

Ojca Tomasza powiadomiono już o moim przybyciu, więc od razu podszedł do mojego samochodu. Wymieniliśmy uścisk dłoni niczym starzy znajomi, po czym zaprowadził mnie do swojego gabinetu.

Usiedliśmy naprzeciw siebie, a ja poprosiłem, żeby najpierw opowiedział o swojej pracy. Zdawał się wyczuwać moje napięcie; rozumiał chyba, że potrzebuję chwili na rozluźnienie się. Z satysfakcją oznajmił mi, że Jochi to pierwszy uniwersytet umożliwiający wszechstronne zapoznanie się z zachodnią nauką i wiedzą, co zapobiega chaotycznym wyborom obcych ideologii. Tym sposobem profesorowie pomagali studentom stworzyć jednolity obraz powstawania Zachodu, dorównującego prastarej kulturze Japonii, wspierając wrodzony im szacunek dla tradycji.

Nagle nieoczekiwanie zmienił temat, pytając wprost, co mnie do niego sprowadza.

Opowiedziałem mu o tym, o czym właściwie nie miałem zamiaru mówić, niezapowiedzianej wizycie u ojca Yuriko i osobliwym nauczaniu w wydaniu Mori-san. Nie próbowałem szukać żadnego usprawiedliwienia, więc wkrótce poczułem, że na nowo budzi się we mnie rozgoryczenie. Ojciec Tomasz przysłuchiwał się uważnie, nie przerywając ani razu. Rozpalało mnie jeszcze oburzenie, gdy wreszcie zamilkłem, wyczekując jego odpowiedzi.

– Dość mocno oskarża pan tego Mori-san – odparł wreszcie z uśmiechem. – Nie znam na tyle rodzica pańskiej tłumaczki, żeby wyrobić sobie zdanie na jego temat. Ale winę w pierwszym rzędzie ponosi nie on, lecz my, Amerykanie. Gdy w 1945 roku zajęliśmy Japonię, rząd okupacyjny zabronił nauczania religii w szkołach, zniósł szintoizm jako religię państwową, gdyż domagała się boskiej czci dla Tenno i bezwzględного poświęcenia na rzecz ojczyzny, która w szintoistycznym ujęciu wybrana została do panowania nad wszystkimi innymi państwami ziemi. Niestety wylano dziecko z kąpielą i wraz z nauką religii zlikwidowano również pogańską etykę. Tym sposobem powstała luka, której na razie nie zapełnił nikt oprócz komunizmu mogącego działać znacznie więcej w odniesieniu do mas niż nieliczne szkoły misyjne wyznań chrześcijańskich.

Mówił bardzo spokojnie, nie okazując emocji, ale z troską w głosie. Wzruszyłem ramionami:

– Więc dlaczego nie dano misjonarzom zielonego światła i przynajmniej szkołom misyjnym nie pozostawiono możliwości katechizowania?

Ojciec Tomasz oparł się wygodniej.

– Niewłaściwie pojmowana demokracja traktująca równo wszystkie wyznania i niewyróżniająca żadnego. Oczywiście możemy nauczać religii prywatnie, to znaczy nie jako przedmiotu obowiązkowego i po zajęciach przewidzianych przez program, a także za wyraźną zgodą rodziców. Co do nas, to jesteśmy daigaku-in, szkołą wyższą, więc nie możemy tak jak małe szkoły prywatne robić wyjątków od reguły.

– Czyli Mori-san, jeśli chce, to ma wolną rękę, propagując w szkole czerwoną namiastkę religii?

– Oczywiście, bo kto zabroni mu tego w przykładowej demokracji?

Milczałem, a on dodał po chwili:

– Zastanawia się pan, czy w tym stanie rzeczy powinien pan podczas ferii wiosennych zatrudnić znowu swoją młodą tłumaczkę czy też nie, prawda?

Zaczerwieniłem się.

– Nie bardzo wiem, co na to powiedzieć. Bez wątplenia została wychowana w duchu swojego ojca, choć z drugiej strony ma pełną swobodę w formowaniu swojego wnętrza – tu utknąłem.

– Tak pan myśli?

Straciłem pewność siebie.

– Tak sama powiedziała.

Przypomniało mi się zdarzenie z wyspy. Ojciec Tomasz nie ponaglał mnie ani słowem. Dobroczynny dystans jezuitę w połączeniu z jego głęboką filantropią dawały mi wystarczająco dużo czasu, aby zastanowić się nad własnymi wypowiedziami.

Doprawdy nie jestem starym gadułą, ale stwierdziłem, że muszę opowiedzieć o wszystkim, jeśli chcę uzyskać spokój i pomoc. Zrelacjonowałem, co przeżyłem z Yuriko podczas naszego ostatniego spotkania. Kiedy skończyłem, czułem, że pałą mnie policzki.

Ojciec Tomasz spoglądał od czasu do czasu przez okno, potem zdjął okulary i przetarł je.

– Naprawdę współczuję tej młodej damie – odrzekł ku mojemu zaskoczeniu, po czym nieco żywiej dodał: – Tak, bo musi pan sobie wyobrazić, panie Grane, w jaką najprawdopodobniej popadła rozterkę. Jako dziecko zetknęła się jeszcze z wszelkimi zwyczajami i tradycjami starej Japonii i z pewnością wyrosła w buddyjsko-szintoistycznym środowisku rodzinnym. Zdradza mi to jej niepewność, gdyż – choć komunistka – nie omieszkała pomodlić się w świątyni Kwannon oraz celebrować święto Meigetsu. Na lata wczesnej młodości przypadło jej zetknięcie się z marksizmem na uniwersytecie oraz otwartym, fanatycznym komunizmem ojca. Obie te życiowe postawy diametralnie różnią się od siebie, a do tego dochodzi jeszcze trzeci element.

Spojrzałem na niego z napięciem. Nałożył z powrotem okulary, złożył dłonie i spokojnie dokończył:

– To spotkanie z panem oraz z Zachodem, który pan uosabia. Nie wiem natomiast, na ile oznaczało to dla niej spotkanie z chrześcijaństwem.

Spuściłem głowę. Nie potrzebowałem nic więcej dodawać. Ten człowiek przenikał swoimi mądrymi, dobrymi oczyma do mojego wnętrza. Nie zważając na mnie, kontynuował swój wywód:

– Zatroszczył się pan o to, żeby miała Biblię. Okay, choć popełnił pan przy tym błąd.

Chrześcijaństwo pociąga takich młodych ludzi tylko wtedy, gdy się nim żyje. Nie ma pan nic innego do zrobienia, panie Grane, jak być przykładnym chrześcijaninem. Tu brak jakichkolwiek standardowych przepisów. Cieszę się natomiast, że postanowił pan wykorzystać swoją firmę dla pracy misyjnej.

Pominałem tę pochwałę; chciałem wiedzieć tylko jedno:

– Czyli doradza mi ojciec, żebym zatrudnił znowu Yuriko?

Zawahał się.

– Powiedziałbym, żeby poczekać, czy sama nie zgłosi się do pana. Jest parę powodów, dla których mogłaby to zrobić. Mam też nadzieję, że będą dla pana do zaakceptowania.

Jego słowa otrzeźwiły mnie nieco. Zgadzało się. Yuriko mogła wrócić, gdyż po pierwsze nie chciała rezygnować z dobrego zarobku, po drugie, jej ojciec z niejasnych jeszcze powodów mógł naciskać, aby znowu podjęła u mnie pracę, po trzecie, chciała pogłębić swoją znajomość ludzi Zachodu, po czwarte, poszukiwała wyjaśnienia tego, co znalazła w Biblii, po piąte – kierowała nią ambicja, i wreszcie na ostatnim miejscu – być może – mnie kochała. Poczulem budzącą się w sercu nadzieję.

Tak wyglądała prawda. Odczytałem ją w spokojnym spojrzeniu misjonarza, ale nie miałem siły, żeby opowiedzieć mu o swojej miłości. Na to było jeszcze za wcześnie.

Gdy wstał, aby przespacerować się ze mną, spotkaliśmy młodego żołnierza włóczącego się wokół zabudowań uniwersyteckich, jak gdyby na kogoś czekał.

– On też należy do grona pilnych uczniów studiujących japoński, gdyż ma zamiar poślubić córkę Nipponu – dodał mimochodem ojciec Tomasz, nie spoglądając na mnie. – W tym wypadku nie mam większych zastrzeżeń, gdyż wybranka zgłosiła się już do przygotowania do chrztu. Taki związek jest niebezpieczny tylko wówczas, gdy przybywający młodzi ludzie proszą o dyspensę na małżeństwo z poganką. Najczęściej kończy się to tragicznie.

Spojrzałem na młodego wojskowego o rudawych włosach nerwowo pociągającego papierosa i przestępującego z nogi na nogę. Na myśl przyszedł mi Jim Lesley, który nigdy nie angażował się na tyle, żeby poważnie się zakochać. Poczulem jednak większą sympatię do tego towarzysza niedoli.

– Co można zrobić, ojcie Tomasz, jeśli kryje się za tym rzeczywiście głębokie uczucie?
Zatrzymał się.

– To rzadkość, panie Grane. Najczęściej przyczyną jest naturalny wdzięk promieniujący z azjatyckiej kobiety. Te istoty to wcielenie oddania, samo serce i czułość. Przeciętny mężczyzna amerykański nie ma praktycznie okazji, aby we własnej ojczyźnie znaleźć coś choć w niewielkim stopniu podobnego. Trudno też wyjaśniać to komuś zakochanemu. Późniejsze rozczarowanie, kiedy to dociera do nich, jak trudno pogodzić Wschód i Zachód w tak ścisłym związku, jakim jest małżeństwo, okazuje się bolesne.

Teraz spojrzał na mnie otwarcie.

– Miejmy nadzieję, że pan uniknie podobnych zawirowań, panie Grane – dodał przyjaźnie. – Dobrze, że tak poważnie traktuje pan swoją pracę. Działając na rzecz szkół misyjnych w Japonii, robi pan coś dla żywych dusz, jak gdyby należały one do naszych szeregów. Proszę to sobie przemyśleć. Mamy tylko tę jedną drogę do serc młodych ludzi.

Odprowadził mnie do samochodu. Z uniwersytetu wylała się rzesza studentów, napelniając dziedziniec kolorowym, hałaśliwym życiem. Niektórzy nosili czarne sutanny teologów. Kształcono tutaj także rodzime kadry kapłańskie. Ojciec Tomasz wręczył mi adres organizacji LARA, w znanej mi doskonale dzielnicy Marunouchi.

Gdy brałem zakręt, spora grupa młodych ludzi oczyma znawców spoglądała na mój pojazd. Samochód, również tutaj, stanowił przedmiot najgłębszych młodzieńczych marzeń.

Dziwnie się czułem. Chociaż w miłości nie doznałem żadnej ulgi, to jednak opanowało mnie uczucie głębokiego odprężenia i zadowolenia, jak gdyby otwarła się przede mną brama, której próg mogłem wreszcie przekroczyć. Wydawało mi się też, że za nią czeka na mnie Yuriko. Dla zakochanych istnieją pewności niepotrzebujące zewnętrznego potwierdzenia.

To odprężenie sprawiło także, że bez większych trudności porozumiałem się z organizacją LARA i wychodząc, miałem uczucie zrobienia wreszcie w Japonii czegoś, w co warto było się zaangażować ze wszystkich sił.

*

W większym niż dotąd spokoju ducha oczekiwałem rozwoju dalszych wydarzeń. Z Tokio, z trwającego pełnych czternaście dni kiermaszu bożonarodzeniowego w Asakusa, przywiozłem mały świerk w donicy. Wprawdzie Japończycy nie traktują go jako choinki, lecz jako noworoczny talizman mający przynieść stałość i długie życie, ale ja zdjąłem w domu bambusowe kijki i czerwoną pomarańczę, pogańskie atrybuty, jakimi ją ozdobiono, i przybrałem zgodnie z amerykańską tradycją.

Opanowała mnie także gorączka zakupów. Przedarłem się nawet do rojącego się od tłumów Mitsukoshi i gdy po dwóch godzinach opuściłem ogromny gmach, mój samochód pękał w szwach od paczek i paczuszek. Chciałem zgotować porządne święta dla moich pracowników i robotników, a jeśli wyznawali inną religię, to przynajmniej przekazać tradycyjny upominek noworoczny. Jim Lesley wyjaśnił mi już, że lekceważąc ten obyczaj, utracimy twarz i szacunek. Nie bardzo mogliśmy zadowolić się praktyką stosowaną przez ubogich, przesyłających sobie w Nowy Rok długie wykazy pięknych rzeczy, które podarowaliby z serca, gdyby bogowie szczęścia obdarzyli ich większym bogactwem. W naszej firmie musieliśmy trzymać się rzeczywistości.

Czy nie nadarzała mi się pierwsza okazja ukazania prawdziwej chrześcijańskiej radości z Bożego Narodzenia? Poprosiłem Kioshiego o przygotowanie dokładnego zestawienia o każdym z pracowników oraz jego sytuacji rodzinnej, postanowiłem bowiem, że ucieszę każdego osobiście, zamiast zadowolić się zwykłą podwyżką i ogólnym podarunkiem.

Gdy już dokładnie wiedziałem, w którym domu ktoś choruje, kto oczekuje dziecka, gdzie ktoś uległ wypadkowi lub ma finansowe kłopoty, udałem się kolejny raz do Asakusa na cały dzień, żeby wraz z Jimem wyszukać to, co najpotrzebniejsze. Ten złościł się na mnie i robił mi wyrzuty za to, że musi spędzić święta w schronisku Czerwonego Krzyża, gdyż dopadnie go choroba menedżerska. Ale nie zważałem na jego postękiwania i zacisnąłem zęby, gdy wieczorem z bolącymi kośćmi jak po wzięciu udziału w turnieju judo opadłem wreszcie na siedzenie samochodu.

To że wieczorem przed Wigilią jeszcze raz w tajemnicy udałem się do metropolii, nie obchodziło mojego partnera, który miał na głowie wyszukanie niezobowiązujących upominków dla swoich sympatii, nie zdradzających żadnych ślubnych zamiarów.

Kupiłem zwój znakomitego, białego jedwabiu, delikatnego i miękkiego niczym płatki kwiatu jaśminu, gdyż przeczytałem, że biel przynależy w Japonii do posagu panny młodej, będąc barwą jednego z trzech kimon ślubnych, jakie według starego zwyczaju nosi ona w tym dniu.

Dalej u korio, handlarza starzyzną, nabyłem jeszcze czarkę z karmazynowej laki – prawdziwe urushi – dzieło sztuki powstałe przez nałożenie czterdziestu różnych jej warstw tworzących idealnie gładką, błyszczącą powierzchnię, niepękającą ani pod wpływem ciepła, ani pod wpływem zimna. Niewątpliwie była to wiekowa pamiątka rodzinna ozdobiona intarsjami ze złota i macicy perłowej. Na dnie pływały dwa zakochane karpie symbolizujące płodność, a brzeg zdobił złoty napis wyryty drobnymi, fantastycznymi ideogramami. Sprzedawca zdradził mi, że tekst wyraża życzenie wiecznej miłości. Niczym prawdziwy opiewany przez Goethego puchar z Thule!

Z tymi dwoma upominkami mogłem się wreszcie pokazać Yuriko. Dla jej ciotki postarałem się o jedwabną chustę i dwoje uroczych geta z laki i brokatu na świąteczne okazje.

Te zakupy ostatecznie opróżniły mój portfel. Nie wystarczyłoby mi pieniędzy nawet na bilet na metro do Jokohamy. Gdy w drodze usłyszałem, że w Nowy Rok odwołuje się zajęcia na uniwersytetach, serce zabiło mi mocniej w piersi. Spotkam się z Yuriko i po sposobie, w jaki przyjmie podarunki, poznam, co do mnie czuje.

Od tej chwili zachowywałem się jak mały chłopiec niemogący się doczekać dzwonka w przystrojonej jadalni. Świętowanie w kręgu mojego personelu miało bardzo intymny charakter, a rodzina Sato-san czuła się zaszczycona. Gdybym wtedy poprosił jego żonę o poradę w sprawie upominków... Ale nawet o tym nie pomyślałem.

Jak się wydawało, w ich przypadku trafiłem z podarunkami. Kłaniali mi się nieustannie, zapewniając, że nigdy przedtem nie mieli hojniejszego i bardziej wspaniałomyślnego pracodawcy. Koshiego Tanakę ucieszyłem ośmiotomowym leksykonem, który mógł się mu przydać na studiach i w późniejszej pracy zawodowej. Udało mi się go znaleźć w antykwariacie. Przed Nowym Rokiem

w Asakusa znajdowało się po prostu wszystko. Jimowi Lesleyowi podarowałem czarne kimono, gdyż wieczorami lubił zachowywać się jak prawdziwy Japończyk, korzystając nawet z dobrodziejstw gorącej kąpieli o-furo, której żółta rasa zwykła zażywać przed spożyciem kolacji. Ponieważ – co prawda dawno temu – przeszedłem ciężką operację nerek, nie mogłem przyswajać sobie podobnych ekstrawagancji.

Również i ja zostałem obdarowany, co mnie tak wzruszyło, że nastawiłem na cały głos gramofon odtwarzający płyty z kolędami. Najpierw zakosztowałem kuchni japońskiej, potem amerykańskiej i wreszcie udałem się na spotkanie z pracownikami do naszego baraku-herbaciarni przystrojonego świerkami i przynoszącymi szczęście sznurami z konopi. Musiałem wysłuchać serii mów dziękczynnych, które dotarły do mnie w postaci fragmentarycznego tłumaczenia Kiosiego. W wielu oczach dostrzegłem prawdziwe przejęcie i, jak mi się wydawało, otwarte pytanie: dlaczego obcy pracodawca troszczy się o sprawy osobiste swoich pracowników, jak gdyby był ojcem wszystkich?

Radość osiągnęła swego rodzaju kulminację, gdy wspomniałem o właśnie podjętej decyzji, aby jeszcze w tym roku rozebrać stare baraki, oczywiście, jeśli obroty handlowe nadal będą wzrastać, i wzniesć dla załogi praktyczne, jasne hale. Niewiedzący jeszcze nic na ten temat Jim Lesley gapił się na mnie zdumiony. Na jego czole mogłem wyczytać, co myśli. Coś takiego niezbędne jest w kraju znajdującym się na etapie odbudowy i potrzebującym pod każdym względem różnorakiej pomocy. Czy nie mógłbym zainwestować tych pieniędzy gdzie indziej, zgodnie z moimi prywatnymi interesami?

Kontynuowałem przemówienie, widząc po zwróconych ku mnie twarzach, że zdobyłem zaufanie pracujących dla mnie ludzi, którzy czuli, że chodzi mi o ich dobro, a nie w pierwszym rzędzie jedynie o własną korzyść. To zdawało się być dla nich czymś zupełnie nowym. W odpowiedzi rozbrzmiały głośnie wiwaty, oklaski i chaotyczne komentarze. Nie potrzebowałem Kiosiego, sam słyszałem pobrzmiwające w nich podziw i prawdziwe zaskoczenie. Gdy zakończyłem wystąpienie, miałem poczucie, że zadziałałem po myśli ojca Tomasza. Zastanawiałem się tylko, jak przedstawić ten plan własnemu ojcu, bo przecież nie byłem jedynym właścicielem Grane Motors. Wiedziałem jednak, że okaże zrozumienie, wszak chodziło o pilne sprawy socjalne. Poza tym nie orientował się w tutejszych realiach.

Taki stworzyłem sobie plan na nadchodzący rok. Mogłem więc spokojnie i z radością w sercu świętować jego rozpoczęcie, żywiłem bowiem przekonanie, że kroczę właściwą drogą.

*

W Nowy Rok po południu, ubrany w świąteczny, czarny garnitur, mniej więcej w porze herbaty kaiseki, odpowiadającej naszej five o'clock tea, czyli o godzinie odpowiedniej na złożenie życzeń, wybrałem się z planowaną wizytą.

Jeśli nie spotkam Yuriko u ciotki, udam się prosto do mieszkania Mori-san. Nic nie stanie mi na przeszkodzie w zobaczeniu się z nią. Ale miałem więcej szczęścia, niż odważyłem się spodziewać. Drzwi otworzyła mi sama Yuriko w nowym, jedwabnym kimonie – co stwierdziłem z radością – na srebrzystoszarym tle widniały błękitne azalie. Włosy ozdobiła koralami odbijającymi się szkarłatem na aksamitnej czerni wysokiej noworocznej fryzury. Nawet najuboższe kobiety zakładały dzisiaj najlepsze ubiory, a także nie szczędziły czasu przed lustrem. Yuriko zdawała się przewyższać wszystkie swoją gracją.

Czuliśmy się oboje nieco skrępowani, co sprawiło, że byliśmy sztywni i formalni. Być może jednak stanowiło to element prawdziwej noworocznej wizyty. Wymieniliśmy życzenia, a Yuriko musiała się niezłe natrudzić, aby przetłumaczyć kwieciste wypowiedzi swojej ciotki. Potem ku mojemu zaskoczeniu i lekkiemu rozczarowaniu zobaczyłem, że mają gości. Przybyła Midori z najmłodszym dzieckiem, składając najwidoczniej rewizytę. Miała na sobie bawełniane kimono prostej żony rybaka. Ale i jego kolory zostały gustownie dobrane. Nie spotkałem nigdy ani jednej Japonki, która co do tradycyjnego stroju wykazałaby się jakkolwiek niepewnością w elegancji. Natomiast sporo trudności sprawiały im zachodnie ubiory.

Nie pozostawało mi nic innego, jak pogodzić się z tym, że znowu nie będzie mi dane porozmawiać z Yuriko w cztery oczy, bo trójka kobiet robiła wszystko, aby uprzyjemnić mi Nowy Rok. Zjadłem tradycyjne ciastko ryżowe i wypilem korzenne otoze, ciepłą sake z dodatkiem wszelkiego rodzaju ziół. Oprócz tego w maleńkich miseczkach z laki podano nieznanne mi potrawy, kolorowe i bez mięsa – ale prawdziwe smakołyki. Nigdy w życiu nie uwierzyłem, że węgorz z cukrem może tak smakować. Degustacja była prawdziwą przyjemnością. Na koniec dla odświeżenia otrzymałem ciepły, wilgotny ręcznik, który kładło się na twarzy.

Zaraz też poczułem powracającą jasność myśli zmaconą nieco spożytym alkoholem.

Poprosiłem moją młodą gospodynię, aby zechciała zerknąć na upominki i powiedziała, czy udało mi się dokonać właściwego wyboru. Kobiety spojrzały na siebie, a Yuriko uśmiechnęła się, przepraszając za zachodniego gościa, niemogącego znać wszystkich obyczajów. Zaraz potem w napięciu zacząłem się przyglądać jej dłoniom, które z należytą ceremonialnością poczęły rozwijać najpierw mniejsze zawiniątko. Do pakowania nie używało się papieru, lecz jedwabnej chusty, jaką po korzystnej cenie otrzymywało się przy zakupie.

Cichy okrzyk zdumienia – zaskoczona Yuriko podniosła ku światłu lakową czarę. Również obie jej towarzyszki spojrzały na nią jak na jakieś cudowne zjawisko. Potem opanowały się i skłoniły, wyrażając uznanie za tak wspaniały dar.

Zaczęło mi coś świtać. Yuriko wyjaśniła z uśmiechem, że otrzymała ode mnie kubek małżeński, z jakiego kapłani szinto korzystają podczas ceremonii zaślubin. O tak, to z pewnością cenna sztuka, ale nie będzie z niego piła, dopóki czcigodni bogowie nie obdarzą ją małżonkiem. Wtedy skorzysta z niego w świątyni, dopełniając z oblubieńcem starej ceremonii san-san-kudo.

Odstawiła naczynko na czarną tacę, gdzie odbiło się wspaniałym kontrastem na ciemnym tle. Mnie natomiast wydało się mniej zachwycające niż przy zakupie; gapilem się na nie, jak gdybym został skazany na wypicie zeń cykuty. Z jakim spokojem Yuriko opowiadała o swoim przyszłym ślubie. Na koniec stanie jej jeszcze przed oczyma konkretny kandydat!

Zachrypniętym głosem poprosiłem uprzejmie o wyjaśnienie mi obcego zwyczaju. Korio, który sprzedał mi pucharek, zakładał najwidoczniej, że wiem, do czego się go używa, a to nie odpowiadało prawdzie. Spodobał mi się, gdyż w krajach Zachodu czerwień jest kolorem miłości.

Na moment zirytowałem chłodną, pewną siebie rozmówczynię. Opuściła szybko oczy, a jej złożone z przodu delikatne dłonie zacisnęły się kurczowo. W chwilę później spokojnym głosem opisała mi całą scenę:

– Wygląda to tak: po przysiedze wierności kapłan nabiera do czarki poświęcone wino, a pan młody podaje ją swojej wybrance, aby wypić ją trzema łykami. Następnie idzie w jej ślady i też

trzema łykami wypija napój. Na koniec panna młoda powtarza całą scenę i to pieczętuje uroczystą ceremonię.

Po wykonywanych przez nią gestach obie kobiety musiały poznać, co mi wyjaśnia. Uśmiechy, z jakimi przysłuchiwały się obcym dźwiękom, wydały mi się nieco wymuszone, natomiast w moich oczach czarka nabrała teraz koloru groźnej, trującej purpury. Przestała mi się podobać, ponieważ dotarło do mnie, że obcy mężczyzna, poganin, skorzysta z niej przy Yuriko, i to w godzinie grzebiącej moją miłość.

Jak gdyby czując, co się we mnie dzieje, gospodyni sięgnęła zaraz po drugi, ważniejszy upominek. Opadła spowijająca go chusta – kolejny trzykrotny okrzyk zdumienia – a potem cisza, jak po uderzeniu pioruna.

Usłyszałem daleki głos Yuriko:

– Czy mogę poprosić czcigodnego gościa o wyjaśnienie, jakie jest przeznaczenie darowanego białego jedwabiu?

Załomotało mi w skroniach. Wielkie nieba, jaką gafę popełniłem teraz?

– Ja... pozwoliłem sobie podarować córce domu część wiana ślubnego, gdyż z całego serca życzę, aby wkrótce zaznała szczęścia spełnionej miłości. – Spojrzałem głęboko w lśniące źrenice Yuriko i świadom, że gra idzie teraz o wszystko, mówiłem śmiało dalej: – Również i w mojej ojczyźnie panuje zwyczaj, że panna młoda kroczy do ołtarza w białej sukni. Ponieważ słyszałem, że jest on znany także w Nipponie, wybrałem upominek wyrażający wzniosłą ideę wspólną dla Wschodu i Zachodu.

Yuriko nie spuszczała ze mnie wzroku, lecz nagle poczułem, że lekki ciężar śnieżnobiałej tkaniny poczyna drżeć w jej ręku. Obcym głosem odezwała się do mnie:

– Jak podpowiada mi serce, czcigodny gość miał dobre zamiary. Nie mógł wiedzieć, że jedno z trzech kimon ślubnych japońskiej panny młodej, białe, oznacza jej śmierć dla własnej rodziny, gdyż biel to w Japonii kolor żałoby, czerwień zaś ponownych narodzin dla rodziny męża.

Jedwab wypadł z szelestem z jej dłoni, okrywając czerwony kubek niczym świeży śnieg. Pozostałe kobiety milczały. Miałem wrażenie, że w napięciu wstrzymują oddech.

Siedziałem jak ogłuszony – symbol śmierci dla Yuriko, i to z moich rąk. Co za głupiec ze mnie! Nigdy więcej nie ofiaruję już w tym kraju niczego, nie upewniwszy się uprzednio co do znaczenia podarku. Po chwili wpadłem na zbawienną myśl, a ponieważ i tak już wszystko zepsułem, próbowałem ratować, co się dało:

– Proszę moją szacowną gospodynię o wybaczenie mojej pomyłki. Byłbym szczęśliwy, mogąc jej któregoś dnia ofiarować czerwone kimono małżeńskiej miłości.

W tym momencie Yuriko błogosławiła chyba okoliczność, że obie krewne nie rozumiały ani słowa po angielsku. Wypowiedziała kilka japońskich, jak mi się wydało błahych wyjaśnień, po czym odłożyła oba upominki i ukłoniła się kilkakrotnie głęboko, zapewniając, że postara się o stosowny rewanż za tak kosztowne dary. Milczałem, gdyż dowiedziałem się już, że odrzucenie wzajemności oznacza śmiertelną obrazę. Skłoniłem się tylko sztywno, dziękując z góry.

Pamiętam, że pomimo wielkiego pragnienia zobaczenia znowu Yuriko poczułem prawdziwą ulgę, mogąc wstać i się pożegnać. Moje nieszczęsne prezenty, stojące między nami, uniemożliwiały jakkolwiek swobodną rozmowę. Prawie czuło się, jak niczym magnes ściągają na siebie uwagę wszystkich.

Idąc do domu, byłem przekonany, że musi chyba wydarzyć się jakiś cud, by udało mi się naprawić to wszystko, co dzisiaj zaprzepaściłem. Żałowałem, że kiedykolwiek przybyłem do kraju, w którym kilka niewinnych podarków może zrujnować szczęście życiowe. Jak Yuriko może mi wybaczyć, skoro w tak znaczącym dniu, gdy Japończycy wiążą z każdym upominkiem i życzeniami niemal zabobonną symbolikę, podarowałem jej suknię żałobną? Rzuciłem się na łóżko, nie chcąc nic wiedzieć ani słyszeć o żadnych życzeniach.

Nie wiedziałem tylko, że w Japonii obchodzi się Nowy Rok przez sześć kolejnych dni. Dopiero siódmego kończy się wszystko, a to dla zakochanych długi czas na naprawienie popełnionych błędów. Któregoś dnia w porze kaiseki żona Sato z uśmiechem powiadomiła mnie o wizycie. Nie było to nic nowego. Co chwilę zjawiał się ktoś z pracowników, aby zrewanżować się

zyczeniami i choćby drobnym podarunkiem za dobroć doznaną ze strony czcigodnego szefa. W końcu zaczęło mnie to denerwować.

Ale teraz, gdy otwarły się szklane drzwi, zerwałem się z miejsca jak porażony prądem. Yuriko! Poczulem, że blednę. Przyszła powiedzieć, że po tym, co zaszło, już się nie spotkamy? Moja gospodyni wycofała się bezszelestnie, zamykając delikatnie drzwi za moim gościem, a mnie wydało się, że jeszcze nigdy dotąd nie dała mi cenniejszego znaku służebnej pokory. Yuriko skłoniła się w milczeniu, a potem wręczyła mi jedną jedyną gałązkę – brązową, giętką, z nabrzmiałymi pąkami.

– Wkrótce nadejdzie święto pierwszego kwitnienia śliw. Myślę, że czcigodny chef-san rozumie mowę rozwijających się pąków – wyszeptała cicho.

Wszyscy bogowie Japonii – czy rozumiałem! Po co jako student przez dłuższy czas zbierałem i cytowałem stare wiersze miłosne poetów Nipponu?

Zrobiłem kilka kroków, ale gdy spojrzałem w jej wylęknione oczy, wziąłem tylko z jej dłoni gałązkę, którą wraz z czymś w rodzaju zwoju zawinęła w kawałek jedwabiu. Przy tym czułem nieopisaną chęć, aby przytulić ją do siebie i więcej nie wypuścić. Pamiętałem jednak o tym, jak w tym kraju ceni się opanowanie. Skłoniłem się lekko i z pamięci wyrecytowałem zapamiętane strofy:

Spójrz na pąka śliwy bezcenną wierność,
Przenikającą okowy mrozu i śniegu,
Tak miłość rozkwita wśród trudu,
Znanego tylko sercu, co zaznało bólu.

Potem ostrożnie odłożyłem obsypaną pąkami witkę i udałem, że szukam odpowiedniego flakonu. Przy tym musiałem przejść obok niej i zanim zdążyła się odsunąć, wziąłem ją w ramiona i zapytałem:

– W jakiej dolinie miłości znalazłaś tak wcześnie tę kwitnącą gałąź, Yuriko? Przecież mamy jeszcze zimą.

Wsparła czoło o moje ramię, a ja poczułem, że walczy z sobą, czy ma zostać, czy odejść. Jeden niewłaściwy gest spłoszyłby moją lekliwą gazelę.

– W kraju Nippon zimy są krótkie i przechodzą w wiosnę, zanim dusza się obejrzy – odparła cicho, ciągle jeszcze w poetyckiej formie, jak przystało na taki dar. – Miłość nie zdradza doliny, w której czuje się bezpieczna przed obcymi spojrzeniami.

Przeciągnąłem dłonią po jej błyszczących, ciemnych włosach ozdobionych również kwieciem śliw.

– Dobrze, Yuriko, nie będę dalej dociekał. Wystarczy mi, że mnie kochasz, tak samo, jak i ja kocham ciebie. Dla naszej miłości nie będzie zimy.

Ciągle jeszcze nie patrzyła na mnie.

– Nasza miłość będzie krótkim, błogim latem, latem u stóp świętej góry Fudzi, wspomnieniem radości, której się nie zapomina, nawet jeśli zakończy się cierpieniem.

Słyszając to, wziąłem w dłonie jej twarz i podniosłem w górę.

– Nie, Yuriko – odparłem – nie jedno lato. Chcę cię kochać całe życie. Nie jesteś dla mnie słodkim, egzotycznym marzeniem, tylko życiem, które chwycę i przytrzymam obiema rękami.

A kiedy pocałowałem ją w usta, wiedziałem, że dziewczyna z Nipponu po raz pierwszy zaznała tej pieśczozy ze strony mężczyzny. Japończycy nie znają pocałunku miłości. Choć czułem lekki opór, nie wypuszczałem jej.

– Ten pocałunek to nasze sekretne zaręczyny, Yuriko. Podchodzę poważnie do sprawy, tak jak to w mojej ojczyźnie było w zwyczaju jeszcze do niedawna. Nie chcę być dla ciebie kimś obcym, kto przychodzi, łamie kwitnącą gałąź i znowu odchodzi. Nie powtórzymy historii Madame Butterfly.

Jej drobne, wąskie dłonie wsparły się na moich ramionach, odpoczywając niczym motyle. Teraz spojrzała mi prosto w twarz.

– Naprawdę? Bez końca?

Pokręciłem głową.

– Nigdy, Yuriko. Kto mógłby nas rozłączyć?

Odetchnęła głęboko, a w jej ciemnych oczach na nowo pojawił się lęk.

– Życie, które tak kochasz, życie. Mój ojciec nigdy się nie zgodzi, żebym poślubiła gajjina.

– Staniemy murem przeciwko niemu, Yuriko. Znasz przecież wprowadzone przez nas ustawy. Dziewczeta mają prawo do wolnego wyboru przyszłego małżonka. Nie ma przeszkód nie do pokonania.

Uścisk jej dłoni wzmógł się, jak gdyby chciała mnie przytrzymać.

– O, Donald-san, czym są zachodnie ustawy wobec prawa starej Japonii? Niespisane kryje się wyryte w sercach. Obiecuj mi, proszę, że mój dana-san nie dowie się o naszej miłości dopóki nie zakończę studiów. W przeciwnym wypadku zabierze mnie zaraz z uniwersytetu i kto wie, co się wtedy ze mną stanie.

Zacisnąłem zęby.

– Mamy dobrą policję kryminalną, Yuriko, a jeśli okaże się to konieczne, to gdy tylko według naszego prawa osiągniesz pełnoletniość, zabiorę cię po prostu do Ameryki.

– A mój Donald-san nie ma żadnych przeszkód?

Nagle zobaczyłem przed sobą zatroskane oblicze ojca Tomasza i przypomniałem sobie jego poważne słowa.

– Jest tylko jedna, ale i ona zniknie, Yuriko. Ufam z całego serca, że przyjmiesz chrześcijaństwo. Ale bądź spokojna, niczego nie wymuszam. Będiesz mieć dużo czasu. Możesz szukać, aż wreszcie znajdziesz.

Uśmiechnęła się słabo.

– Skąd mój Donald-san wie, że poszukiwałam?

Poprowadziłem ją w głąb pokoju i wybrałem dla nas miejsce przy oknie, gdzie dziewczynę oświetlało jasne światło styczniowego dnia, ukazując każde drgnienie, każdy wyraz jej twarzy.

– Poczulem to po twoim zapale, Yuriko, z jakim starałaś się o święte dla nas księgi, wtedy na Joichi-Daigaku. Mam nadzieję, że już je przeczytałaś. Poznałem to także po gwałtowności, z jaką atakowałaś chrześcijaństwo.

Spuściła wzrok.

– To prawda. Nie znalazłam w komunizmie tego, czego pragnę: sprawiedliwości i miłości. Czy znajdę je w chrześcijaństwie?

Milczałem przez chwilę, a potem zawstydzony i niepewny odrzekłem:

– Spróbuję ci w tym pomóc, Yuriko. Ale nie będzie ci łatwo. Nie byłem chrześcijaninem takim, jakim powinienem być. Ale chcę nim być ze względu na ciebie, ze względu na pokój twojego serca.

– Pokój? Czy bierze się z twojej wiary w Chrystusa umarłego na drzewie?

Znowu misterium krzyża, które odstraszało i pociągało ją jednocześnie!

– Tak, Yuriko, także nam białym trudno wierzyć w to przekonanie. Zapytałaś mnie kiedyś, czy chrześcijaństwo to religia socjalna. Dowiodę ci tego również tutaj, w mojej firmie.

Przytuliła się jak dziecko do mojego ramienia.

– Ufam mojemu Donald-san. Na zewnątrz nasza miłość musi pozostać w ukryciu przed wieloma, tak jak pąki śliw pod ciężarem śniegu; dlatego nie czekałam aż zakwitną chryzantemy.

Zaśmiałem się cicho.

– Cieszę się. Byłaby to prawdziwa tortura, bo bardzo cię kocham, Yuriko. Ale rozumiem; będzie lepiej dla pracy, dla firmy i dla twojego osobistego bezpieczeństwa, jeśli na razie zachowamy tajemnicę.

Przytaknęła swobodniejsza już i szczęśliwa.

– Czy wobec tego mogę podczas ferii wiosennych pracować znowu jako twoja tłumaczka, Donald-san?

– Obawiałem się już, że trzeba cię będzie zmuszać, darling. Bez ciebie nie wytrzymuję we własnej firmie. Trudno mi się pracowało z Kioshim.

Zaraz wzięła go w obronę.

– Tanaka-san jest bardzo mądry i roztropny. Wiele rzeczy robi lepiej ode mnie. Ale boję się go, bo to przekonany chrześcijanin. Szpieguje też mojego dana-san. A nawet nienawidzi.

Pokręciłem głową.

– Nie, Yuriko, wtedy nie byłby chrześcijaninem. Podejmujemy walkę z ideą, a nie z błądzącym bliźnim. Nawet ja próbowałem zrozumieć twojego ojca, jak doszedł do komunizmu, ale to nie przeszkadza mi, żeby wszelkimi środkami bronić mojego przedsiębiorstwa przed jego wpływem. Co do tego musimy mieć zupełną jasność i to właśnie dlatego, że się kochamy. Nie wolno nam tutaj zacierać granic.

Spojrzała na mnie z obawą.

– Ale Tanaka-san będzie również zwalczał mojego dana-san, i to wszelkimi środkami.

– Tylko wtedy, gdy twój ojciec podejmie próby komunistycznej agitacji w naszej firmie.

Kioshi to człowiek godny zaufania i współodpowiedzialny za zakład, to wszystko. Twój ojciec obchodzi go tyle, co każdy inny Japończyk.

Westchnęła i milczała. Wreszcie wydusiła z siebie:

– A... a jeśli przyznam się, że do niedawna i ja byłem komunistką?

– Wiedziałem o tym, Yuriko, ale ufałem, że tak mądra dziewczyna nie może długo trwać w błędzie. Musi przecież dostrzec, że problemów nie rozwiązuje się, stawiając masę w miejsce indywidualnej jednostki, z zimną premedytacją zacierając wszelkie różnice, stosując przemoc zamiast sprawiedliwości, nienawiść zamiast miłości.

Odetchnęła.

– To właśnie odrzuca mnie od komunizmu, Donald-san. Brak mu szacunku dla ludzkiego Ja.

– Dla ludzkiej duszy, Yuriko. Żelazne monstrum państwa to dla niego wszystko. Niczym robot panuje nad ludźmi z krwi i kości, miażdżąc jak walec wszystkie osobiste prawa.

– Ale czy rzeczywiście nie robi czegoś dla zwykłych ludzi? Czy na przykład nie chce wywalczyć praw dla ubogich rybaków i pomóc im w osiągnięciu dobrobytu?

Usiadłem tak, że mogłem ją widzieć całą.

– Zanim na to odpowiem, Yuriko, chciałbym się dowiedzieć, jaką misję miałaś do spełnienia na Komashimie?

Z początku nie chciała powiedzieć ani słowa. Musiałem ją najpierw zapewnić, że cała sprawa pozostanie ściśle tajna.

– Miałam... przekazać Matsu-san nowe dyrektywy partii i przejąć ulotki przeschmuglowane na wyspę. Po ostatnich zamieszkach na lądzie skonfiskowano prawie wszystkie drukarnie komunistyczne.

– A czy nie ma jakichś osobistych relacji pomiędzy tym... Matsu-san i tobą?

Spuściła szybko oczy, oblewając się rumieńcem.

– Mój dana-san życzyłby sobie, żebym została kiedyś na wyspie nauczycielką ludową i otworzyła tam pierwszą czerwoną szkołę. Ludzie tkwią jeszcze zbyt mocno w starych realiach, a my musimy zdobyć młodzież.

A więc tak wyglądała prozaiczna prawda. Czuję, że mówi szczerze.

– Z tych planów nigdy nic nie będzie – stwierdziłem sucho. – Poślubię cię, zanim zostaniesz nauczycielką. O ile wiem, w następnym roku osiągniesz wiek dwudziestu jeden lat. W dniu twoich urodzin zostaniemy parą.

Nie wyglądała w tej chwili na uszczęśliwioną tak jednoznaczną deklaracją. Zasmucona bawiła się swoimi długimi, smukłymi palcami.

– Tak... tak szybko mam zostać chrześcijanką?

Masz ci los – kolejny raz chciałem przebić mur głową. Czy pół godziny temu nie zapewniałem jej uroczyście, że dam jej czas i do niczego nie będę przymuszał?

– Zobaczysz, Yuriko, to przyjdzie ci bardzo łatwo, gdy tylko poznasz prawdę. Ale i ona wymaga nieco starania.

– Co powinnam zrobić, Donald-san?

Uśmiechnąłem się, widząc jej zalęknione oczy.

– Nie obawiaj się, nie musisz od razu palić tego, co czciłaś dotychczas. Postaram się, żebyś przeszła odpowiednie przygotowanie. Jest na to kilka sposobów.

Przyciągnąłem ją do siebie.

– A teraz zostawmy na chwilę wszystkie te problemy i pomówmy o naszej miłości, Yuriko. To dla mnie najpiękniejszy prezent noworoczny, jaki kiedykolwiek mogłem otrzymać. Dziękuję ci, że niezrażona moimi niewydarzonymi upominkami odważyłaś się dać mi znak swojej miłości.

Spojrzała na mnie jak dziecko.

– Rozmawiałam o tym z obiema moimi krewnymi – wyszeptała.

Oszupiałem.

– Z Midori i Teruko?

– Oczywiście, widziały przecież oba symboliczne podarunki, a mój Donald-san mówił tak, że wszystko było jasne i to bez mojego tłumaczenia.

Zmieszałem się.

– Więc teraz mamy już dwoje wtajemniczonych. A ty chciałaś, żeby cała sprawa pozostała w sekrecie przed twoim ojcem.

Zachichotała.

– O, bez obaw, Donald-san. Midori to ostra przeciwniczka Matsu-san i całej polityki. Powiedziała mi: po wszystkim, co Grane-san zrobił dla swoich pracowników, widać, że to, w co wierzy, jest słuszniejsze od komunizmu. Możesz mu zaufać.

– I to zaważyło na wszystkim?

Zdziwiło mnie, jak szybko rozeszły się wieści o tym, co zdarzyło się podczas przedświątecznego spotkania z pracownikami. Przecież nie rozmawialiśmy o niczym wyjątkowym.

– A Teruko?

– Teruko-san to moja druga matka. Zawsze pragnie tego samego, co ja, ponieważ kocha mnie jak siebie.

Nie należało się więc obawiać, że do naszych sprzymierzeńców należały dwie kobiety. Najwidoczniej w tym osobliwym kraju można było powierzać tajemnice nawet rodzajowi żeńskiemu.

Przytuliłem ją do siebie i ucałowałem.

Zwinna niczym łasica wymknęła się z mojego uścisku i stanęła przy drzwiach gotowa do ucieczki. Co takiego zrobiłem? Obronnym gestem wyciągnęła ku mnie dłoń:

– O, Donald-san, nie jesteśmy jeszcze zaślubieni!

Pocałunek był pieszczotą, na którą stara, surowa pod względem moralności Japonia nie pozwalała zakochanym, nie mówiąc o tym, że był to jeden z obcych kulturowo obyczajów wprowadzonych przez Amerykę. Początkowo wycinano nawet z filmów amerykańskich wszystkie sceny z pocałunkami. Musiałem się uzbroić w cierpliwość i wyrozumiałość. Kto wie, czy tak nie było dla nas lepiej, zwłaszcza że mieliśmy długo czekać na siebie, zachowując surowy japoński dystans nakładający na zakochanych twarde zasady. Również i w tym względzie Yuriko wcale nie została wychowana komunistycznie, a to bardzo mnie uspokajało. Nie poślubiłbym żadnej z tych japońskich dziewcząt, które ślepo naśladowały wszystko, co zachodnie, i przy tym – ponieważ sprzeciwiało się to ich naturze – wyniszczały same siebie.

Stałem, dając jej czas na opanowanie się, a potem zmieniając temat zapytałem:

– Czy mogę teraz rozpakować mój prezent?

Pozostając tam, gdzie stała, kiwnięciem głowy wyraziła zgodę.

Udałem, że nie zwracam uwagi na płochliwą dziewczynę, i zająłem się dziwnym zwojem. Otworzył się z cichym szelestem. O – kakemono – wspaniałe malowidło na długiej wstędze żółtego jedwabiu, do zawieszenia na cienkiej bambusowej listewce niczym sztandar.

Z pełną wdzięku prostotą przedstawiono na nim pokrytą śniegiem kwitnącą gałązkę śliwy oraz siedzącego na jej końcu małego, szarego ptaka śpiewającego ku wschodzącemu słońcu – słowika w japońskim przedwiośniu. Oczarowany syciłem wzrok delikatnymi barwami, ulotnymi niczym dźwięki tutejszego języka, a przecież dającymi tak czysty, jasny obraz!

Gdy podniosłem wzrok, zostałem sam. Yuriko bezszelestnie otworzyła i zamknęła za sobą szklane drzwi. Pozostał zapach kwitnącej gałązki i wdzięk wewnętrznej impresji. Wiedziałem, że w przeciwieństwie do zachodniej mody nie wolno mi pobiec za nią i na siłę sprowadzać z powrotem. Dziewczyna taka jak ona musiała przyjść sama. Tym razem będzie to dla mnie szczęśliwe

oczekiwanie.

*

Moja wybranka miała rację. Wiosna stała u drzwi. W połowie stycznia powietrze zrobiło się miękkie i ciepłe, więc pozbyłem się zimowego płaszcza. W małych ogrodach pojawiły się pierwsza zieleń i pąki. Przyleciały gromady ptaków.

Prawdziwą przyjemność sprawiało mi włóczenie się po wyspach, długie samotne przejażdżki i chłonicie wrażeń na widok rozkwitającego krajobrazu, których nie dało się zatrzeć w pamięci. Wszystko zdawało się być jeszcze wspanialsze, bo oblane blaskiem miłości. W Yuriko nauczyłem się miłować Nippon i pojmować go sercem.

Kiedy zjawiała się znowu pod koniec lutego i podpisała nową umowę, poczułem pełnię szczęścia. Czekala mnie najwspanialsza wiosna.

Kolejny raz mogłem przeżyć część czaru starej Japonii, gdy któreś niedzieli wraz z Yuriko pojechaliśmy do osłoniętej od wiatru doliny kipiącej morzem kwitnących wiśni, do której schodzili się pielgrzymujący z daleka Japończycy wraz z rodzinami, aby obchodzić tradycyjne święto Sakuraku, krótko żyjącego kwiatu wiśni, wprawdzie słodko pachnącego, lecz opadającego na ziemię bez przyniesienia owocu. Przez długi czas symbolizowało ono piękno bohaterskiej śmierci kojarzone z obrazem młodego samuraja wyruszającego na bój i ofiarującego życie za ojczyznę. Stąd też związane z nim tchnienie melancholii.

Pod błękitnym, lekko zachmurzonym niebem zobaczyłem Japończyków we wspaniałych, barwnych kimonach pogrążonych w kontemplacji różowych kwiatów. To pewnie tutaj powstała większość przepelnionych tęsknotą poematów miłosnych tak zachwycających ludzi Zachodu. My natomiast, Yuriko i ja, byliśmy pewni naszej miłości, nie musząc elegijnie rozmyślać o więdnących pąkach. Tak przynajmniej ja, szczęśliwy głupiec, wmawiałem to sobie.

Dziwnie milcząca Yuriko usiadła na miękkiej trawie górskiego zbocza, przyglądając się zwiewnym postaciom gejsz, które wysłano na święto z położonej w pobliżu znanej, starej herbaciarni. Pod szumiącymi koronami wiśni rozpoczęła się fascynująca gra powiewających we wszystkich kolorach tęczy kimon, chust, wachlarzy i kwiatów. Elegancko ozdobione, okrągłe parasole z bambusa i szeleszczącego papieru kręciły się w smukłych dłoniach niczym ogromne motyle. Japońska orkiestra z nieznanymi mi bliżej instrumentami, bambusowymi fletami, bębenkami, shamisen i koto akompaniowała tej fatamorganie melodiami i rytmami, które poruszały pewnie tylko serca tubylców. Dziwnie wyobcowany, jakbym znalazł się na innej planecie, przysiadłem pośród prostych ludzi z takim przejściem świętujących kwitnienie wiśni. W rodzinnych stronach uważałbym pewnie za zbędną sentymentalność zachwycać się z ukochaną dziewczyną tymi ariami opiewającymi miłość i śmierć.

Urzekł mnie ten obcy czar, a Japończycy z pewnością odczuwali wdzięczność, że nie ranię ich uczuć. W tej godzinie pojąłem, dlaczego wyspiarze niechętnie ofiarują sobie żywe kwiaty – ich kwitnienie i więdnienie jest dla nich symbolem przemijalności ludzkiego życia. Wyjątkiem są stawiający czoło zimie kwiat śliwy, wiecznie zielony bluszcz, świerk i silny bambus.

Czy to przypadek, że jeszcze zanim święto dobiegło końca, spotkaliśmy drugiego szefa firmy Grane, mojego obrotowego Jima Lesleya? Może myślał, że podczas tego wyjazdu pominię wszelkie sprawy służbowe? Ruszył ku mnie, a ja uśmiechnąłem się w duchu, gdy przedstawił mi imponującą damę o jasnych włosach, przerastającą go prawie o głowę – pannę Glorię Witchwood, sekretarkę sztabu z Daiichi Building w Marunouchi. Oczywiście towarzyszyła mu z powodów ściśle służbowych. Uszy Jima płonęły krwistą czerwień. Szef panny Witchwood zlecił jej wraz z Lesleyem odbycie jazdy próbnej nowo zakupionym pojazdem. Dlaczego więc nie połączyć przyjemnego z pożytecznym?

Przyznałem im uprzejmie rację, choć odczuwałem zbyt natrętne przenikliwe i chłodne spojrzenia, jakimi blondynka obrzucała moją towarzyszkę. Czy nie dosłyszała, że Yuriko jest moją tłumaczką? A może sprawy zaszły już tak daleko i każdy mógł zauważyć naszą miłość? Zdenerwowany pożegnałem się nieco zbyt pospiesznie. Jimowi też ziemia paliła się pod nogami.

Gdy odjeżdżali, panna Witchwood zdawała się decydować o kierunku; w każdym razie wskazywał na to energiczny ruch ręki, jaki wykonała w stronę okna. Jeśli tak rzeczywiście było – ostatecznie samochód należał do jej szefa – to mogła rozkazywać, dokąd miał jechać. Popatrzyłem

za nimi z uśmiechem. Obym się nie mylił, bo wtedy Jim dostałby się wreszcie w pewne ręce i skończyłyby się drobne miłostki z Japonkami oraz niezliczone, niezobowiązujące do niczego podarunki na gwiazdkę.

Rozbawiony powiedziałem Yuriko o swego rodzaju bardzo samodzielnych młodych damach z mojej ojczyzny, zwykłych zdobywać sobie mężów, których staraniom nie są w stanie oprzeć się nawet najbardziej zatwardziali kawalerowie. Moja towarzyszka słuchała zdumiona. Jakże dziwnymi istotami były te cudzoziemskie kobiety, którym drobne córki Nipponu tak bardzo zazdrościły, gdyż prawie dorównywały oświeconemu rodzajowi męskiemu, i to nawet w tym względzie, że miały możliwość wyboru przyszłego małżonka. I ona sama dokonała czegoś niesłychanego, odpowiadając na moją miłość. O czymś takim słyszało się wcześniej tylko w wielkich romansach słynnych cesarskich gejsz i kurtyzan. Nie rozumiała, dlaczego czułem się szczęśliwy, że w najmniejszym stopniu nie przypomina panny Witchwood.

Kiedy następnego dnia zjawiłem się w firmie, Jim wziął mnie na stronę i po dłuższym zagajeniu zapytał wprost, czy miałbym coś przeciwko, gdyby jeszcze w tym roku zawarł związek małżeński. Pyta o to z powodu związanej z tym podwyżki. Oczywiście dalej ze wszystkich sił będzie się angażował w nasze sprawy. Więcej jeszcze, sam się przekonam, że w osobie panny Witchwood zdobyliśmy znakomitego współpracownika, gdyż poniekąd wzrastała ona w branży samochodowej, będąc córką znanego właściciela garaży z Chicago.

Zaśmiałem się głośno, ponieważ nie słyszałem dotąd bardziej zabawnej deklaracji zakochania. Jim najwidoczniej został zdobyty abordażem. Wonderful – a gdzie poznał swoją wybrankę? Przeciągnął ręką po kędzierzawej, jasnej czuprynie.

– Do licha z tymi klubami! Siedzi się, pali, pije i zanim się zdążyś obejrzeć, już jest po wszystkim. Jesteś zaręczony, zanim jeszcze zdążyłeś powiedzieć „tak”. Ale jest w porządku, prawda?

– W rzeczy samej, Jim. Odpowiedni dla ciebie kaliber!

– Człowieku, nie nabijaj się ze mnie! To poważna sprawa. Zjawiła się w samą porę, bo bliski byłem zakochania się w słodkiej japońskiej laleczce. To na szczęście mniejsze zło.

Współczująco uściśnąłem mu dłoń.

– W porządku, Jim. Kiedy się zaczyna? To znaczy, kiedy zamierzacie się pobrać?

Ciężko westchnął.

– Gloria uważa, że ze względu na moją słabość do japońskich dziewcząt nie powinniśmy dłużej zwlekać. Musisz wiedzieć, że to prawdziwy kłębek energii. Czysta mieszanka skrywanej macierzyńskości i zgrzebla, ale w gruncie rzeczy dobry człowiek. Nie znajdę lepszego.

– A więc małżeństwo partnerskie, żeby tylko się udało!

– No, w każdym razie lepsze od nieszczęśliwej miłości do gejszy ze święta kwitnącej wiśni. Najchętniej poślubiłbym wszystkie, które tam były. Pocieszałem się tylko tym, że od zawsze prawie niemożliwe było wywabienie kogoś takiego z herbaciarni, myślę jako gaijin.

Był niepoprawny. Panna Witchwood miała rację, podejmując energiczne działania. Na koniec spróbował jeszcze odegrać się na mnie.

– Ferie wiosenne są niestety krótkie. Za miesiąc będziesz musiał znowu pozwolić odfrunąć swojemu motylowi. Miejmy nadzieję, że w tym krótkim czasie uda ci się coś osiągnąć.

Moja twarz przemieniła się w nieprzeniknioną maskę.

– Owszem – odparłem lekkim tonem – tak mi się wydaje. Nie jesteśmy tylko zgodni co do tego, na jakim uniwersytecie panna Mori podejmie studia chrześcijańskiej nauki społecznej. Kyoiku wydaje się do tego niezbyt odpowiedni.

Jimowi Lesleyowi ze zdumienia opadła szczęka.

Teraz ja go zaintrygowałem. Spojrzał na mnie niepewnie.

– Ach tak, kształcisz ją w tym kierunku? Uważaj tylko, żeby jej ojciec czegoś nie przewąchał.

Spoważniałem.

– Właśnie o to chodzi. Następnym razem z pewnością nadarzy ci się okazja do zastanawiania się nad moim stosunkiem do panny Mori. Muszę więc być pewny, że mogę na tobie

polegać. Załodze ani słowa! Yuriko chce się zapoznać z chrześcijaństwem poprzez regularne studia, więc nie mogę jej w tym przeszkadzać.

Miałem wrażenie, że Lesley czuł się rozczarowany, nie słysząc jakiejś miłosnej historii. Miałem cichą satysfakcję. Dostatecznie długo stroił sobie ze mnie żarty, teraz ja pozostawiałem go w niepewności.

Zaraz jednak pokazał się w nim prawdziwy druch. Pochwycił mnie za rękaw marynarki.

– Nie musisz nic mówić, old fellow ! To jasne, że nie puszcę pary z ust. Możesz na nas polegać. Gloria jest gorliwsza od całej Armii Zbawienia, jeśli chodzi o ratowanie duszy. Moja świętej pamięci matka błogosławi ją z nieba.

Uśmiechnąłem się.

– Chłopie, chłopie, jeszcze coś z ciebie będzie. Ale nie obraż się, muszę już iść. Przyślij do mnie Kiosiego. Potrzebuję jego pomocy.

Pokręcił głową.

– No, no, no, pełną parą zabierasz się do każdej sprawy. Teraz potrzebujesz dwóch tłumaczy naraz. Zaraz mu powiem. A właśnie, co ci jeszcze chciałem powiedzieć: oczywiście będziesz świadkiem?

Przytaknąłem, podając mu dłoń.

W głębi serca życzyłbym sobie, żeby moja droga była równie gładka jak jego. Gdy zjawił się Kioshi, miałem przeczucie, że przynajmniej idę we właściwym kierunku. Natychmiast zgodził się ze mną, gdy ostrożnie zagaiłem, wyjaśniając mu, jak ważne jest dla mnie, aby moi współpracownicy zgodzili się ze mną również w sprawie religii, i dlatego – ponieważ zamierzam wprowadzić znaczne nowości socjalne – przywiązuję wielką wagę do tego, aby panna Mori poznała chrześcijańską naukę społeczną. Czy zechce mi polecić odpowiedni uniwersytet, na który mogłaby się przenieść?

Kioshi nie zastanawiał się długo.

– Przecież panna Mori studiuje pedagogikę. Wobec tego w grę wchodzi tylko jedna uczelnia, prowadzona przez siostry Serca Jezusowego w Shibuya.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Czy to nie jakaś szkoła misyjna? Nie chcę, żeby panna Mori musiała się zadowolić czymś niższym od porządnego uniwersytetu, na którym mogłaby zdobyć stopień doktorski.

Kioshi Tanaka zaperzył się:

– Czcigodny chef-san zapewni swojej tłumaczce najlepsze wykształcenie. Jak słyszałem, jeszcze w kwietniu prowadzony przez siostry Seishin Collegema się stać szkołą wyższą, a więc daigaku-in, a tym samym dorównać najlepszym uniwersytetom w Tokio. – Podeszedł do mnie, składając ręce w geście prześlągnięcia. – To pierwszy uniwersytet dla kobiet w naszym kraju i będzie zaszczytem dla panny Mori, jeśli odbędzie studia tam, gdzie najczcigodniejsze rody szlacheckie posyłają swoje córki. Seishin-Daigakuma nawet koneksje z boczną linią domu cesarskiego!

Tanaka nieomal piał z zachwytem. Dziwne, że nie domyślał się, dlaczego jeszcze się waham, gdy tymczasem on już od dawna starał się zwrócić na to moją uwagę.

– Czcigodny chef-san nie musi żywić obaw, że Mori-san dowie się czegoś na ten temat, jeśli tylko wyrazi zgodę, żebym na czas wziął tę sprawę w swoje ręce. Poproszę o pośrednictwo profesorów z Uniwersytetu Sophia. Zrobią wszystko, gdy się dowiedzą, że chodzi o pokazanie komuś drogi ku chrześcijaństwu.

Zawstydziłem się. Kioshi kolejny raz okazał się gorliwszym apostołem Pana niż ja ze wszystkimi wątpliwościami. Nie znał ani zazdrości, ani zawiści. Przemogłem się.

– Well, Kioshi, porozmawiam z panną Mori. Jeśli okaże gotowość i odważy się na ten krok, to dalsze poczynania pozostawię panu.

Kioshi wychwalał mnie jako najbardziej wyrozumiałego szefa w całej Jokohamie i Tokio, a ponadto zdawał się być bardzo pewny swego.

Trochę tylko zaskoczyło mnie, że Yuriko bez wahania przyjęła moją propozycję. Z ożywieniem uniosła głowę, gdy wymieniłem nazwę college'u, a na jej twarzy pokazały się rumieńce.

– Seishin? Mam studiować na Seishin-Daigaku?

Rzadko reagowała tak energicznie. Zerwała się z miejsca, ale zaraz posmutniała.

– Donald-san, to niemożliwe. Tam jest drogo. Szkoły misyjne nie otrzymują subwencji od państwa jak inne uniwersytety i dlatego muszą pobierać wyższe opłaty... ja...

– Yes, you – ty moja Yu, będziesz tam studiować. Moja decyzja jest nieodwołalna. Yu Mori ma należeć do najlepszych kręgów towarzyskich w Japonii, które będą się kiedyś chlubić zdobyciem tytułu na pierwszym uniwersytecie dla kobiet.

Spojrzała na mnie nieco zdezorientowana. Po raz pierwszy wymówiłem zdrobnienie jej imienia, jakie nadałem jej w moim sercu. Yu – tak je skróciłem, gdyż współbrzmiało z „you” w moim ojczystym języku. Stała się moim drugim Ja, moim słodkim Ty.

Ująłem jej twarz w dłonie, powtarzając z radosną dumą:

– Yu, słyszałaś, you? Sprawa zamknięta. To, co Tenno uznaje za najlepsze dla dam swojej jaśnie oświeconej rodziny, ja wybieram for you.

Uśmiechnęła się, słysząc tę grę słów. Promienie słońca oświetliły jej urodziwą twarz o kolorze kości słoniowej.

– O, Donald-san, to naprawdę wielkie wyróżnienie, ale...

Wiedziałem, co ma na myśli.

– Nie ma miłości bez tajemnic, Yu. Twój ojciec nie musi się dowiedzieć o zmianie uczelni ani nawet dawać swojego podpisu. Kiedy Kioshi wszystko przygotowuje, ja jako twój szef, który kształci cię na potrzeby naszej firmy, podpiszę wszystkie dokumenty.

Położyła mi głowę na piersi, delikatnie, nieśmiało, jak to miała w naturze.

– A kto odwdzięczy się za to mojemu Donald-san? Nie mam niczego – powiedziała zatroskana. – Twoja „Yu” żyje z twojego „you”...

Ucałowałem ją w czoło.

– Nie ma nic piękniejszego w miłości – odpowiedziałem.

Uwierzyła mi, bezwarunkowo, jak może zaufać miłości tylko japońska kobieta. Od tej chwili również i ja nabrałem przekonania, że pewnego dnia przewycięży i odrzuci swoje komunistyczne wychowanie. Coś takiego nie następowało z dnia na dzień. Codziennie potrzebowałem nieskończenie wiele cierpliwości, aby wyperswadować jej fanatyczne uprzedzenia i przekonać, że rzeczy mają się dokładnie odwrotnie, więc stoczyliśmy niejedną pozasłużbową debatę. Ponieważ jednak się kochaliśmy, nigdy nie doszło do otwartej kłótni ani poróżnienia. Najczęściej Yuriko zjawiała się po kilku dniach i oznajmiała z uśmiechem, że przemyślała sporną kwestię i uznała, że lepiej będzie, jeśli ustąpi. Gdy czegoś nie przyjmowała, to jej nie przymuszałem, nawet nie próbowałem.

Stawiany przez nią największy i poniekąd uzasadniony zarzut, jaki nie bardzo mogłem odeprzeć, brzmiał: z jakiego powodu chrześcijaństwo, choć ma tyle argumentów przeciwko komunizmowi, samo nie urzeczywistnia swoich teorii, tak jak on to robi?

Gdzie są chrześcijanie budujący w miłości swojego Pana królestwo sprawiedliwości, miłosierdzia i pokoju, troszczący się o ubogich i zasiadający do stołu z potrzebującymi? Nie byłem teologiem, więc nie zawsze udawało mi się znaleźć właściwą odpowiedź. W ostatnich latach zbyt mało troszczyłem się o pogłębienie własnej wiary, przejętej jako pewnego rodzaju spadek. Wymówka, że Bóg nie zabrania dążenia do dobrobytu, przesłoniła mi inną kwestię, tę mianowicie, że domaga się również, aby po chrześcijańsku z niego korzystać. Czy jak dotąd zdobywałem sobie przyjaciół „niegodziwą mamoną”?

Zmagania, jakie Yuriko toczyła z chrześcijaństwem, stały się dla mnie powodem do przeprowadzenia rzetelnego rachunku sumienia. Czułem, że popełniłem sporo błędów – myśląc w pierwszym rzędzie o firmie i finansach, a dopiero potem, czy też na końcu, o tym, co rzeczywiście ważne.

Nie wspominałem o tym nikomu, ale zaopatrzyłem się na uniwersytecie jezuickim w podręcznik nauki społecznej Kościoła. Nie chciałem, aby któregoś dnia moja japońska narzeczona przerosła mnie w wierze, dlatego że studiowała na Seishin doktrynę katolicką.

Jej przejście z Kyoiku, czerwonej uczelni, do misyjnego college’u siostr Sacré-

Coeurdokonało się nie bez trudności. Jednak dzięki wytrwałemu uporowi Kioskiego Tanaki oraz bezinteresownej interwencji ojca Tomasza udało nam się umieścić ją tam na początku nowego semestru. Przed tym ostatnim nie miałem już żadnych tajemnic. Na swój spokojnie wyczekujący sposób nie narzucał się ani przez chwilę, lecz zostawił mi czas, aż wreszcie sam się przyznałem, jak wyglądają moje relacje z Yuriko.

Nie ukrywam, że moje słowa przejęły go głęboką troską, co więcej – podjął starania, aby przybliżyć mi racjonalne przesłanki, dla których Kościół żywi zastrzeżenia co do związku dwojga osób pochodzących z tak różnych środowisk. Jeśli natomiast Yuriko Mori z wewnętrznego przekonania przyjmie chrześcijaństwo, to kiedyś będę się mógł uważać za szczęśliwca, mając za żonę japońską dziewczynę. Z jego doświadczenia wynikało, że były one gorliwymi chrześcijankami. Czy jednak nastąpi to kiedykolwiek w przypadku córki komunistycznego nauczyciela ludowego? Czy w pierwszym rządzie nie powodowało ją dyktowane przez miłość pragnienie rozumienia własnego przełożonego?

Na wszystkie te pytania niełatwo było znaleźć odpowiedź. Potrzebowaliśmy teraz czasu, aby wszystko dokładnie przemyśleć. Ojciec Tomasz odradzał nam pospieszne, oficjalne zaręczyny. Również siostry, które zaopiekowały się Yuriko, prosiły, abym nie wywierał na nią żadnego nacisku. Japończycy, bardziej niż wszyscy inni muszą dojść do wiary od wewnątrz, gdyż z natury rzeczy poszukują sfery ducha. Wszystkie zewnętrzne motywy nie mają tak zasadniczej skuteczności działania jak nawrócenie serca dojrzewające w atmosferze spokojnej refleksji.

Pomyślałem o słowach Kioskiego. Powiedział, że wiele studentek college'u Seishinwstępuje potem do zakonu. Nie chciałem w ten sposób utracić Yuriko. Czcigodna przełożona uśmiechnęła się dyskretnie.

– Nie będziemy nakłaniać narzeczonej do porzucenia jej oblubieńca. Nie mamy także prawa, aby ingerować w Bożą łaskę. Wydaje mi się jednak, że biorąc pod uwagę uczucie, jakim darzy pana panna Mori, nie trzeba się niczego obawiać.

Spojrzałem zaskoczony na moją rozmówczynię. Skąd się o tym dowiedziała? Czyżby Yuriko...?

Odpowiedzią było przeczące pokręcenie głową.

– Nie wiem nic ponad to, że córka komunisty zdecydowała się przyjść do nas. To wystarczająco wymowne, bo niespotykane.

Miała rację. Nie było powodów, aby być zazdrosnym o siostry zakonne. Gdy stanąłem przed potężnym gmachem college'u, a potem obszedłem strzelistą aulę, opanowało mnie uspokajające uczucie, że oddałem moją narzeczoną w dobre ręce. Już tylko zewnętrznie uniwersytet robił imponujące wrażenie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w jego bezpośrednim sąsiedztwie znajdował się stary, utrzymany w japońskim stylu pałac cesarskiego teścia, księcia Higashikuni. Jego architektura mocno kontrastowała z niską konstrukcją utrzymaną w nowoczesnym stylu. Czy nie było to symbolem Japonii, że obok siebie stały zgodnie te dwie tak różne budowle? Jak się dowiedziałem, dzięki hojnym dotacjom siostrom udało się nabyć pałac wraz z dużym parkiem. W tych murach Yuriko nie wyzbędzie się swoich korzeni, lecz na nowo rozpali miłością do starej ojczyzny. Te rozmyślenia przyniosły mi ulgę do rozpoczęcia wakacji letnich. Na dwa miesiące musiałem wyrzec się szczęścia spędzania czasu wraz z nią.

Żeby tylko udało się jej osiągnąć jak najwięcej.

Nadszedł ciepły maj. Powietrze było czyste i ciężkie od zapachu kwiatów. Odbywałem dalekie podróże po kwitnących wyspach. Coraz częściej też spotykałem się z prostymi ludźmi. Czasami wydawało mi się, że Kioshi świadomie się stara o to, aby jego przełożony negocjował nie tylko z zamożnymi klientami pragnącymi nabyć eleganckie limuzyny, lecz także ze zwykłymi rzemieślnikami i robotnikami, którzy z zawstydzeniem dowiadywali się o możliwość kupna używanych pojazdów wojskowych. Sprytnie wyciągał mnie z naszego baraku-herbaciarni do niskich domków ubogich. Tu poznałem właściwy problem Japonii – przeludnienie. W ciągu roku ten zdrowy naród powiększał się o milion nowych obywateli, a tymczasem nie było możliwości ekspansji. Prawie wszystkie surowce potrzebne w przemyśle należało sprowadzać za dewizy.

Drastycznie ograniczono przestrzeń życiową. Tak nie mogło i nie powinno być dalej. Do tego wszystkiego my, Amerykanie, sprowadziliśmy do przeludnionego kraju rażąco materializm oraz pogoń za nowoczesnymi dobrami życiowymi, zaślepiając oczy ubogich zdobycami, których nie mogli nabyć. Czy nie zakrawało to na skandal, że prezentowałem im wspaniałe kabriolety, na które nie stać było nawet zamożniejszych Amerykanów?

Na początku maja, w święto synów, większość pracowników poprosiła mnie o urlopy, gdyż chcieli godnie celebrować w rodzinnym gronie uroczystość swoich itschibans, pierwotnych potomków. Dokonałem wówczas odkrycia, które zadało bolesny cios mojemu optymizmowi. Oglądałem budowane właśnie hale produkcyjne, przy których prawie nikogo dziś nie było – nikt też pewnie nie liczył się z moją wizytą – gdy nagle w jednej z nich natknąłem się na skrzynię, która moim zdaniem musiała zawierać materiały budowlane. Przewróciła się i cały stos krzyczących wielkimi literami ulotek wysypał się prosto pod moje stopy. Japończycy zamarli.

Pochyliłem się, wziąłem kilka egzemplarzy do ręki, po czym przeszedłem obok stojących z kamiennymi twarzami pracowników do ostatniego nierozzebranego jeszcze baraku, gdzie krótko poinformowałem o wszystkim Kioshiego i poprosiłem o dokładne tłumaczenie tekstów.

Gdy tylko zapoznał się z ich treścią, poprosił mnie stokrotnie o przebaczenie. Zaraz też przedstawił mi dokładne tłumaczenie.

– Lewicowa propaganda, chef-san, tym razem wyraźnie przeciwko panu.

Usiadłem i zapaliłem papierosa.

– Proszę zaczynać, Kioshi, jestem przygotowany na wszystko.

Tanaka wsparł się na dłoniach i rozpoczął lekturę tak bezbarwnym głosem, jak gdyby odczytywał jakiś urzędowy protokół:

– Towarzysze, przyjaciele budzącej się Japonii! Pracujecie na rzecz cudzoziemskich wyzyskiwaczy, którzy niczym moskity wysysają z was krew. Zewrzyjcie ciaśniej szeregi, brońcie się, bijcie waszych gnębicieli bronią, jaka wam pozostała. Sabotaż, strajk, opór, rewolucja!

Towarzysze! Jak wiadomo, prawdziwi sprzymierzeńcy Japonii podjęli ofensywę, której nie można już zatrzymać. Stąd prześladowania KPJ, dlatego aresztowania naszych najlepszych przywódców. Musicie ich zastąpić, każdy na swoim stanowisku. Nadchodzi rewolucja, dzień, w którym zmieciecie waszych ciemnych i agitatorów zachodnich kapitalistów. Przygotowujcie ten dzień, jednoczcie się...

Przerwałem mu gestem ręki.

– Wystarczy. Kto podpisał ten szpargał?

Kioshi wzruszył ramionami.

– Anonim, ale mogę się domyślać, skąd przywiało te ulotki.

Spojrzałem na niego, ale nic nie mówiłem. Wreszcie zapytałem:

– Mori-san?

Zawahał się na chwilę.

– Najprawdopodobniej. To japoński kogoś wykształconego, a nie prostego robotnika.

– Czy to koniecznie musi być Mori?

– Chef-san, ludzie, których zastał pan przy skrzyni, zostali nam poleceni przez Mori-san jako dobrzy robotnicy i sympatycy sił okupacyjnych.

Zagryzłem wargi i ze zmarszczonymi brwiami pogrążyłem się w niewesołych rozmyślaniach. Przez chwilę panowała cisza.

– Co pan radzi, panie Tanaka?

To zabrzmiało poważnie, gdyż nieświadomie zwróciłem się do niego po nazwisku.

Wyprostował się.

– Zrobić porządek, chef-san, bezzwłocznie zwolnić wszystkich, materiały przekazać policji i...

Znowu mu przerwałem.

– No! Wręcz przeciwnie, zaangażuję jeszcze więcej robotników budowlanych, żeby prace szybciej ruszyły do przodu. Poza tym odnowię firmę nie tylko zewnętrznie. Główną winę ponoszę wyłącznie ja.

– Chef-san!

– Tak jest, Kioshi, dobrze mnie pan zrozumiał. To ja dałem komunistom powód do podżegania przeciwko mojemu przedsiębiorstwu. Ale to się zmieni. I jeszcze jedno. Pan nie wie o niczym.

Kioshi zamilkł, po czym tylko się skłonił. Wziąłem ulotki i schowałem je do kieszeni.

– Później zajmiemy się szczegółami. Dziękuję za rzetelne tłumaczenie.

Wyszedłem z baraku. Pracujący robotnicy spojrzeli w moim kierunku, jak gdyby oczekiwali wyroku śmierci.

Uśmiechnąłem się do nich.

– Do roboty, ludzie, w następnym miesiącu wszystko ma być gotowe. Miłego dnia!

Najprawdopodobniej pomyśleli, że jestem skończonym durniem albo – niebezpiecznym kunktatorem.

*

Tego majowego wieczora, gdy czerwone papierowe karpie przywiązane konopnymi włóknami do długich bambusowych tyczek powiewały pod błękitnym niebem nad wszystkimi dachami, gdzie jeden lub wielu synów zgromadziło się wokół rodziców, udałem się znowu do domku Teruko. Musiałem porozmawiać z Yuriko, ale nie o nieprzyjemnym zajściu w firmie. Teraz nie należało jej przeszkadzać w duchowym rozwoju.

Chatkę Teruko spowijała cisza. Tu nie było synów, natomiast na sąsiedniej strzesze zawieszono aż pięć karp, symboli płodności i przekazywania życia.

Gdy wszedłem, Yuriko odłożyła trzymany w ręku podręcznik. Szczęśliwa skłoniła się przed swoim przełożonym. Nie potrafiłem jej od tego odzwyczaić. Widząc, jak biorę ją w ramiona, ciotka z zawstydzeniem odwróciła głowę – ci okropni cudzoziemcy!

Podniosłem książkę – i osłupiałem.

Rerum novarum i Quadragesimo anno – o mało nie wybuchnąłem gromkim śmiechem – córka mojego największego wroga czytała papieskie encykliki socjalne.

– Czy ta lektura bardziej ci odpowiada niż „Life”? – zazartowałem, czyniąc aluzję do naszego pierwszego spotkania, gdy zobaczyłem ją z angielskim czasopismem w ręku. Yuriko oblała się rumieńcem.

– Należy wszystko studiować. To też jest „Life”, tylko w głębszym sensie.

Podąłem jej podręcznik.

– Yes, Yu! Planuję, żeby to, co tu napisano, stało się praktyką, również w naszej firmie.

Spojrzała na mnie pytająco.

Położyłem jej rękę na ramionach.

– Posłuchaj, Yuriko! Jeszcze nikt o tym nie wie, ale zamierzam przeprowadzić w naszym przedsiębiorstwie daleko idące reformy. Chcę odejść od jednostronnej umowy pomiędzy pracodawcą a pracobiorcą i pójść krok dalej. Po lekturze tych pism zrozumiesz, co mam na myśli, gdy ci powiem, że jeszcze w tym roku chcę spróbować wprowadzić współdecydowanie załogi oraz dać jej udział w zyskach.

Yuriko nie potrafiła opanować zdziwienia.

– Ale chef-san, przepraszam, Donald-san... to coś zupełnie nowego... o tym nie ma pojęcia żaden z moich rodaków.

Przytaknąłem, po czym przysiadłem z założonymi nogami na jedwabnej poduszce, gdyż nie potrafiłem wytrzymać w przysiadzie dłużej niż dziesięć minut.

– Well, o to właśnie chodzi. Chcę być jednym z pierwszych przedsiębiorców w tym kraju, który poważnie traktuje chrześcijańską naukę społeczną. Moi rebelianccy pracownicy jeszcze się zdziwią.

Napotkałem nierozumiejące spojrzenie, ale udało mi się wybrnąć z kłopotu.

– To tylko ogólne stwierdzenie. Wszyscy robotnicy w Japonii są niespokojni. Nie martw się, darling. Na czas spostrzegłem, że i u nas nie wszystko jest tak, jak powinno. Nadeszła pora, żeby działać. Kiedy skończą hale, chcę dołożyć starań, aby firma nabrała stabilności. Czy możesz mi polecić jakąś dobrą drukarnię, Yu?

Myślała pewnie, że żartuję, ponieważ miałem dobry humor.

– Ja, chef-san? Nie... ja...

– Okay, wobec tego złożę wizytę twojemu ojcu. Może on mi coś doradzi. Potrzebuję ulotek.

Yuriko wystraszyła się nie na żarty, a ja pocałowałem ją w policzek, nie troszcząc się o to, że Teruko-san o mało nie zemdląła na ten widok. Z brzękiem upuściła trzymane w ręku szczypcę do żaru, a potem zmieszana przyniosła nam w czarkach herbatę. Yuriko nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa.

W doskonałym nastroju wypilem pierwszy łyk i skłoniłem się ku niej. Naczynie stało na prawej dłoni, lewa podtrzymywała filiżankę bez ucha. Czegoś się jednak nauczyłem, tym razem niczego już nie rozbiłem!

O tak, delektowałem się herbatą i milczeniem.

– Potowarzyszysz mi, Yu? Moglibyśmy z twoim ojcem omówić i inną kwestię. Nawiązałem

dobre kontakty z Osaką i Kioto. Ale zgodnie z umową nie mogę zabierać cię jako tłumaczki na dłużej niż jeden dzień. A tymczasem bardzo byś mi się przydała. Poproszę twojego dana-san, żeby z początkiem ferii jesiennych zgodził się na nieco większą swobodę.

Yuriko nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Skoro tak mówisz, Donald-san... Mnie to nie przeszkadza. Oczywiście, Osaka, to daleka wyprawa, zwłaszcza że rozmowy mogą się przeciągnąć. Ale jest przecież Tanaka-san...

Spojrzałem na nią.

– Owszem, ale powiedziano mi, że w Osace są wspaniałe stare teatry. Przecież nawet w Nipponie nie chodzi się do nich bez urodziwej damy do towarzystwa...

Trafiłem w dziesiątkę. Oczy Yuriko zapaliły się blaskiem.

– Teatr... teatr kabuki ?

– No widzisz, tak właśnie myślałem, że ucieszy cię możliwość wyjazdu poza Tokio i Jokohamę.

Nie, Yuriko nie przeczuwała, że chęć bliższego związania jej ze mną podyktowała mi troska o to, aby nie została wciągnięta w ciemne sprawy swojego ojca, podczas gdy ja przebywałem w podróży służbowych. Siłą ojcowskiego autorytetu bez trudności mógł jej zlecić podjęcie w mojej firmie wyrotowej działalności, zmierzającej do komunistycznych zamieszek. Równie dobrze nie musiała też wiedzieć o niczym. Ale lepiej było nie ryzykować. Przyjrzałem się jej – hasło „teatr” osiągnęło zamierzony skutek. Przedstawienia kabuki to wielka namiętność Japończyków, przebijająca nawet łowców autografów z Hollywood.

Kułem żelazo, póki gorące.

– Słyszałem też, że są tam znakomici aktorzy obeznani ze starą japońską sztuką. Twoje wyjaśnienia będą zupełnie inne niż Tanaki, któremu w głowie tylko sprawy przedsiębiorstwa.

Widziałem doskonale, dlaczego odtąd zostawię Kiosiego na miejscu. Doskonale mnie zastępował i tylko on wiedział, co tam tak naprawdę się dzieje. Na Jima nie dało się specjalnie liczyć, gdyż zajmował się przygotowaniem do ślubu, a potem czekającym go wyjazdem na miesiąc miodowy.

– A jaką sztukę obejrzymy?

Uśmiechnąłem się. Argumenty poskutkowały.

– Hm, przyniosłem program na lato i jesień, ale niestety po japońsku. Może przejrysz go i sama powiesz, co powinniśmy zobaczyć. Nie pojedziemy tam tylko dla rozrywki, więc trzeba będzie dokonać wyboru.

Sięgnęła po program niczym ktoś zgłodniały po kawałek chleba i czytała chciwie linijki tekstu.

– Gratia Hosokawa! – zawołała, czerwieniejąc z emocji. – To musimy koniecznie zobaczyć, Donald-san. Tę sztukę albo żadną. To dramat jednej z pierwszych chrześcijanek Japonii, która połączyła chrześcijaństwo z wiernością małżonkowi. Nie tak dawno omawialiśmy ją na Seishin. Nawet siostra przełożona pochwali mój wybór!

Zgasilem papierosa.

– A kiedy ją wystawiają?

– W sierpniu, Donald-san. W czasie ferii, czy to dobry termin?

Udałem, że się zastanawiam.

– Myślę, że tak. Do tego czasu hale zostaną ukończone, a także będą przeprowadzone reformy. Tak, Gratia, jak się tam jeszcze nazywała? Pójdziemy na spektakl. Musisz mi tylko wyjaśnić treść.

Już zerwała się z miejsca, poprawiając spódnicę.

– Pójdziemy teraz do mojego dana-san?

Nie spieszyłem się. W głębi ducha musiałem sobie pogratulować. Wydawało się bowiem, że zapomniała o właściwym celu wizyty u jej ojca. Jak prawdziwej, małej kobiecie szybko dawało się odwrócić jej uwagę.

Nieco później siedzieliśmy w fordzie, a siwa głowa Teruko skłaniała się za nami głęboko w przesuwanych drzwiach. Co działo się w głowie tej starszej kobiety konfrontowanej raz po raz z tak

obcym dla niej światem?

Yuriko uśmiechnęła się do mnie:

– Lubi cię, Donald-san, i myślę, że jest tak, ponieważ ja cię lubię. Teruko-san poszłaby za mną w ogień.

– Nie tylko Teruko, Yu!

Szczęście rozjaśniło jej urodziwą twarz.

– Donald-san, tak bardzo się cieszę, że pójdę z tobą do teatru.

Nie mogła się doczekać, kiedy zaparkujemy przed szkołą. Ponura bryła budynku stała na szarym placu. Tylko w oknach mieszkania nauczyciela paliły się światła jaśniejsze niż gdzie indziej. Miał energię elektryczną zamiast powszechnie używanych lamp oliwnych czy świec.

Mori-san zastaliśmy przy poprawianiu zeszytów. Przyszło mi na myśl, co znaczyło dla niego poprawianie w tym świątecznym dniu wypracowań obcych synów, podczas gdy wojna pozbawiła go własnego ukochanego pierworodnego. Ale jego twarz nie zdradzała niczego. Sam był dobrym synem swojego kraju. Kogo mogłyby obchodzić tego rodzaju prywatne sentymenty?

Yuriko zatroszczyła się o to, aby w pierwszej kolejności wspomnieć o swojej sprawie – teatrze. Jej ojciec patrzył na mnie przez chwilę dziwnie chłodnymi, skośnymi oczyma. Wsparłem elokwentne wywody mojej tłumaczki.

– Jak długo zamierza pan podróżować z moją córką? Chodzi tylko o krótsze wyjazdy?

Oczywiście, o tym mogłem go zapewnić. Nie spędzilibyśmy razem dłużej dwa, najwyżej trzy dni. Czy Yuriko zbytnio nie nalegała? W pewnej chwili powiedział krótkie słowo przygany, a ona zaraz skłoniła się przepraszająco i zamilkła. Obawiałem się, że jej zapał zdradzi naszą miłość. Ale nie liczyłem się z jej kobiecym sprytem. W gruncie rzeczy mogło mi to być obojętne, ponieważ wydawało mi się, że trzymam Mori-san w rękę, gdyż popełnił przestępstwo, rozprawdzając nielegalne druki.

Wreszcie przemówił monotonnym głosem, jak gdyby prowadził lekcję matematyki. Yuriko słuchała uważnie. Potem zwróciła się do mnie i zaczęła tłumaczyć z ociąganiem:

– Chef-san, to nie takie proste. Mój dana-san musi pamiętać o zachowaniu twarzy przed innymi. Czcigodny chef-san popełnił nieostrożność i przybył do naszego kraju, nie mając małżonki – delikatny uśmiech w kącikach ust – a również w Nipponie złośliwe języki szybko roznoszą to, co nie jest prawdą. Czy czcigodny chef-san zaakceptuje niezbędne dla nas kroki?

Nie zastanawiałem się zbyt długo.

– Oczywiście, ja też nie mogę sobie pozwolić na złą opinię. Co to za kroki?

Yuriko przetłumaczyła.

Odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Jeśli czcigodny Grane-san obstaje dalej przy swoim życzeniu, to Mori-san domaga się ze swej strony, aby podczas podróży służbowych, które potrwać dłużej niż do zachodu słońca, obecna była jako trzecia osoba czcigodna Teruko-san. Nie może odstępować Yuriko aż do powrotu do Jokohamy.

Myślałem, że wybuchnę gromkim śmiechem – to tak, jak gdyby proszono mnie, abym zabierał na spacer przyszłą teściową mojej narzeczonej; Teruko-san stała przecież po jej stronie. Jeśli na tym kończyły się żądania, to mogłem być zadowolony. Poradzę sobie przecież z miłą, starszą panią. Pamiętając, że zbyt entuzjastyczna odpowiedź wzbudziłaby podejrzenia, wspomniałem tylko o kwestiach jej wynagrodzenia i utrzymania, po czym dobiliśmy targu.

Czy Mori-san nie uśmiechał się do siebie z zadowoleniem? Złudzenie, to znowu było znane, nieprzeniknione oblicze Azjaty. Jego zimne, czarne oczy nie zmieniły wyrazu.

Postanowiłem podjąć inny temat i bez ogródek poprosiłem o zadanie pytania:

– Czy może mi pan, Mori-san, polecić solidną drukarnię, która w krótkim czasie przygotowuje dla mnie większą liczbę ulotek?

Tylko na krótko jego taksujący wzrok odwrócił się ode mnie, wędrując ku wiszącemu na ścianie portretowi Lenina, on sam siedział zaś nieruchomo. Natychmiast odparł:

– O ile wiem, Amerykanie mają w Japonii własne drukarnie.

Dobra riposta.

– Well, ale nie chcę, żeby zaglądano mi w karty. Rozumie pan to wyrażenie? Poszukuję małego, prywatnego zakładu drukującego teksty po japońsku, nie angielskie.

Teraz Mori-san opuścił jednak oczy i zacisnął pięść. To było wszystko.

Czy właściwie mnie zrozumiał?

Jego odpowiedź brzmiała:

– Znam drukarnię produkującą zeszyty szkolne. Powinna spełniać pańskie oczekiwania.

– Dziękuję, czy wobec tego mógłbym prosić o zapisanie jej adresu?

Yuriko pewną ręką zapisała podyktowane jej przez ojca informacje. Czy nie zdawała sobie sprawy z wieloznaczności naszych słów, czy może i ona potrafiła tak doskonale nad sobą zapanować? Podała mi kartkę. Drukarnia mieściła się w Jokohamie.

Podziękowałem ukłonem i schowałem notatkę.

– Wielkie dzięki! Myślę, że w tych powojennych czasach nie można zwlekać i należy na czas przeprowadzać polityczne przeszkolenia dla załogi. Dziękuję panu za pomoc przy tym zadaniu, Mori-san!

Oczywiście doskonale zrozumiał moją ironiczną aluzję, ale nie dał tego po sobie poznać.

W pół godziny osiągnąłem to, co chciałem. Mori-san mógł się przekonać, że byłem godnym przeciwnikiem. Chciałem go pokonać jego własnymi metodami. Yuriko natomiast nie mówiła o niczym innym, jak tylko o tym, że mamy wolną rękę, jeśli chodzi o teatr. Szczęśliwa rozwodziła się nad tym, że powinna oszczędzać, aby na czekającą ją wizytę w teatrze kupić sobie nowe, eleganckie kimono. Również w Nipponie żadna kobieta nie pójdzie do słynnego teatru kabuki dwa razy w tym samym ubiorze. Postanowiłem, że postaram się dla niej o jedną z tych wspaniałych kreacji, jakie widywałem na wystawach w Ginza – brokatowe kimono, które kosztuje kilka tysięcy dolarów, bo ozdobione jest prawdziwą złotą nicią.

Skoro prości żołnierze starali się o kosztowne podarunki dla swoich dziewcząt, to ja nie chciałem być gorszy. Zamierzałem tak obdarować Yuriko, aby swoim wyglądem przewyższyła nawet odtwórczynię głównej roli.

Te rozważania nie przeszkodziły mi w tym, aby z równą sumiennością zająć się inną sprawą. Wraz z Kioshim opracowaliśmy teksty ulotek, które miano rozdawać w trakcie otwarcia nowych warsztatów. Przedstawiły one jasno zarysowane punkty mojego programu, przewidujące współdecydowanie pracowników o firmie, a także ich współdziałanie w wypracowanym przez zakład dochodzie. Ponieważ pojęcia te były dla Japończyków zupełnie obce, należało użyć zarówno łatwych do zrozumienia, jak i jednoznacznych sformułowań. Poradziliśmy sobie znakomicie. Tanaka okazał się geniuszem w sprawach gospodarki narodowej, zbyt wykwalifikowanym jak na potrzeby mojego rozwijającego się przedsiębiorstwa. Postanowiłem, że kiedy osiągniemy stabilność i będziemy już z Yuriko po ślubie, rozejrzę się dla niego za lepszym stanowiskiem.

Drukarnia przyjęła zamówienie z wdzięcznością i tak godną uwagi fachowością, że kolejny raz mogłem tylko podziwiać japońską zdolność do przystosowywania się. Odniosłem wrażenie, że codziennie obcują z problemami socjalnymi i podobne teksty znają nieomal na pamięć.

Kiedy wreszcie uporałem się z moimi sprawami, stwierdziłem, że zasługuję na małą przerwę. Wykorzystałem ten czas, aby asystować Jimowi Lesleyowi przy ważnym życiowym kroku.

Ferie semestralne Yuriko jeszcze się nie rozpoczęły, więc sam podjechałem do sióstr Sacré-Coeur, aby poprosić dla niej o wolne przedpołudnie na dzień ceremonii ślubnej. Udało mi się przekonać przełożoną, jak wielkie znaczenie może mieć uczestnictwo młodej studentki w tak doniosłym wydarzeniu życia chrześcijańskiego.

Oczekiwałem, że panna Gloria Witchwood będzie chciała zawrzeć związek małżeński w jednym z najbardziej znanych kościołów w Tokio – a jest ich trzydzieści – i szczerze się zdziwiłem wyborem skromnej kaplicy misyjnej na siódmym piętrze domu towarowego Mitsukoshi w Ginza. Potem jednak, gdy mi powiedziano, że młoda para poznała się w mieszczącym się tam Ginza Catholic Club, zrozumiałem wszystko. Winda uniosła nas ku górze, przez wszystkie piętra, na których panował handlowy rozgardiasz wielkiego supermarketu – konfekcja damska, męska, gospodarstwo domowe, zabawki – i wreszcie dotarliśmy na miejsce.

Zaraz też zobaczyliśmy Jima Lesleya w czarnym garniturze, bladego z przejęcia. Obok niego narzeczona, również w czarnej garsonce, jak gdyby miała uczestniczyć w pogrzebie. Ale jej oczy błyszczały energią. W lewej ręce trzymała spory bukiet białych goździków, a prawą potrząsała naszymi dłońmi – niczym zwycięzca po ostatniej rundzie walki – co też odpowiadało prawdzie. Mój współnik wyglądał, jak gdyby właśnie doszedł do siebie po solidnym nokaucie. Nie bardzo mi pasowało, żeby Yuriko odebrała tę sytuację podobnie jak ja.

Potem weszliśmy do kaplicy – był zwykły dzień pracy, około ósmej rano – i tu wszystko wyglądało inaczej. Podeszliśmy do pierwszych ławek, gdzie zasiadło kilku znajomych młodej pary oraz paru potężnie zbudowanych ochroniarzy panny młodej w mundurach amerykańskiej armii. Natychmiast wciągnęło mnie dostojność liturgicznego obrzędu. Poza tym tu czuło się nieomal namacalną atmosferę regularnej stacji misyjnej. W głębi, pod naszymi stopami szumiało Tokio, być może jego ulicami przeciągała właśnie procesja szinto. Misjonarz złożył dłonie narzeczonych i obwiał je stulą, a na harmonium zainonowano ciche Ave Maria.

Yuriko podniosła się z miejsca i pozostała w bezruchu. Jej oczom nie umknął żaden gest, jej duszy ani jedno słowo.

Zanim jeszcze zgromadzeni goście rozpoczęli składanie życzeń nowożeńcom, postarałem się, abyśmy po całej ceremonii zostali na chwilę sami. Yu spojrzała mi w oczy, pytając cicho:

– Czy to prawda: aż śmierć ich rozłączy?

Przytaknąłem.

– Yuriko, chrześcijańskie małżeństwo jest nierozwiązywalne.

Odetchnęła głęboko.

– Wobec tego ta ceremonia jest piękniejsza od sceny san-san-kudo w świątyni szinto – odparła na to. Domyślałem się, że szintoizm też miał swoje rytury pełne godności i namaszczenia. Ale dusza poszukuje całej prawdy.

Przyjęcie weselne odbyło się w klubie. Na szczęście Jim wyglądał już na dużo bardziej zrelaksowanego. Myśl o czterotygodniowym urlopie, jaki mu ofiarowałem, z pewnością pomogła przezwyciężyć wszelkie żywione obawy. Spędzi go z Głorią w znanym, zarezerwowanym dla Amerykanów hotelu u stóp Fudzi. To był mój prezent dla obojga. Mieli beztrudnie przeżyć te dni, nie musząc się o nic martwić.

– Czy mój chef-san wie, że pod Fudzi jest miejsce, do którego pielgrzymują moi rodacy? – zapytała mnie Yuriko przy szampanie. Zmieszałem się nieco. Nie, tego nie wiedziałem. Zobaczyć Fudzi i umrzeć to pewnie marzenie wielu.

– Udamy się razem do Fudzi?

Obiecałem jej, ale dopiero wtedy, gdy będzie już chrześcijanką. Zamilkła i przepiła do mnie.

Zakosztowała po raz pierwszy zachodniej kuchni, a ja miałem satysfakcję, że obchodzenie się z nożem i widelcem sprawia jej nie mniej kłopotów niż mnie z pałeczkami hashi. Później wyznała mi z uśmiechem, że Japończycy przez cały rok nie spożywają tyle mięsa, ile Amerykanie podczas jednej uroczystości. No tak, nie odmawialiśmy sobie. Był indyk, gęś i pieczone, a do tego wina, których z pewnością kosztowała po raz pierwszy. Podziwiałem jej opanowanie co do apetytu, a także skromność i dystynkcję. A może obawiała się, że pośród obcych zakrepi się jej w głowie i straci twarz?

Wczesnym popołudniem Jim wraz z żoną ruszyli ku Fudzijamie, a my nie bardzo wiedzieliśmy, co począć z czasem, więc udaliśmy się do jednego z nowych kin na Ginza. Yuriko chciała zobaczyć kolorowy amerykański film, który właśnie wszedł na ekrany – całkiem porządna produkcja, typowy czuły romans. Ani słowem nie zdradziła mi wówczas, że czegoś takiego dotąd nie widziała, stwierdzając jedynie, iż za kilka lat Japonia też stworzy coś takiego, tyle tylko, że lepszej jakości i bardziej wartościowego pod względem artystycznym. Powiedziała to bez śladu wyniosłości i arogancji, w głębokiej świadomości przynależenia do starego kręgu kulturowego od tysięcy lat tworzącego i pielęgnowanego sztukę. Milczałem. A chociaż nieco mnie to podrażniło, musiałem przyznać, że Japończycy wytrwale i z niewyobrażalną zręcznością przyswajali sobie zdobycze zachodnich narodów, dostosowując je do swoich potrzeb i wymogów w bardzo krótkim czasie.

Tym bardziej ciekawiła mnie wizyta w teatrze, którą zaplanowaliśmy w Osace.

Opisano mi miasto jako brzydkie, nieciekawe, zniszczone nalotami bombowymi centrum przemysłowe. Kiedy jednak po przejechaniu romantycznych dolin i porośniętych lasami wzgórz zobaczyłem migocące światła aglomeracji, nad którą wznosiło się amarantowe sklepienie nieba obsypanego gwiazdami odbijającymi się w wielu kanałach, zrozumiałem, dlaczego Osakę nazywa się „japońską Wenecją”. Nocą nawet najsurowsza architektura nabiera tajemniczego uroku, a zimne konstrukcje fabryk tracą swoją nudną szarość.

Ulokowałem Teruko i Yuriko w typowej starojapońskiej gospodzie, gdzie miały do dyspozycji wielu uśmiechniętych służących, a dla siebie wybrałem nowoczesny hotel dla cudzoziemców tylko z tego powodu, że chciałem spać w porządnym łóżku zamiast owinięty w koc na rozłożonych na podłodze matach tatami. Następnego dnia wczesnym rankiem zabrałem moją tłumaczkę ze sobą, aby pozalać sprawy służbowe. Bardzo zamożny handlarz jedwabiem kupował od nas ostatni model luksusowej limuzyny, a także przyjrzał się uważnie prospektom naszych ciężarówek, które właśnie sprowadziliśmy z Nowego Jorku. Tu należało negocjować. Podczas gdy my przez kilka godzin prowadziliśmy rozmowy – bez tego nie mogło się obejść przy takiej transakcji – Teruko udała się do sąsiedniego Kioto, gdzie w czasie jednej pielgrzymki odwiedziła dziesiątki czcigodnych świątyń. To miasto ocalało od nalotów bombowych. Po południu spotkaliśmy się z nią znowu. Z nieustającego potoku słów i energicznych gestów należało się domyślać, że wycieczka się udała. Yuriko słuchała jej z uśmiechem i pokręciła głową, gdy zapytałem, czy miałaby ochotę odwiedzić dzielnicę świątyń. Nie padło ani jedno słowo o tym, że religia to opium dla ludu. Odwróciła się tylko spokojnie i zdecydowanie, a ja wywnioskowałem, że jej poszukiwanie prawdy wkrótce dobiegnie końca.

Czy w przeciwnym wypadku tak bardzo chciałaby zobaczyć teatralne przedstawienie chrześcijańskiej bohaterki Gratii Hosokawy? Gdy zaprosiłem ją, abyśmy po południu odbyli jeszcze przejazd po mieście, wzbraniała się wystraszona. Potrzebowała godzin, aby przygotować się do wizyty w teatrze. Nikt nie udawał się do sanktuarium sztuki, wyglądając jak na co dzień. W hotelu zamówiła już nei-san, aby pomogła jej ułożyć fryzurę i dopatrywała skomplikowanej ceremonii nakładania makijażu. Zostawiłem ją z uśmiechem. W tym względzie przewyższała również kobiety Zachodu, które w takich chwilach zamieniały nawet najbardziej cierpliwych małżonków w ryczące lwy. Mogłem przecież poczekać i spokojnie obejrzeć Osakę. Jako cudzoziemcowi wolno mi było zjawić się w czarnym garniturze, więc nie musiałem poświęcać zbyt wiele czasu, siedząc przed lustrem.

Wreszcie, na pół godziny przed spektaklem, podjechałem pod starą gospodę wyglądającą niczym kwoka z rozpostartymi skrzydłami; tak mocno wyginała się w obie strony konstrukcja wymyślnego dachu.

Widząc spływającą po schodach młodą, obcą damę z cesarskiego dworu w towarzystwie amah prawie przetarłem oczy. Yuriko – fatamorgana jadeitowej zieleni przetykanego złotem jedwabiu, lśniący obi w kolorze słonecznikowej żółci, z czarnymi, fantazyjnymi ptakami, związany na plecach w ogromną kokardę. Pachnące olejkiem kameliowym misternie ułożone włosy zdobiła biżuteria z pereł. A twarz – och, co za niecne dłonie porwały się na to, aby zetrzeć zeń ślady jej duszy? Patrzyła na mnie porcelanowa twarz, biała i nieruchoma od szminki, z różowymi akcentami na policzkach, ciemnoczerwonymi, małymi ustami oraz oczyma, które podmalowane tuszem wyglądały na szklane. Obrazu dopełniały błyszczące od lakieru łuki brwi – namalowane niczym pędzlem pedantycznego restauratora zabytków. Zdawało się, że wspaniałe dzieło sztuki zostało spartaczone i doprowadzone do ruiny.

Na szczęście miałem kilka minut na odzyskanie równowagi, ponieważ zanim Yuriko zajęła miejsce w samochodzie, Teruko musiała jej ułożyć cenne kimono, aby się nie pogniotło. Usiadła też na samej krawędzi fotela, aby nie uszkodzić kokardy obi. Oszałamiający aromat perfum kameliowych. Szelest – srebro z purpurowymi kwiatami – i już wachlarz ukrył przed ciekawskimi spojrzeniami jej obcą twarz!

Przypomniałem sobie rzucony przez Jima Lesleya żart: japoński ideał urody to jajko z oczyma i ustami!

Ruszyłem z miejsca, zmierzając ku teatrowi, ale wkrótce musiałem zwolnić, gdyż płynęły w tym kierunku gromady ludzi, a przecież dopiero mieliśmy popołudnie. Japońskie przedstawienia trwają do pięciu godzin i uczestniczą w nich całe rodziny. Kobiety podążały za mężczyznami, niosąc dziwnie wypakowane tobołki jako „torebki”. Dopiero gdy wysiadaliśmy, zauważyłem, że Teruko też dźwiga takie zawiniątko, ale nie miałem już czasu, aby zapytać, co zawiera.

Dobrze, że udawaliśmy się nie do nowoczesnego, urządnego w zachodnim stylu przybytku sztuki, lecz do jednego z prawdziwych teatrów kabuki w tradycyjnym starojapońskim stylu. Imitacji miałem dość na Ginza.

Gdy jednak przekroczyłem progi widowni i rozejrzałem się wokoło, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. „Szopa dla koni”, przemknęło mi przez głowę. Ogromne, puste pomieszczenie, podzielone na kwadratowe boksy, bez krzeseł, bez foteli, na podłodze leżały jedynie poduszki. Każdej rodzinie, każdej parze przydzielono jeden z boksów.

Wielkie nieba, czyżbym musiał spędzić pięć godzin w kucki? A jaką funkcję spełniała długa, wąska deska przedzielająca salę na pół i biegnąca aż do przesłoniętej kurtyną sceny?

Odetchnąłem z ulgą, gdy obsługujący salę poprowadził nas do łoża przeznaczonej dla cudzoziemców, wyposażonej przynajmniej w coś w rodzaju niskiej barierki, o którą można się było wesprzeć!

Oszołomiony patrzyłem na otaczający nas wokoło rozgadany tłum widzów, wszyscy siedzieli wygodnie na wyznaczonych im miejscach. Przetarłem oczy, i rzeczywiście, dzielne gospodynie w świątecznych kimonach wypakowywały lakowe tace, filiżanki, czarki i pudełka. Do rozpoczęcia spektaklu wszystko musiało być gotowe.

Co takiego?

– Kaiseki i kolacja w jednym – wyjaśniła Yuriko. – W czasie przerwy spożywa się tutaj posiłek, a nawet gotuje.

Teatr jako gigantyczna garkuchnia – nie dałem po sobie poznać, jakiego uszczerbku doznało moje uznanie dla sztuki japońskiej. Z westchnieniem poddałem się temu, co nieuniknione. Spojrzałem w porcelanowe oblicze mojej narzeczonej. Tylko jej oczy uśmiechały się znajomo. Objąłem więc uniesione kolana i udawałem że szczęśliwy przyglądam się pracowitemu krzątaniu Teruko, która przygotowywała wszystko do czekającej nas przerwy na wzmocnienie ciała.

Potem podniesiono kurtynę i rozpoczęła się moja przemiana ze sceptycznego Amerykanina w zachwyconego i drżącego z emocji Japończyka.

*

Na zagadkowej, wąskiej kładce – wybiegu – w dystyngowanie-skromnej postawie pojawiła się japońsko-średniowieczna dama, małżonka rycerza Hosokawy, ubrana we wspaniałą oryginalny strój, i krocząc przez salę, wygłaszała swoją rolę. Każdy z siedzących spoglądający ku niej miał okazję zobaczyć ją z bliska i tym sposobem zapoznać się z osobą mającą teraz zagrać główną rolę. Zgodnie z ówczesną modą długie czarne włosy spływały ciemną kaskadą z jej pleców.

Yuriko podała mi kartkę z angielskim tekstem. Ale i bez tego rozpoznałem na scenie obraz starego samurajskiego zamku prezentującego nam swoje wnętrze. Początkowo przeszkadzali mi też muzycy siedzący bezceremonialnie wzdłuż ścian sceny i akompaniujący toczącej się akcji na swoich instrumentach. Przyzwyczać się także musiałem i do tego, że na widowni nie wygaszono światła. Wkrótce jednak zapomniałem o obecności innych widzów, zachowywali zresztą absolutną ciszę, podobnie jak i przyzwyczajone do dyscypliny dzieci.

Nie była potrzebna pomoc nowoczesnych reflektorów, aby wydobyć tęcze barwy wspaniałych kimon i świątecznych ubiorów czy pogłębić gesty lub mimikę. Bez tekstu domyśliłem się, że służący oznajmiają powrót rycerza z wojny. Odbyło się ceremonialne, lecz dziwnie wzruszające w swej oszczędności wyrazu powitanie małżonków.

Rycerz Hosokawa zwrócił ku nam swoje oblicze. Na wybiegu – oczarowany wystąpieniem aktorki – zwróciłem na niego uwagę, kiedy już odwrócił się do mnie plecami. Teraz prawie się przeraziłem. Jego twarz niepodobna była do ludzkiej. Smugi ognistoczerwonej szminki przemieniły ją w potężny łeb tygrysa. Jak szeptem wyjaśniła mi Yuriko, dobrze rozwinięte mięśnie były symbolem siły i odwagi. Wszyscy potrafili odczytać język tej inscenizacji. Tymczasem twarz Gratii w niczym nie różniła się od czerwono-białej, słodkiej maski Yuriko. Nie, nie należało się spodziewać miłosnej sceny o zachodniej jednoznaczności, i to nawet wtedy, gdy Hosokawa znowu musiał ruszać do boju nakłoniony przez swojego lennika Hideyoshiego. Żadnych demonstracji uczuć, żadnych wylewnych czułości.

Lecz z jaką prostotą przedstawiono płomienną namiętność, gdy Hideyoshi – ubrany w szary strój, z pomalowaną na zielono, wyrażającą zło twarzą – podczas przyjęcia na zamku zabiegał o względy samotnej małżonki! W duchu zdobyłem się na mimowolne porównanie. Amerykański teatr zrobiłby z tego graniczącą ze skandalem scenę publicznego gwałtu, tak jak byłem tego kiedyś świadkiem. Tutaj widziało się tylko wyrazisty przejaw pożądania. Spojrzenie i gest miały większą siłę wyrazu niż jakikolwiek efekt teatralny! Przysięgając zemstę, Hideyoshi przeszedł przez wybieg. Był cały uosobieniem urażonej dumy i dzikiego gniewu – i to także przedstawiono z niezrównanym mistrzostwem.

Wreszcie nadeszła oczekiwana przerwa. Prawie nie mogłem uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Dopiero teraz poczułem bolący krzyż, więc odwróciłem się i oparłem o balustradę. Moim dwóm towarzyszkom nie przeszkadzało długie siedzenie w kucki. Yuriko, elegancka i rozluźniona, siedziała nieruchomo w sztywnych fałdach jedwabnego kimona.

Całe nasze otoczenie obudziło się do życia. Zewsząd słychać było brzęk kociołków do herbaty. Woźni teatralni przynieśli wrzątek i salę napełnił intensywny aromat zielonej herbaty. Na podstawkach wniesiono małe piecyki na węgiel drzewny i w ciągu kilku minut z każdej strony zaczęły dobiegać odgłosy smażenia i gotowania. Lawina zapachów niczym w kuchni hotelowej. Również Teruko z nieporównywalną, bezszelestną zręcznością przygotowała dla nas pełną kolację.

Nie wiedziałem, co jem, ponieważ nadal byłem pod wrażeniem tego, co właśnie obejrzałem, a poza tym nie znałem podanych japońskich potraw. Były bardzo smaczne. Rzeczywiście zgłodniałem, a i widok tak wielu jedzących osób też nie pozostawał bez wpływu na apetyt. Herbata ożywiała i odświeżała. Uśmiechałem się do Yuriko, która obsługiwała mnie z wdziękiem prawdziwej gejszy.

– Aktorka odtwarzająca rolę Gratii to z pewnością ktoś znany? – zapytałem, chcąc sprawić jej radość moim uznaniem.

Przytaknęła.

– Owszem, Jito Nakamura cieszy się wielką popularnością. Potrafi też znakomicie naśladować nasz żeński rodzaj.

Zakrztusiłem się – mężczyzna! Stąd ten trochę nienaturalny, wysoki głos! Yuriko wyjaśniła mi, że kabuki odgrywane jest wyłącznie przez mężczyzn. Doskonała kreacja. Z pewnością kobiecie łatwiej przychodziło grać rolę męską niż mężczyźni odtwarzanie kobiecej natury. Z ciekawością oczekiwałem dalszego ciągu.

– Yuriko, zdradź mi jeszcze szybko, co nastąpi teraz – poprosiłem, opróżniając nieelegancko jedną po drugiej lakowe miseczki, gdyż wbrew etykietie przykładałem je do ust. Z jakim wdziękiem natomiast jadły maluchy w sąsiednim boksie, posługując się przy tym pałeczkami. Prawdziwy cud, że teatru nie przepełniały płacze i krzyki najmłodszych. Nie do pomyślenia w Ameryce, aby zabierać dzieci na tak długie przedstawienie. Tu i tam na plecach matki kołysało się nawet zawinięte w chustę niemowlę. Prawdą okazało się to, co słyszałem, że już jednoroczne potomstwo musi się uczyć siedzenia w bezruchu i ukłonów. I to wszystko bez kłótni i sporów, nie wspominając nawet o karach cielesnych, jakich tu nie stosowano.

Nieuważnie słuchałem słów Yuriko wyjaśniającej mi, że Gratia Hosokawa została chrześcijanką. Jej mąż chciał ją najpierw zabić z tego powodu, lecz się opamiętał, gdy usłyszał, iż chrześcijaństwo nie niweczy wierności, lecz umacnia i uświęca małżeństwo. Zdziwiłem się. Nie zwróciłem uwagi na żadną groźbę Hosokawy pod adresem Gratii. Najwidoczniej umknął mi istotny moment akcji. Tylko tubylcy obznajomieni byli ze znaczeniem każdego najmniejszego nawet gestu. Okazało się, że od czasu do czasu należało jednak zajrzeć do tekstu angielskiego.

Cisza. Teruko uprzątnęła ostatnie miseczki. Składano je po prostu razem, pasowały jedna do drugiej. Spektakl potoczył się dalej.

Pospiesznie przeleciałem wzrokiem po kartce. Aha, Hideyoshi szukał pretekstu, aby ponownie wmieszać Hosokawę w wojnę i odciągnąć go od własnej posiadłości. Podczas jego nieobecności planował napaść na zamek, aby siłą zawładnąć jego małżonką. Teraz powinno się coś dziać! Rzeczywiście, wojenne dęcie w rogi – oczywiście bardzo różniące się od dźwięków naszych marszów wojskowych – zapoczątkowało nową scenę. Zdziwiony patrzyłem na tę samą scenę, w której na czarno ubrani pracownicy już w czasie toczącej się gry dokonywali jeszcze poprawek. Kilkoma bezgłośnymi przesunięciami kulis zamienili scenę w alkowę Gratii, swego rodzaju kaplicę.

Czerń oznaczała nieobecność – wspaniałe rozwiązanie problemu.

Maszyniści mogli dalej spokojnie pracować, podczas gdy Gratia, klęcząc na kolanach przed obrazem Maryi, prosiła Ją o obronę przed nastającym na nią wrogiem. Jej egzaltacja wydała mi się nieco przesadna, lecz Japończycy chcą wszystkiego gruntownie zakosztować. Tak znaczne niebezpieczeństwo wymaga przecież odpowiednio wzniosłej modlitwy. Tu nie można się zadowolić kilkoma westchnieniami. Dziwne, bo choć widzowie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach byli z pewnością poganami, to jednak modlitwie okazywali niemy szacunek. Kiedy już, ziewając, myślałem, że modły Gratii przeszły ostatecznie w kontemplację i zakończą się pewnie ekstazą, której również trzeba się będzie przyglądać przez pół godziny, i to w bezruchu, zjawił się sługa, oznajmiając, iż wróg postanowił zdobyć zamek szturmem.

W zatopioną w modlitwie Gratię wstąpiło wreszcie życie. Rozkazała obronę do końca. Grzmot bębnowy oraz świst piszczałek zapowiedziały zbliżającą się katastrofę. Jednak upadek słabo obsadzonego zamku nie wyraził się w dudnieniu i hałasie, lecz w przytłaczającej, zapierającej dech ciszy, w której odczuwało się technienie bojaźni i lęku mrozących serce i krew w żyłach. Nagle znowu pojawił się jeden ze sług – cały ubrany na białą. Biel – barwa śmierci – przemknęło mi przez głowę. Po raz pierwszy pojąłem głęboką symbolikę kolorów. Ponura czerń nie sprawiałaby tak fatalistycznego wrażenia jak zimna biel.

Sługa runął przed kasztelanką na twarz i oznajmił jej polecenie małżonka, aby w chwili tryumfu wroga przebiła się jego mieczem, zanim wpadnie w ręce prześladowcy.

Gratia Hosokawa stanęła, staczając wewnętrzną walkę. Tylko shamisen, łkając cicho i z zalem, zdradzał, co się dzieje w jej sercu. Wreszcie poleciła, aby przyprawiono jej dzieci.

I znowu przeżyłem coś zdumiewającego. Co się stało z Japończykami przyzwyczajonymi do dystansu i rezerwy? Jakie zakłęcie zdjęło z ich twarzy sztywne maski sztucznych uśmiechów? Jaka moc rozerwała więzy surowego wychowania, że nagle zerwali się z miejsc, wołając ku scenie,

grożąc i płacząc? I ja wychyliłem się ponad barierkę, lecz nie po to, aby pójść w ich ślady, lecz aby przyjrzeć się temu widowisku podczas widowiska.

Gratia Hosokawa przytuliła swoje potomstwo do serca – jedyny dozwolony gest zażyłości i miłości. Żadnych pocałunków – tylko ten milczący gest ostatniego pożegnania, lecz jakże wstrząsający! Reakcja widzów uświadomiła mi, co dla rodziny japońskiej oznacza dziecko. Głośne płacze i łkania. Czy to możliwe? Także mężczyźni w czarnych hakama zdjęli rogowe okulary i przecierali załzawione oczy.

Drgnąłem wystraszony – głośny wystrzał niczym trzaśnięcie z bicia! Czyżby Gratia popełniła samobójstwo, nie widząc drogi wyjścia? Nie, jeden z grających w tle muzyków podniósł się, uderzając o siebie ki, dwoma płaskimi kawałkami drewna, i dał tym samym znak, że zbliża się punkt kulminacyjny dramatu. Poruszenie pośród widzów zamieniło się w pełną napięcia ciszę.

Małżonka rycerza znowu została sama. Służące pomogły jej nałożyć białe kimono – „drugą suknię panny młodej”, wyszeptala do mnie Yuriko. Teraz poddawała się wyrokowi męża skazującego ją na śmierć ze względu na wierność.

Ostatni raz przeżegnała się, kreśląc przed sobą znak krzyża.

Znowu uklękła. Przystąpił do niej biało odziany sługa i wyciągnął z pochwy potężny, błyszczący miecz samurajski. Kolejne, wstrząsające nerwami kłaśnięcie ki.

Zobaczono upadającą postać Gratii. Pojawiający się na scenie, pewny bliskiego zwycięstwa Hideyoshi ujrzał przykryte kirem, nieruchome ciało. Straszliwie realistyczna kałuża krwi rozlała się przed jego stopami. Zwróciłem się do Yuriko:

– Nie patrz, darling... – i zamilkłem. Yuriko spoglądała na scenę szeroko otwartymi, błyszczącymi, wolnymi od łez oczyma. Domyślałem się, że mnie nie słyszy zatopiona w patrzeniu! Dziewczęta z mojej ojczyzny z pewnością by omdlały. Ona natomiast wyglądała tak, jak gdyby opanował ją najgłębszy spokój, gdy tymczasem Hideyoshi wybuchnął głośnymi skargami, czemu towarzyszyły dźwięki orkiestry. Na scenie powoli wygaszono światła.

Położyłem rękę na ramieniu mojej narzeczonej.

– Obudź się, Yuriko! Musisz wracać do rzeczywistości!

Zaniepokojony czułem, że cała drży. Gdybym wiedział, jak dramatyczne przeżycia nas czekają, to pewnie nie zdecydowałbym się na oglądanie wybranego przez nią spektaklu.

Odetchnęła głęboko, przeciągając dłonią po czole.

– Bushido – wyszeptala do siebie. – Bushido i chrześcijaństwo...

Nie rozumiałem jej. Chciałem, żebyśmy jak najszybciej opuścili to miejsce i żeby ze zdenerwowania się nie pochorowała. Nie zwracałem uwagi na to, że wiekowa Teruko również uległa czarowi przedstawienia i cicho płacząc, pakuje swój tobolek.

Kiedy wyszliśmy z teatru, nastala noc. Na zewnątrz czekały samochody i ryksze. Nigdy przedtem nie widziałem takiej ilości eleganckich starych lektyk. Tutaj zobaczyłem nawet egzemplarze okute srebrem. Słynne gejsze ze starej znanej herbaciarni podróżowały w ten tradycyjny sposób do swojego więzienia. I takie rzeczy widywało się w Kioto, tylko że ja miałem już dość egzotycznej romantyki.

W Yuriko znalazłem nowoczesną Japonię i chciałem ją zatrzymać. Teraz zaś, gdy w szeleszczącym kimonie schodziła obok mnie po drewnianych schodach, oświetlona miękkim światłem gazowych latarni i skrywająca nieruchome oblicze za drgającym wachlarzem, wydało mi się, że nie jest już postępową dziewczyną, studentką z Tokio. Przez chwilę miałem wrażenie, że wprowadzono ją w nieznaną dal, dokąd nie będę już mógł za nią podążać. Czyżby żyły w niej dwie dusze – jedna przynależąca do przeszłości i druga zakotwiczona w czasie teraźniejszym?

Prawie z lękiem sięgnąłem po jej dłoń, nie troszcząc się wcale o to, że opinia publiczna niechętnie widzi podobne gesty. Czułem, że muszę ratować ją przed nią samą. Milcząca i sztywna siedziała obok mnie w samochodzie, po czym ceremonialnie pożegnała się ze mną przed starą gospodą. W nocy prawie nie zmrużyłem oka; biłem się z myślami, czy Gratia Hosokawa w tajemniczy sposób nie zrabowała mi jej miłości. Ale wszystko okazało się złudzeniem.

Następnego ranka, gdy ruszyliśmy z powrotem do Jokohamy, zobaczyłem ją w zachodnim stroju, naturalną i swobodną, nieuszmiowaną, z włosami spiętymi w koński ogon i uśmiechniętą,

jak gdyby nic się nie stało.

Doprawdy zobaczyłem teatr w najlepszym wydaniu. Ale jeszcze większą aktorką zdawała się być ta mała studentka, tak doskonale władająca dwoma żywotami. Dla mnie miała pozostać zagadką.

Codziennie życie szybko zaprzęгло nas na nowo do swojego kierunku.

Gorączkowo zabiegałem o rozbudowę mojego przedsiębiorstwa i już na początku lipca mogłem zapowiedzieć nową uroczystość, otwarcie i uruchomienie nowych warsztatów.

Rozmyślnie też rozdmuchałem całą sprawę. Jim Lesley powrócił już z urlopu i z zapałem rzucił się w wir pracy. Jego żona okazała się roztropną i doświadczoną doradczynią w zewnętrznej organizacji całej ceremonii. Można się było wiele po niej spodziewać. Mogłem też sprawić radość młodym ludziom i wprowadzić ich do małego, ale własnego mieszkania na terenie firmy. Od tej chwili moi pracownicy nie musieli wynajmować lokali. Powstało też kilka zgrabnych domków wielorodzinnych w stylu kolonialnym spełniających wszelkie standardy nowoczesnego urzędnika.

Również i mistrzowie, sami Japończycy, dostali stałe mieszkania, niewielkie domki z kamienia łączące w swojej architekturze lokalny i zachodni styl. Co do wyposażenia wnętrza mogli zdecydować sami. Większość wybrała zachodnie umeblowanie.

Z Tokio przybyło sporo gości, zarówno cywilów, jak i wojskowych. W tym dniu mój dom pękał w szwach, jednak właściwe świętowanie odbyło się na terenie firmy, w jednej z nowych hal. Osobiście wygłosiłem mowę powitalną, a potem Jim rozdał ulotki, od razu całymi paczkami. Ta kwestia dotyczyła nie tylko załogi. Teksty z fragmentami katolickiej nauki społecznej mogły spokojnie trafić do rąk robotników portowych i kulisów. Na odmianę głosiły coś innego niż nudne wypociny komunistów żądających wciąż na nowo peoples control nad wszystkimi zakładami.

Tak, kontrola przez naród. Jeśli chodziło o mnie, to odtąd w akceptowalnej formie mogłaby zaistnieć w moim zakładzie. Wyjaśniłem wszystkim, jak wyobrażam sobie współdecydowanie pracowników o firmie, a moje wywody spotkały się z wielką uwagą. Nie padło ani jedno słowo protestu. Ożywiona dyskusja nastąpiła później, kiedy zasiedliśmy przy długim stole. Nie brakowało ani jednego pracownika. Ja jako szef na jednym końcu, Jim na drugim. Nie mieliśmy takiego zasobu japońskich słów, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania. Kioshi i Yuriko mieli pełne ręce roboty. Rzadko widywałem moją tłumaczkę tak wyczerpaną jak po tym spotkaniu. Kiedy przez chwilę zostaliśmy sami, pochwyciła spontanicznie moje dłonie i powiedziała coś, co jak miecz przeszło mi serce:

– Jeśli okaże się to prawdą, Donald-san, że pracownicy będą mieć udział w zysku firmy, jeśli zatroszczysz się o wszystkich, to uwierzę, że pomiędzy zachodnimi kapitalistami są chrześcijanie.

To znowu było to, twarde słowo, co do którego łudziłem się, że znikło z jej słownictwa! Poczulem jednocześnie rozczarowanie i radość.

– Yu – zapytałem prosząco – kiedy wreszcie popatrzysz na mnie oczyma miłości?

Westchnęła.

– Zawsze, Donald-san. Tylko miłość nie jest ślepa, jeśli sięga głębi. Wybacz mi, ale trudno przychodzi połączyć wszystko ze sobą.

Przypomniałem sobie o słowach ojca Tomasza, w jak wielkim wewnętrznym napięciu musi się znajdować córka Moriego, i przymusiłem się do cierpliwości.

– Musisz przyznać, Yu, że dotąd twoje życie było pełne błędów dyktowanych ci przez nienawiść, błędów, które tylko dlatego mogły cię tak długo pętać, ponieważ niestety zawierały sporą część prawdy. Zgadza się, na Zachodzie wiele spraw cuchnie. Komunizm jest też odpowiedzią na nasze oziębłe chrześcijaństwo. Ale napotkać można też coś innego, coś, co niewielu dostrzega, gdyż działa to w ukryciu.

Nie wiem, co tak rozwiązało mi język, podsuwając słowa, nad którymi nie zastanowiłem się wcześniej.

– Widzisz tylko jeden rodzaj człowieka Zachodu, Yu, który chce zarobić na Japonii, który swoim materializmem czyni ją ślepa i głucha na innego zachodniego człowieka, takiego, który prawdziwie żyje tym, w co wierzy, i niesie własne dziedzictwo, jakim chcemy się podzielić z twoją

ojczyznę.

Spojrzała na mnie zamyślona. W jej spojrzeniu leżał cały, ukryty przede mną, świat, głęboki świat!

– A gdybym przeniosła się na Zachód, Donald-san, czy wtedy wszystko byłoby inne? Czy zobaczyłabym urzeczywistnione to, co nazywacie prawdziwym chrześcijaństwem?

Zabrakło mi siły, aby wytrzymać ciężar jej spojrzenia. Nigdy bym nie pomyślał, że od kochającej kobiety usłyszę pytania tak głęboko drążące sumienie, i że od odpowiedzi na nie zależeć będzie znacznie więcej niż tylko nasza miłość! Nie widząc innego wyjścia, odparłem wymijająco:

– Przecież jesteś w college’u prowadzonym przez siostry zakonne, Yu. Przyjrzyj się im i ich życiu, a potem zapytaj siebie, co skłania je do tego, aby opuścić ojczyznę i troszczyć się o chorych, cierpiących i potrzebujących pomocy.

Yuriko wypuściła moje dłonie. Czuła się rozczarowana?

– O tak, Donald-san, siostry są dobre. Tylko że ja szukam człowieka z ulicy, który robi to co wszyscy, a przecież inaczej, ponieważ jest chrześcijaninem. I wtedy uwierzę.

Zawołano mnie. Przerwaliśmy rozmowę. Dzisiaj wiem, że w bardziej sprzyjających okolicznościach powinienem był ją dokończyć, ale zaniedbałem to.

Zamiast tego wziąłem ją na przyjęcie, które odbywało się w moim prywatnym domu.

Kiedy tam przyszedłem, wszyscy już dobrze się bawili. Nie oszczędzaliśmy na dobrych winach. Zjawili się też kilka dam, więc obecność mojej tłumaczki nie zwracała niczyjej uwagi. Yuriko również miała na sobie elegancką sukienkę koktajlową i nie ustępowała im w niczym urodą ani urokiem. Panowie zdawali się nawet zapominać, że była jedyną Japonką w towarzystwie.

Rozprawiali głośno i bez zahamowań o sprawach, o jakich z kilku powodów niechętnie rozmawiałbym w obecności córki Nipponu – pewnych niemożliwych do przyjęcia sytuacjach związanych z zajęciem kraju, wzrostem statystyki nieślubnych dzieci naszych żołnierzy, przypadkach stłumionych strajków i rewoltach w przedsiębiorstwach państwowych, taktycznych błędach, które McArthur podobno popełnił w czasie okupacji i które teraz się mszczą, szybkiej ekspansji niektórych amerykańskich biznesmenów w Japonii i czymś tam jeszcze.

Nie, na tym przyjęciu nie było reprezentantów grona szczególnie zaangażowanych chrześcijan. Zdziwiliby się też, gdyby mogli odgadnąć moje myśli. Czy nie przybyli, aby świętować moje prosperity? To że podjąłem próbę zmierzenia się z problemami socjalnymi, potraktowali jako moje prywatne hobby. Więcej, śmiali się do rozpuku niczym z dobrego kawału, gdy ktoś nazwał mnie gorliwym kaznodzieją i apostołem, który do stu innych sekt buddyjskich i chrześcijańskich dołączy jeszcze jedną – supernowoczesną. Uważali, że podjąłem eksperyment, na który rozwijająca się Japonia wydała mi się terenem najodpowiedniejszym, ponieważ nie próbowałem wcielić go w życie w naszej centrali w Nowym Jorku.

Yuriko zachowywała się zbyt cicho, zbyt czujnie. Jej oczy wędrowały od jednego do drugiego gościa w spokojnej obserwacji. Nie żeby ktoś komuś poważnie uwłaczał. Oficerowie, którzy podjęli pewne tematy, jakie w ich kręgach były na porządku dziennym, nie mieli pojęcia, jak uważnie słucha ich krytycznych sądów córka komunisty. Być może nawet zapomnieli o tym, jak znakomicie ta mała studentka opanowała ich własny język! Nie zdążyłem też skinąć na nich, gdy rozmowa zeszała na tematy ściśle polityczne: Korea, Północne Chiny. Yuriko odstawiła kieliszek z szampanem. Próbowałem gorączkowo odwrócić jej uwagę.

Wreszcie ktoś włączył odbiornik telewizyjny – oczywiście amerykańska ramówka. Nadawano właśnie przegląd tygodniowy przedstawiający najnowsze wydarzenia w Korei. Starsi panowie skupili się przed ekranem, a ja byłem szczęśliwy, gdy Jim Lesley, którego śmiertelnie nudziły rozmowy o polityce, włączył gramofon, puszczając płytę z muzyką taneczną. Zasunięto szklane drzwi, w sąsiednim pokoju zrolowano dywan i wkrótce pojawiły się pierwsze pary.

Po raz pierwszy tańczyłem z moją narzeczoną, dziwiąc się, jak znakomicie opanowała nowoczesne tańce. Subtelnie dostosowywała się do każdego kroku partnera. Nie uważałem siebie za utalentowanego tancerza, od dłuższego też czasu nie miałem okazji poćwiczyć. Wydawało mi się nawet, że to Yuriko objęła prowadzenie.

– Gdzie tak świetnie nauczyłaś się tańczyć? – zapytałem z uznaniem.

Uśmiechnęła się.

– Na Kyoiku organizowano często kursy tańca dla młodych ludzi. Zatrzaszczyliśmy się o to, aby zapoznać się ze wszystkim, co nam przynosi Zachód.

No tak, przeszła rzeczywiście przez dobrą szkołę. Zatańczyliśmy parę razy, a potem świadomie przysiadłem się do Jima Lesleya, wokół którego skupiła się grupka zaciekawionych słuchaczy. Opowiadał o miodowym miesiącu i udanym urlopie w Miyanoshita u stóp Fudzi. To był, jak mi się wydawało, niekrępujący temat, więc postarałem się, aby moja tłumaczka pozostała przy mnie. Za naszymi plecami wybuchały raz po raz salwy śmiechu. Widocznie panowie opowiadali sobie najnowsze dowcipy.

– Wszystko pięknie i ładnie – mówił dalej zamyślony Jim, podstawiając swojej żonie kieliszek, lecz ona energicznym gestem przykryła go dłonią i odsunęła butelkę bez najmniejszego protestu z jego strony – ale kiedy opuszcza się luksus Miyanoshita i idzie na przechadzkę ku wioskom, gdzie chłopcy pielęgnują każdą piędź ziemi i zbierają każde źdźbło ryżu, jak gdyby to było jakieś misterium, to z mieszanymi uczuciami wraca się do hotelu, gdzie naszym ludziom tak się powodzi jak Japończykom najwyżej w Nowy Rok.

Yuriko spojrzała na mnie swoimi nieprzeniknionymi oczyma.

– Chętnie pojechałabym kiedyś do Miyanoshita – powiedziała miękkim głosem, jak gdyby miała w pamięci tylko to, co Jim wspomniał na temat niezwyklej elegancji, dobrego towarzystwa i wspaniałych krajobrazów tego miejsca.

Milczałem. Nie chciałem jej odmawiać, ale miałem przecucie, że lepiej będzie poczekać, czy nie nadarzy się jakaś sposobność odwiedzenia tego słynnego uzdrowiska, gdzie co roku, wiosną i jesienią, osiadły w Japonii zachodni świat spotykał się na wystawnych przyjęciach.

– Musimy teraz pilnować interesów – odrzekłem wymijająco – żeby jak najszybciej zwróciły się koszty nowych hal i można było zacząć dzielić się zarobionym kapitałem z załogą. Na początku nawet szef nie dostanie urlopu.

Yuriko opuściła oczy, a ja wiedziałem, że sama z siebie nigdy już nie powtórzy swojej prośby.

Przyjęcie zakończyło się późno. Kilku panów osobiście odwiozłem do Tokio. Tu i tam sprawiono mi niespodziankę, zapowiadając kupno nowego pojazdu. Duża wystawa, jaką zorganizowałem w witrynie nowoczesnego domu towarowego, przynosiła teraz pierwsze owoce. Nic więc dziwnego, że kończyłem dzień w znakomitym nastroju. Wychodząc, jeden z oficerów klepnął mnie po ojcowsku w ramię i stwierdził z miną spiskowca:

– Ładny chrabąszcz, ta pańska tłumaczka! Proszę uważać, Grane, żeby się pan nie zakochał. Coś takiego może się okazać niebezpieczne, nie, nie dla pana, tylko dla dziewczyny.

Dobrze, że było ciemno. Udałem obojętność, ale nie bardzo wiedziałem, czy mi się to do końca udało.

– Jakież to mogą być niebezpieczeństwa, założywszy, że coś w ogóle się stanie? Nasze prawa chronią przecież również i Japonki.

Major pokręcił głową.

– Nie rozumiemy się. Nie jesteśmy w stanie zrobić niczego przeciwko władzy rodziny. Niedawno słyszałem taką historię. Jakiś sierżant miał romans z miłą moga, chciał się z nią nawet ożenić. Rygory uległy obecnie takiemu rozluźnieniu, że Amerykanin nie potrzebuje odbierać sobie życia, jeśli nie dostanie swojej butterfly, to też już wiedzieliśmy. No więc wszystko wydawało się być w porządku, przygotowano niezbędne dokumenty, i nagle dziewczyna znikła. Ustalono, że rodzice sprzedali ją do domu publicznego Yoshiwara albo jeszcze gdzie indziej... Co panu jest?

Rozdeptałem żarzący się niedopałek papierosa jak gdyby był skorpionem. To pozwoliło mi w miarę odzyskać równowagę.

– To chyba niemożliwe. Takie transakcje są przecież surowo karane.

– Jeśli zawiera się je wbrew woli dziewczyny, jak wcześniej. Ale biedactwo zostało tak zastraszone, nie wiadomo jakimi pogroźkami, że oznajmiło, iż dobrowolnie złożyło swój podpis, co też dało się udowodnić. Zanim sierżant podjął próbę uwolnienia jej siłą, przeszmyglowano ją na kontynent. Podobno jest tam boss dysponujący ponad czterdziestoma tysiącami takich zagubionych

dusz, po prostu towar!

Nie potrafię opisać, jak się poczułem. Zachrypniętym głosem zwróciłem się do mojego rozmówcy:

– Zmobilizowałbym wszystkich tajniaków, żeby ruszyli w jej ślady i ukarali winnych.

Major przytaknął.

– Wierzę. Ale są jeszcze i inne sposoby, aby w tym kraju zapobiec małżeństwu z Amerykaninem. No, ale proszę się nie przejmować, pana to nie dotyczy, a pański współnik został szczęśliwym żonkosiem. Najlepsze rozwiązanie dla mężczyzny pod tą szerokością geograficzną to szybki ożenek. Za wiele pokus, obczyzna i inny klimat. – Podał mi rękę. – Dobrze, że zawsze był pan rozsądny, Grane, i myślał przede wszystkim o swoich samochodach. Jeśli będzie pan kiedyś potrzebował zasięgnąć rady, to jestem tu wystarczająco długo, żeby udzielić pomocy. Dobranoc.

Powoli zawróciłem. W Tokio ciągle jeszcze jarzyły się neony nad centrum miasta, podobnie jak w dzielnicy rozrywek oraz nad jaskinią rozpusty Yoshiwara, która zewnętrznie dopasowała się do nowych czasów, lecz wewnętrznie pozostała tym, czym była. Pogrzebać tam Yuriko za życia... Na samą myśl o tym zrobiło mi się niedobrze.

Ożenić się, pomyślałem, jak najszybciej zawrzeć związek małżeński, zaraz jak tylko zda egzaminy i osiągnie pełnoletność. To jesienią przyszłego roku – jeszcze pełne dwanaście miesięcy. Postanowiłem, że nie spuszczę jej z oczu i zacznę pilnować. Nie wiedziałem przecież, jak do sprawy małżeństwa podejrze Mori-san. Bez zastrzeżeń powierzył mi ją jako tłumaczkę – ale oddać ją na zawsze i to zniechęconemu kapitaliście?

Tej nocy kiepsko spałem. Ponadto ziemia zadrżała kilka razy, poruszając obrazami na ścianach. Pękło także jedno z lusterek komody. Kiedy zapaliłem światło, wszędzie leżały odłamki szkła. Ten wstrząs wyjątkowo mnie zaniepokoił. Przez dłuższą chwilę stałem przy oknie, nasłuchując w ciemnościach nocy.

Nagle uświadomiłem sobie, że Yuriko mieszka w bardzo nędznym domku, który przy następnym drgnięciu mógłby zostać zgnieciony niczym pudełko zapalek. Narzuciłem płaszcz i wybiegłem na ulicę. Przez głowę przelatywały mi wszystkie doniesienia o pożarach spowodowanych przewróconymi hibashi. Kamień spadł mi z serca, gdy zdyszany dotarłem do posesji Teruko i zobaczyłem, że jej dom stoi nienaruszony.

Zawstydziłem się własnego nieopanowania i szybko pomaszerowałem do domu. W małym pokoju, gdzie tańczyliśmy, wciąż jeszcze leżał zrolowany dywan, a światło księżycy padało na malunek подарowany mi przez Yuriko w Nowy Rok. Mały ptak śpiewał niewzruszenie, siedząc na kwitnącej gałązce śliwy. Pomyślałem, że powinienem posłuchać jego tęsknych treli. Popęliłem błąd, wieszając go dzisiaj w tym miejscu. Goście stawali przed nim i oglądali z uznaniem. Próbowali odczytywać japońskie znaki, przy pomocy których artysta uwiecznił w rogu swoje imię.

Gdy tańczyliśmy, pochwyciłem długie spojrzenie Yuriko i nagle się zawstydziłem, że sprofanowałem pierwszy podarunek jej miłości, wydając go na cudzą krytykę. Postanowiłem, że spróbuję naprawić wyrządzoną szkodę. Na razie zwinąłem kakemono i schowałem w swojej sypialni do zamykanej skrzyni, wspianego okazji starojapońskiej sztuki rękodzielniczej z laki i intarsji. W swoim czasie chciałem go stamtąd wydostać i wspólnie z Yuriko obejrzeć.

*

Rankiem beznadziejnie zasnęłam, ale umysł miałem trzeźwy. Znikły sentymentalne nocne lęki. Znowu trzymałem siebie i życie mocno w rękach.

To, co powiedziałem Yuriko, że muszę podwoić wysiłki, jeśli chodzi o pracę, nie okazało się częścią wymówki. Należało wiele nadrobić. Całe dnie spędzałem w drodze. Nie zawsze mogłem zabrać ją ze sobą. Praca to najsilniejszy oponent kochających. Zdarzały się sytuacje, kiedy całkowicie zapomniałem o moich prywatnych sprawach, więc kiedy wracałem do narzeczonej, spotkanie przeżywałem tym radośniej.

Jesienią otrzymałem z domu telegram komplikujący moje najbliższe plany. Ojciec doznał apopleksji. Musiałem natychmiast polecieć do Stanów, jeśli chciałem go jeszcze zobaczyć. W jego wieku obawiano się najgorszego. Było to krótko przed rozpoczęciem semestru zimowego – pierwsze kroki z poczty skierowałem więc do Teruko. Starsza kobieta obiecała mi, że gdy tylko Yuriko wróci z Tokio, gdzie przed inauguracją roku akademickiego miała załatwić ważne sprawunki, poinformuje ją o wszystkim. Dzięki mojej tłumaczce przyswoiłem sobie kilka niezbędnych zwrotów ułatwiających codzienną komunikację.

Gorączkowo pakowałem walizkę. Rodzina Sato-san starała się jak mogła, aby pomóc mi w pospiesznym wyjeździe. Teraz okazało się, że dobrze jest mieć liczny personel. Żona Sato zatroszczyła się o prasowanie ubrań i prowiant. Córka pobiegła do firmy, aby powiadomić Jima Lesleya, a syn na lotnisko, żeby kupić bilet. Tym sposobem miałem jeszcze czas, aby poczekać na powrót Yuriko, zanim następną Super Constellation odleci z Atsugi.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz z taką niecierpliwością czekałem na drugą osobę. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Stałem przed domem w deszczu, wyglądając na próżno. Nie odważyłem się wyjechać naprzeciw, bo mogliśmy się łatwo rozminąć. Dojrzałem ją w ostatniej chwili. Najwidoczniej zapomniała o parasolu i pelerynie, gdyż drżała z zimna przemoczona do suchej nitki. Małżonka Sato-san narzuciła jej troskliwie na ramiona koc, którym dziewczyna się owinęła, wsiadając do samochodu. Ruszyłem bez słowa. Pozostawało nam pół godziny, wliczając w to jazdę.

Pędziłem jak opętany, żeby nadrobić stracony czas. Z tyłu usiadł Jim Lesley, jechał również z nami, żeby omówić najpilniejsze sprawy. Wyjeżdżałem przecież w trakcie reorganizacji firmy, w możliwie najbardziej niekorzystnym czasie. Obojętne mi było, czy dowie się o mojej miłości, czy nie. Nie miałem czasu ani ochoty wyjaśniać mu cokolwiek. Obawiam się jednak, że nie zdziwił się, gdy usłyszał moje pytanie:

– Yu, darling, gdzie byłeś tak długo? – przy tym udało mi się zerknąć na nią. Spięte włosy rozsypały się jej na plecach, przykrywając czerwony pled. Ten widok przypomniał mi Gratię Hosokawę. I teraz promieniała urodą, z mokrą twarzą i szeroko otwartymi pełnymi miłości i lęku oczyma.

– O, Donald-san, twój dana-san jest bardzo chory, mój zdrowy. Ale stało się coś znacznie gorszego... Wie, że nie studiuje już na Kyoiku. Spotkał mnie przed chrześcijańskim Seishin...

Wstrząs. Z wielkim trudem udało mi się wyminąć pędzącą z przeciwka ciężarówkę wyładowaną po brzegi cementem.

Jim położył mi dłoń na ramieniu.

– Jazda, siadaj z tyłu.

Odstąpiłem mu kierownicę. Dobrze było odpocząć chwilę. Ale okoliczności mogłyby być lepsze. Mój współnik słyszał wszystko słowo w słowo, choć jak szalony gnał na lotnisko. Był zrelaksowany po wypoczynku pod Fudzi, to się wręcz czuło. Poza tym znajdował się w bezpiecznej przystani małżeństwa. Poczulem coś w rodzaju zazdrości, ale troska okazała się silniejsza.

– Co teraz, Yu? Co zamierza?

– Ja... nie wiem, Donald-san. Był tak okropnie milczący. Mój dana-san jest niebezpieczny, kiedy nic nie mówi.

Zacisnąłem szczęki. W głowie zakotłowało mi od nawału myśli i przerażających obrazów. Echem odbiły mi się w pamięci słowa majora, aż poczułem łomot w skroniach. Bez namysłu wziąłem jej zmarzniętą dłoń w swoją.

– Mogłabyś zamieszkać u sióstr, Yu?

Drgnęła zaskoczona.

– Tam na pewno będziesz bezpieczna. Powiedz im, że za wszystko zapłacę. Musimy tak zrobić. Najpóźniej za tydzień będę z powrotem.

Spojrzała na mnie ze strachem.

– Córka robi zawsze to, co rozkaże ojciec.

Ścisnąłem kurczowo jej rękę.

– A narzeczona to, co chce narzeczony. – W tej chwili samochód wpadł w poślizg. Przed nami rozbłysły światła Atsugi. Musieliśmy mieć szalone tempo. Jimowi udało się zapanować nad kierownicą. Ruszyliśmy ku bramie. Jeszcze dziesięć minut. W tle rysowały się już stalowoszare skrzydła gotowej do startu maszyny. Załoga naziemna biegła wokoło. Porwałem Yuriko z samochodu i pobiegłem wraz z nią ku barierkom. Mój współnik ruszył za nami bez słowa, gdy tylko zamknął pojazd.

– Jak to się stało, że twój ojciec właśnie dzisiaj zjawił się w Tokio?

– Wkrótce czeka nas święto chryzantem, Donald-san.

Nie mieliśmy czasu na długie tłumaczenia. Wiedziałem tylko, że żaden Japończyk nie zaniedba tego wrześnieowego święta domu cesarskiego. Nie orientowałem się tylko, czy w tym roku odbędzie się uroczystość ku czci poległych poprowadzona przez Tenno przy świątyni Yasakuni. Być może wiele osób prywatnie udawało się do chramu w stosownym czasie, a ojciec Yuriko poświęcił przecież dla ojczyzny swojego syna. Te rozważania trochę mnie uspokoiły.

– Napisz do ojca, że później postaram się mu wszystko wytłumaczyć. Tylko zostań na Seishin, dopóki nie wrócę, Yu!

Przytaknęła.

Nie przejmując się stojącymi wokoło gapiami, objąłem ją mocno. Miłość i ból, wszystko zeszło się razem. Po raz pierwszy pocałowałem ją namiętnie, nie dając najmniejszych szans ucieczki.

Potem nagle zwolniłem uścisk, aż się zachwiała. Za jej plecami niczym cień pojawił się Jim, podtrzymując ją ze śmiechem. Podniósł rękę i machnął ku mnie. Yuriko – sweetheart – skłaniała się w kierunku samolotu, jak gdyby musiała zadośćuczynić za mój wybuch. Skinąłem krótko ręką. Potem steward popchnął mnie dalej. Nie mogliśmy mieć spóźnienia.

W chwilę później Super Constellation wzniosła się nad Atsugą, a na pasie startowym pozostały dwa małe ludziki poruszające się niczym marionetki pociągane niewidzialnymi sznurkami. Poczułem ucisk w uszach i w sercu. Od czasu do czasu odczuwałem skutki odniesionych wcześniej ran. Jakże solidną miałem kiedyś kondycję!

– Przeżuwać! – polecił steward, więc posłusznie wsunąłem gumę do ust. Zaraz potem zobaczyłem rozplywającą się we mgle poszarpaną linię brzegową Japonii.

*

Mój pobyt w Nowym Jorku potrwał dłużej niż uprzednio zakładałem. Ojciec dwa tygodnie walczył o życie, potem nastąpiła poprawa. Lekarz wyraził nadzieję, że jego mocne serce poradzi sobie jeszcze tym razem. Potrzebował jednak rekonwalescencji i każdy to widział. Nikt mi tego nie powiedział, ale zauważyłem, że wszyscy oczekują, iż obiecuję mojemu rodzicowi szybki powrót do centrali, aby go odciążyć. Eksport do Japonii mogłem bez problemów powierzyć Lesleyowi. W normalnych okolicznościach pewnie tak by się stało, ale teraz powstały przeszkody, które stanęły mi na drodze pójścia za głosem oczywistego synowskiego obowiązku.

Kiedy ojciec zasiadł znowu w fotelu przy oknie i zaczął snuć plany na najbliższą przyszłość, przyłączyłem się do niego, starając ostrożnie zapoznać go z moim zamiarem pozostawienia go jeszcze przez najbliższy rok bez mojej obecności. Potem zobaczę, co będzie dało się zrobić. Na razie muszę doglądać dopiero co wprowadzonych zmian. Oczywiście nie rozumiał powodów podjęcia tak istotnych reform, ingerujących w strukturę naszej firmy, i to bez powiadomienia go.

Zaskoczony poczynionymi przeze mnie krokami, gdy tylko odważyłem się wspomnieć o tym, że poznałem w Nipponie Japonkę, którą chciałem poślubić, znieruchomiała twarzą wyraził swoją niechęć. Wiedząc, że muszę go oszczędzać, i czując jego reakcję, zmieniłem zrećznie temat rozmowy. On zaś nie przestawał nalegać, abym mu obiecał, że zostawię handel z Japonią w rękach Lesleya i bezwzględnie wrócę do domu. Na miejscu jest dość dziewcząt gotowych z radością oddać rękę dziedzicowi Grane General Motors.

Odważyłem się mu przeciwstawić, stwierdzając, że przecież on też sprowadził sobie narzeczoną ze starej Irlandii, ale natrafiłem na granit.

– Irlandia to nie Japonia! Twoja matka była katoliczką jak papież. Ty natomiast chcesz nam sprowadzić do domu poganę.

Uspokoilem go. Wiedziałem, że przy swoim wyborze nie kierował się absolutnie wyznaniem, ale w zastrającym się sporze użył tego argumentu jako broni przeciwko mnie. Gdyby wiedział, że ojcem Yuriko jest zaprzysięgły komunista, musiałbym się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Na próżno przeszukiwałem kieszenie. W pośpiechu nie zabrałem ani jednego zdjęcia mojej narzeczonej. Wydawało mi się, że jedno spojrzenie napelni go taką sympatią do niej jak i mnie.

– Nie chcę jej oglądać. Wybij to sobie z głowy, chłopcze, i obiecuj mi, że cała sprawa pozostanie w twoim życiu jedynie romantycznym epizodem.

Tego nie mogłem zrobić, ale próbowałem go uspokoić, bo lekarz kazał mu unikać wszelkich emocji. Zobowiązałem się tylko do jednego: że w ciągu roku nie zawrę związku małżeńskiego bez jego zgody. Wiedziałem, że wcześniej Yuriko i tak pozostaje dla mnie nieosiągalna. Teraz należało tylko możliwie jak najszybciej powrócić do niej, czekały ją bowiem jeszcze ostrzejsze starcia z jej dana-san. Na koniec dzięki sprytnemu manewrowi obróciłem dyskusję w żart.

W skrytości ducha wierzyłem, że kiedy Yuriko zda swoje egzaminy i przejdzie na katolicyzm, to z drogi wiodącej ku zawarciu małżeństwa zostaną usunięte największe przeszkody. Po prostu przy następnej okazji zabiorę ją ze sobą do Nowego Jorku. Zamierzałem ubrać ją od stóp do głów po zachodniemu, żeby ojciec mógł się pokazać w najlepszych kręgach z urodziwą, wykształconą Japonką.

Miał czas, żeby oswoić się z tą myślą. Zaczęę działać dyplomatycznie, od czasu do czasu przesyłając mu fotografię albo list od Yuriko. Powoli jego opór stopnieje. Gdyby jednak nie ustępował, to ze zdrowym człowiekiem można już kontynuować poważną debatę.

Kiedy żegnaliśmy się po trzech tygodniach, ustaliliśmy, że wrócę po roku, a mój ojciec żywił przekonanie, że odniósł zwycięstwo.

Jaka kampania oczekiwała mnie teraz z Mori-san?

W drodze powrotnej, już nad oceanem, układałem sobie odpowiedzi, jakich udzielę mu na najbardziej nawet zawile pytania. Chciałem dowieść, że Yuriko postąpiła słusznie i że jako nowoczesna, młoda dziewczyna ma prawo do własnego wyboru. Co więcej, zrobiłem nawet kilka notatek, szkicując hipotetyczną mowę, którą wygłaszałem do niego.

Ale stało się inaczej.

Październikowe burze utrudniły nieco ostatni odcinek lotu. Potem jednak wylądowaliśmy pewnie na Atsudze. Mojemu współnikowi wysłałem wcześniej telegram, kiedy przylatuję. Z powodu warunków pogodowych mieliśmy dwie godziny spóźnienia. Zaraz jednak rozpoznałem rolls-royce'a, bo jeździł nim w ostatnim czasie. Stał, jak gdyby to było wczoraj, machając do mnie. Tylko stojąca u jego boku dama okazała się nie Yuriko, lecz jego wysoką, jasnowłosą żoną, wprawdzie bez kapelusza, ale uzbrojoną w dwa parasole.

Oboje otwarli szeroko oczy, słysząc, że od razu dopytuję się o moją tłumaczkę.

– Wszystko w porządku, siedzi w szkolnej ławce – zaśmiał się Jim, a ja poczułem, jak opada ze mnie napięcie.

– Ależ z ciebie spiskowiec! Chodź pod parasol! Później dostanie ci się od mojej żony. Już wyszukała dla ciebie dobrą partię, swoją najlepszą przyjaciółkę.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Mam nadzieję, że w firmie wszystko w porządku?

Jim odburknął:

– Obaj wiemy, że należy trzymać z dala od siebie sprawy prywatne i służbowe. Miło z twojej strony, że przynajmniej w kontekście twojej afery troszczysz się o zakład.

Pomaszerowaliśmy przez barierki. Pani Lesley wciąż trzymała nade mną parasol i chcąc nie chcąc, wyglądała przy tym jak Japonka. Co za szczęście, że unikałem jej sideł!

Lesley zajął miejsce za kierownicą. Pewnie miał dość mojej ostatniej, karkołomnej jazdy, która pozostała mu w pamięci. Jego zdaniem można sobie połamać kości, ale broń Boże, nie wolno uszkodzić samochodu. Troszczył się o nasze najlepsze modele niczym ktoś inny o hodowlę psów.

Nie czekał też aż do Jokohamy, żeby zapoznać mnie z najnowszym firmowym skandalem.

– Dobrze, że się zjawiasz, Donaldzie. W czasie twojej nieobecności wydarzyło się parę spraw. Klika skupiona wokół Mori-san zajechała nam kilka najlepszych maszyn. Oczywiście ubezpieczenie płaci, ale nie za wszystko. Forda, którym spodobało im się wjechać do morza, nikt już nam nie naprawi, a właśnie wczoraj japoński gangster uciekł z buickiem. Nie złapali go jeszcze, chociaż Japonia kończy się zewsząd wodą. Nie do pojęcia...

Nie przestawał narzekać. W jakim stopniu te zajścia wiązały się z osobą Moriego, musiałem ustalić później. Wiedziałem, że Kioshi Tanaka już dawno zaraził go niechęcią do nauczyciela ludowego. Stało się to wtedy, gdy znaleźliśmy w hali skrzynię z komunistycznymi ulotkami.

– Co poza tym w firmie? Wszyscy zadowoleni?

Jim zgrzytnął zębami:

– Jakżeby nie? Przecież demokratycznie mogą robić to, co chcą, nawet jeśli cię rujnują! Na koniec roku mają jeszcze zysk z tego, że partaczą robotę.

Zaśmiałem się.

– Daj spokój, Jim. Z takim ryzykiem musi się liczyć każda wypożyczalnia, przecież wiesz o tym.

Skoczył na mnie:

– Jasne, ale nie w ten sposób. Dlaczego nie zostałeś przy jeepach i starych złomach? Przy nich nie dałoby się za wiele popsuć. Popatrz tylko na to! Czysty sabotaż.

– No, nie jest jeszcze aż tak źle! Już jesteśmy? Wspaniale, mam wrażenie, jakbym wrócił do domu.

– Niewdzięczny synu, ani śladu w tobie synowskiej miłości. I to wszystko z powodu tej małej Japoneczki!

Jego słowa wyprowadziły mnie z równowagi.

– Dosyć, Jim! W tym względzie nie toleruję żadnych żartów. Nie masz pojęcia, ile znaczy dla mnie Yuriko.

– Wybacz, proszę! Mogę sobie natomiast wyobrazić, ile ty znaczysz dla jej ojca. Dla niego to prawdziwa gratka.

– Niby dlaczego?

– Człowieku, zastanów się przez chwilę. Przecież nie znosiłby cię ani przez minutę, gdyby nie żywił względem ciebie określonych zamiarów. Miejmy nadzieję, że nie pakujesz się w jakieś

bagno, bo się z tego nie wydostaniemy.

– Chodzi mi tylko o Yuriko.

Jim wzruszył ramionami, odwracając głowę do swojej żony:

– Nie mówiłem ci, Gloria? To poważna sprawa, a nie chciałaś mi wierzyć. Nikt tego nie pojmuję.

Gloria westchnęła.

– O co chodzi? Niby skąd... wiedzą już o tym inni?

– Biedny zaślepięncze! Przecież na Atsudze nieomal ją połknąłeś, a dookoła stało niestety paru statystów niemających nic innego do roboty, jak tylko się przyglądać. Twoja opinia w klubie ucierpiała ostatnio.

Zatrzymaliśmy się.

Wzruszyłem ramionami.

– Możesz być pewny, że po roku rozbłyśnie nowym blaskiem.

– Chyba nie masz zamiaru...

– Właśnie tak, jeśli pozwolisz.

Jim spojrzał na swoją lepszą połowę. Niosła znowu oba parasole, jednak nie otworzyła żadnego. W jej oczach nie byłem tego wart. Gwizdałem na to. Jeszcze ochłoną i w swoim czasie złożą mi gratulacje na ślubie.

Jednego tylko nie pojmowałem. Czyżby Mori-san, kiedy już odkrył, że jego córka studiuje na Seishin, dał wreszcie za wygraną?

Jim zrezygnowany zaprowadził mnie do jednej z hal, gdzie mieściło się nasze biuro. Z entuzjazmem rzuciłem się w wir pracy. To co on uważał za nieszczęście, ja łudząc się moim niezagrożonym szczęściem, traktowałem jako błahostkę, z którą szybko się uporamy. Mieliśmy pecha, choć tej zimy planowałem się odkuć. Ostatecznie wszyscy, którzy wypożyczali samochody, byli początkującymi kierowcami. Należało się liczyć ze stratami. Nie mogłem przecież dobrze wyglądającym klientom wciskać wysłużonego jeepa, skoro na ważną dla nich podróż potrzebowali forda.

Początki inwestycji w Japonii okazały się drogie, ale z tym należało się liczyć. Nie bardzo przypadło mi do gustu, że policja poszukiwała skradzionego samochodu. Ale sprawa była już w toku.

Nic na świecie nie mogło powstrzymać naszej żandarmerii wojskowej, kiedy zabrała się do dzieła i zaczęto prowadzić regularne śledztwo.

Miałem tylko nadzieję, że nie odkryje niczego, co mogłoby być nieprzyjemne dla Mori-san.

Jeszcze tego samego popołudnia pojechałem po Yuriko na Seishin-Daigaku-in. Teraz było już obojętne, czy również prywatnie widziano ją ze mną, czy nie. Nowinki omawiane w klubie w mgnieniu oka przedostawały się do środowiska amerykańskiego i stąd o wszystkim dowiedział się mój personel.

Pomimo tego kosztowało mnie niemało wysiłku, aby w obecności siostr powitać ją tak, jakbyśmy rozstali się wczoraj. W chwilę potem skręciłem w boczną uliczkę, zatrzymałem się i objąłem ją ramionami. Wreszcie poczułem, jak przytula się do mnie, odwzajemniając pocałunek.

– O, Donald-san... tak bardzo się o ciebie martwiłam...

Odgarnąłem jej włosy z czoła.

– To nic w porównaniu z troskami, jakie mnie trapiły. Jak to możliwe, Yuriko? Wolno ci studiować dalej?

Przytaknęła uszczęśliwiona.

– Tak, Donald-san, opowiem ci później. Musisz zawrócić. Właśnie nadchodzi policjant. Tu nie wolno parkować.

Oczywiście. Mój samochód blokował całą szerokość uliczki. Przechodnie stali niczym mur za pojazdem wyuzdanego, zachodniego barbarzyńcy. Drobny stróż porządku wyjaśnił mi z wielką uprzejmością i kilkakrotnie się kłaniając, dlaczego w tym miejscu nie można się niestety zatrzymać. Powoli zawróciłem, a na cierpliwe oblicza Japończyków znowu powróciły uśmiechy.

Yuriko oparła się mocno o moje ramię. Nie pojechaliliśmy do domu, tylko do jednego z

wielkich parków. Tam zostawiliśmy samochód i ramię w ramię ruszyliśmy dalej. Był słoneczny późnojesienny dzień. W mieście nie widziało się wiele z „brokatu roku”, jak Japończycy nazywają tę porę, ale drzewa nabrały wspaniałych barw. Słuchałem opowiadania Yuriko.

Aż trudno było uwierzyć. Mori-san z całą uprzejmością zaprosił wówczas swoją córkę do złożenia wizyty w domu, ponieważ pilnie życzył sobie z nią porozmawiać. Musiała ze wszystkimi szczegółami zrelacjonować, jak doszło do zmiany uczelni. Po wysłuchaniu wszystkiego długo milczał, a na koniec orzekł:

– Pozostanie tak, jak jest. Będzie lepiej, jeśli od podstaw zapoznasz się z poglądami religijnymi ludzi Zachodu. Bo skutecznie zwalczać można tylko to, co się zna. Przygotuję cię do szczególnej walki przeciwko kapitalistycznym imperialistom i ich ideom.

Spojrzałem na Yuriko wstrząśnięty.

– A więc tak do tego podchodzi. Masz studiować chrześcijaństwo jedynie teoretycznie?

Przytaknęła spokojnie.

– Tak, ale to nic nie zmienia w naszej miłości.

Zwróciłem się ku niej, ujmując ją za rękę.

– Posłuchaj, Yuriko. Tak nie można. Musisz mu powiedzieć, że chcesz zostać chrześcijanką, ponieważ cię to pociąga.

Pokręciła głową.

– Postąpiłabym wówczas jak człowiek Zachodu, któremu nie zależy na tym, że utraci twarz.

– Ale to przecież udawanie.

Popatrzyła przed siebie.

– To... to sposób walki, jedyny, jaki dozwolony jest nam, kobietom.

Odetchnąłem głęboko.

– Tym sposobem sama z siebie nie dojdiesz na razie do chrześcijaństwa?

Szybkim ruchem uwolniła swoje dłonie i opuściła pokornie głowę.

– Łatwo przychodzi słuchać, trudniej jest przyjąć.

Poczułem rozczarowanie i z wyrzutem w głosie zapytałem:

– Jakie wątpliwości nie dają ci spokoju, Yuriko? Czy nie robię wszystkiego, żeby ułatwić ci przyjęcie wiary?

Zachowywałem się jak rozzłoszczony chłopiec, niepotrafiący przekonać swoich kolegów do udziału w niebezpiecznej i pasjonującej zabawie. Nie przyszło mi wcale do głowy, w jak wielkiej mierze wiara to łaska. Chciałem ją wymusić dla ukochanej osoby, ponieważ okazywała się jedyną drogą, która zbliżała nas ku sobie.

– Robisz wszystko, Donald-san – usłyszałem jej miękki głos – ale dlatego, że mnie kochasz.

Siedziałem pogrążony w milczeniu. Jak prosto wyraziła to, co spowodowało, że poważnie potraktowałem chrześcijaństwo i zacząłem je urzeczywistniać na co dzień.

– Mój Donald-san ma być kiedyś moim światem – powiedziała czule. – Ale świat mojego Donald-san nie chce stać się moim.

Przystanąłem pod wspaniałym, purpurowym klonem rozpościerającym nad nami dach swoich liści.

– Well, Yu – odparłem zdecydowanie. – Skoro tak się sprawy mają, to muszę ci powiedzieć, że nie pozostało mi wiele czasu, aby wprowadzić cię do mojego świata. I mnie narzucono termin, którego mam dotrzymać. Za rok, kiedy liście znowu opadną, chcę wyruszyć z tobą w podróż poślubną.

W kilku słowach zdałem jej sprawę ze zmagania z moim ojcem, wspominając o postawionych przez niego warunkach.

Słuchała, nie przerywając, tylko w jej oczach pojawił się wyraz cichego przerażenia. Jednak nie przejmowałem się. Nie miałem azjatyckiej cierpliwości, żeby latami oczekiwać na daleki cel. Miała zrozumieć, że nie powinna mnie dłużej męczyć, tylko ze wszystkich sił nastawić się na poważne spotkanie z chrześcijaństwem. Nie może być mowy o „studiowaniu” go w myśl jej ojca, żeby potem z uprzejmym ukłonem pożegnać się z Seishin-Daigaku!

Nie mam pojęcia, ile w tych minutach narobiłem szkody. Jak dotąd nie objawiły się zbyt

wyraźnie różnice naszych mentalności. Mówiłem ze wzburzeniem i w emocjach. Ale im głośniejszy się stawałem, tym spokojniejsza była Yuriko. Pod koniec miałem wrażenie, że biję głową o mur. Nagle z uśmiechem pochwyciła mnie za rękę.

– Czy nie chcemy uczcić naszego spotkania, Donald-san?

Popatrzyłem zdumiony. O tym teraz myślała... Potem jednak i ja zacząłem się uśmiechać.

Czy nie spoglądała na mnie jak mała dziewczynka, której obiecano porcję lodów? Po co roztrząsałem sprawy leżące w tak dalekiej przyszłości. Czy nie powinienem, tak ja ona, cieszyć się szczerze już tylko samą możliwością dalszego przebywania razem? Przecież Mori-san łatwo mógł położyć kres naszym spotkaniom.

Ochłonąłem.

– Masz rację, darling. Powiedz mi tylko jedno... Czy twój ojciec wie o naszej miłości?

Spuściła oczy. Gdyby miała wachlarz, z pewnością zakryłaby nim przede mną całe oblicze.

– Wie, ale nie uważa jej za dostatecznie silną – odparła z cichym tryumfem w głosie. To pojednało mnie z nią. W tym przecież kryło się przyzwolenie na jej wyższość.

– W swoim czasie będzie musiał zgodzić się na wszystko. Im bardziej go zaskoczmy, tym lepiej dla nas – wmawiałem jej i sobie. Ująłem ją za rękę i ruszyliśmy ku wyjściu z parku.

– Możesz wybierać, Yu, w jaki sposób będziemy świętowali nasze spotkanie. Pojedziemy do domu, wstąpimy do kawiarni czy obejrzymy jakąś sztukę w teatrze?

– Donald-san, w Gekijo wystawiają stary dramat miłosny.

Kolejny raz bez wahania wybrała teatr. Zastanowiłem się przez chwilę.

– Tylko pod jednym warunkiem, Yu, że nie będzie to taka jatka, jak Gratia Hosokawa...

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc.

– Ale przecież stara sztuka musi się kończyć ładną śmiercią.

Wzdrygnąłem się, udając komiczne przerażenie. Śmierć na scenie kabuki w Osace na pewno nie była „piękna”.

Ale nie chciałem jej psuć przyjemności. W tokijskim teatrze nie potrzebowaliśmy świątecznych ubiorów. Kabuki nie odrodziło się jeszcze w dawnym blasku. Wzniesiono tylko prowizoryczną scenę. Poza tym przyzwyczajono się do tego, że obcokrajowcy przychodzą na przedstawienia w zwykłych ubraniach i uczestniczą w nich bez szczególnej celebracji. W tłumie nie zwracaliśmy niczyjej uwagi.

Przedstawienie okazało się jedną krwawą łaźnią. Nie miałem pojęcia o czterdziestu siedmiu roninach, rycerzach, którzy, idąc w ślad za pokonanym władcą, po kolei wybierali honorową śmierć i popełniali seppuku. Jeszcze nawet we współczesnej Japonii ich groby czci się niczym miejsca pochówku świętych! Nie, dla mnie to zbiorowe morderstwo nie miało w sobie nic wzniosłego. Poczulem przepełniającą mnie odrazę do fascynacji śmiercią. Moi rodacy gwizdali i tupali nogami z zachwytem, natomiast Japończycy przeżywali dramatyczny punkt kulminacyjny oniemiała ze wzruszenia.

Skruszona Yuriko wyjaśniła, że nastąpiła pomyłka. Dramat miłosny miał być grany dopiero w następnym tygodniu, choć obejrzany spektakl był przecież równie wzniosły. Poza tym historia miłości nie zakończyłaby się inaczej. W finale kochankowie też zadają sobie śmierć. Miałem dość japońskiego teatru.

Yuriko zauważyła z z troskaniem, że nie znajduję upodobania w poruszającej ją sztuce.

– Przecież w wielu wypadkach nie ma innego wyjścia jak chwalebne odebranie sobie życia – stwierdziła, dziwiąc się mojemu niezrozumieniu.

Zaprzeczyłem energicznie.

– Samobójstwo to nie rozwiązanie, a z punktu widzenia chrześcijaństwa jest niedopuszczalne.

Milczała przez chwilę.

– Wydawało mi się, że w Gratii Hosokawie stary duch bushido zjednoczył się z chrześcijaństwem – odparła w zamyśleniu.

Próbowałem jej wyjaśnić, że śmierć spowodowana odmówieniem wykonania czyjejś woli, i do tego niezawiniona, lecz pasywnie przyjęta, nie równa się dobrowolnemu samobójstwu, lecz nie

pojmowała różnicy. Wierność wobec niepisanego kodeksu honorowego oznaczała wszystko. W gruncie rzeczy Gratia Hosokawa tak właśnie postąpiła.

Postanowiłem, że nie będziemy chodzić do japońskiego teatru. Ostatecznie nie brakowało przecież dobrych zachodnich sztuk, gdzie prezentowano bardziej pojednawcze rozwiązania trudnych problemów. Yuriko obiecała posłuszenie, że będzie mi towarzyszyć, choć widać było po niej, że sztukę japońską uważa za wyższą i bardziej wzniosłą.

Stopniowo zacząłem przeczuwać, co z przejętych z tradycji wyobrażeń należy usunąć, zanim w japońskim sercu uda się chrześcijaństwu zapaść korzenie! Nie przeszkadzało mi to jednak nadal obstawać przy żądaniu, aby moja narzeczona podjęła decyzję w narzuconym z góry terminie.

Późno wróciliśmy do Jokohamy. Wiedziałem, że nie zobaczę jej w najbliższym czasie. Pochłaniały ją studia, a ja miałem tyle zajęć w firmie, że z trudem znajdowałem czas na jedzenie i spanie. Pracowałem jak opętany, wyjeżdżałem raz po raz, aby nawiązywać nowe kontakty i utrzymywać stare. Kioshi Tanaka towarzyszył mi jak cień, ucieszony, że przedsiębiorstwo jego szefa tak znakomicie się rozwija. Ani jednym słowem nie wspomniał o tym, że już od dawna wie, jakie relacje łączą mnie z Yuriko. W stosunkowo krótkim czasie dowiedziałem sceptycznemu Jimowi Lesleyowi, że się myli. Nie tylko nadrobiliśmy straty, lecz także znajdowaliśmy się na najlepszej drodze stania się jedną z największych nowoczesnych centrali samochodowych w Japonii.

*

Było to bodaj w listopadzie, kiedy policja odnalazła skradziony pojazd, a przy tym dokonała ważnego odkrycia.

Nasz samochód wpadł w ręce koreańskich przemytników broni i został zatrzymany wraz ze znacznym arsenałem. Niestety, nie ujęto głównego inspiratora. Najwidoczniej chodziło o zorganizowaną grupę przestępczą, której główna siedziba znajdowała się tak daleko od Tokio, że nie potwierdziły się moje obawy, iż Mori-san macza w tej sprawie palce.

Żandarmeria wojskowa zasugerowała mi zachowanie szczególnej ostrożności w kwestii wypożyczania i handlu samochodami. Po pewnym czasie japoński sąd, który skazał przemytników, wypłacił odszkodowanie za niedozwolone zarekwirowanie mojego samochodu i tym samym cała ta nieprzyjemna sprawa została zamknięta.

Z nową energią podjąłem dalszą ekspansję wewnątrz i na zewnątrz. Świadomie utrzymywałem dobre kontakty z załogą, starając się być jak najczęściej pośród pracowników i spędzać z nimi wolny czas. Powoli rozchodziła się też pogłoska, że w lecie mam zamiar sprowadzić pierwsze autobusy i niektóre z nich oddać na potrzeby zorganizowanych wyjazdów zakładowych. Zatrudnieni przeze mnie robotnicy otrzymaliby możliwość zapoznania się z pięknem swojego kraju. Na pewno nie było łatwo mieć ciągły kontakt z luksusowymi samochodami, ale nie móc zasiąść za ich kierownicą. Zauważyłem, że zdobywam ich zaufanie. Od czasu do czasu przychodzili z osobistymi sprawami, co oznaczało, że nie uważają mnie już tylko za gajina.

Podczas tych rozmów Kioshi Tanaka okazał się szczególnie utalentowanym tłumaczem. Tak zręcznie poruszał tematy polityczne, że ludzie pozbywali się zwykłej nieufności. Raz po raz słyszało się nieśmiałe wyznanie – owszem, gdyby tak rzeczywiście było w chrześcijaństwie, że znikłyby różnice klasowe i jeden troszczyłby się o drugiego – to chcąc cokolwiek osiągnąć, nie trzeba byłoby stosować siły i przemocy. Stopniowo docierało do mnie, że dobrze zrobiłem, zatrudniając Kioshiego na stałe.

Wiedziałem, że kierują nim te same motywy i że z jeszcze większym zapałem zmierza do osiągnięcia tych samych celów. Jemu jako chrześcijaninowi nie musiałem zmuszać go do wyjaśniania moich zamiarów i przekonywać go tak jak Yuriko. Kto wie, czy bez jego pomocy tak szybko nawiązałyby się dobre relacje pomiędzy załogą i kierownictwem. Postanowiłem, że w Nowy Rok dam mu podwyżkę, i przestałem myśleć o znalezieniu dla niego innej pracy.

Ponadto Kioshi nieznużenie troszczył się o dalsze losy mojej propozycji, jaką złożyłem na rzecz organizacji LARA. W niedzielę wspólnie udawaliśmy się do kościoła Świętego Ignacego na terenie Uniwersytetu Sophia. Więcej nie muszę się na ten temat rozwodzić. Ze współpracownika z firmy stał się nieodłącznym towarzyszem, któremu zawdzięczałem więcej, niż sam kiedyś chciałem się do tego przyznać.

Chętnie porozmawiałbym na temat Yuriko i moich planów matrymonialnych z ojcem Tomaszem, ale powołano go na Uniwersytet Fordham. Prosił jedynie, aby przekazać mi podziękowania i pozdrowienia. Ponieważ z pozostałymi profesorami nie nawiązałem jeszcze kontaktu, więc trzymałem się na dystans, próbując na własną rękę zabiegać o nawrócenie mojej narzeczonej. Właśnie teraz potrzebowalibyśmy teologicznego doradcy i eksperta oraz kierownika duchowego.

Kolejny raz miałem przeżyć całą potęgę i urok obcego kręgu kulturowego, gdy przyszło mi uczestniczyć w buddyjsko-szintoistycznym święcie zmarłych stanowiącym jedną z najważniejszych religijnych celebracji.

*

Ktoregoś dnia wieczorem przyjechałem po Yuriko do domku Teruko-san, żeby udać się wraz z nią na party do Tokio Club. Moi przyjaciele zachowali najwidoczniej jej osobę w życzliwej pamięci i chcąc mi sprawić przyjemność, zaprosili również moją tłumaczkę. Chciałem skorzystać z tej okazji i przedstawić ją tam jako narzeczoną, żeby wreszcie położyć kres wszelkim złośliwym plotkom.

Ale Yuriko przygotowywała się chyba do podróży, bo klęcząc zawiązywała właśnie końce jedwabnej chusty, formując spory tobolek. Zamierzała dokądś jechać, teraz, w trakcie semestru? Co się stało?

Wstała i skłoniła się uprzejmie. Nigdy nie opuszczała tej ceremonialności przed serdecznym powitaniem. Podobnie nie udawało jej się nazywać mnie po imieniu bez dołączania doń grzecznościowej sylaby „san”. Mnie natomiast nigdy nie przyszłoby do głowy, że czegoś jej brakuje, gdy zwracam się do niej po prostu „Yu”.

– Mój Donald-san raczy wybaczyć, ale muszę się udać do mojej siostry Midori-san, aby na Komashimie uczestniczyć w święcie O-bon. Zaprosiła mnie, nie jest łatwo odmówić, kiedy ma się uczcić zmarłych.

Wzruszyłem ramionami. Kiedy wreszcie zacznę się orientować w miejscowych zwyczajach? Yuriko sama okazywała zmieszanie, próbując mi udzielić bliższych wyjaśnień.

Ze względu na swoje racjonalne wychowanie nieprzywiązywała większej wagi do zabobonnych rytów. W domu ojca nie celebrowano rodzinnego święta powrotu dusz. Okazało się natomiast, że na polecenie ojca miała porozumieć się z Matsu-san. Chciała więc połączyć jedno z drugim. Zażartowałem z niej – czy ma może znowu przejąć ulotki? Milczała przez chwilę, a ja zacząłem się obawiać, że ją obraziłem. Podeszła do mnie i położyła mi ręce na ramionach.

– Donald-san, byłoby dobrze, gdybyś mógł mi towarzyszyć. Zamierzam wyjaśnić Matsu-san, że wprawdzie w przyszłym roku ukończę studia jako nauczycielka ludowa, ale nie zamierzam otwierać na Komashimie szkoły komunistycznej.

Jej wyznanie zaparło mi dech w piersiach. Potem krew uderzyła mi do głowy. Przyciągnąłem ją do siebie.

– Yuriko! Odżegnałaś się od komunizmu?

Ostudziła nieco mój wybuch.

– Ja... zmagam się, ale nie potrafię już jednostronnie wychowywać dzieci w bolszewizmie. Poznałam zbyt wiele innych orientacji intelektualnych, Donald-san. Jestem za tym, aby wychowywano je w pełnej wolności, bez dawania pierwszeństwa określonej ideologii.

Zastanowiłem się. Być może to pierwszy krok ku zwrotowi do chrześcijaństwa. Na koniec może się okazać, że po ślubie warto stworzyć jej jednak możliwość uczenia dzieci. Pod względem finansowym nie było takiej konieczności, ale z punktu widzenia ideologii... Co by było, gdyby poprowadziła na Komashimie pierwszą szkołę chrześcijańską? Oczywiście będę jej towarzyszył. Dręczyła mnie tylko jedna wątpliwość.

– Powiedz mi, Yu, co ten... ten Matsu ma z tym do czynienia? To przecież prosty rybak jak wszyscy?

– Jest liderem partyjnym na wyspie.

– Ach tak, tylko czy nie wystarczy, gdy twój ojciec wyjaśni mu wszystko? Co ty masz z tym wspólnego?

Na to Yuriko odparła coś, co prawie zważyło mnie z nóg:

– Matsu-san już długo zabiega o moją rękę. Chce, żebyśmy razem wprowadzili na wyspie komunizm i zrealizowali jego program.

Opanowałem się.

– Chce cię poślubić?

– Mój dana-san tak postanowił.

Ścisnąłem ją mocniej.

– Okay, to najlepsza okazja do wyjaśnienia mu raz na zawsze, że nic z tego nie będzie. Sam mu powiem, że należysz do mnie, Yuriko!

Spojrzała na mnie z lękiem.

– Stracilibyśmy wszystko, Donald-san. Matsu-san natychmiast powiadomi o tym mojego ojca, który uważa naszą miłość jedynie za grę, grę dla zabicia czasu, w której nikt nie przegrywa i nikt nie wygrywa.

Zacisnąłem szczęki.

– Najwyższy czas, żeby się dowiedział, jak poważnie do tego podchodzę.

Objęła dłońmi moją twarz. To natychmiast mnie uspokoiło, jak każda z jej delikatnych czułości.

– Donald-san, proszę, nie rób tego, co dyktuje ci serce. Jego porywy nie idą w parze z roztropnością.

Westchnąłem.

– Do licha z całą mądrością, kiedy się kocha! Nie zniosę dłużej tej zabawy w chowanego, Yu. Jestem człowiekiem przyzwyczajonym do otwartości.

– Człowiekiem nieznanym Nipponu.

To się zgadzało. Podporządkowałem się, ale też podjąłem decyzję. Oczywiście telefonicznie zgłosiłem nieobecność na przyjęciu. Niech Jim dalej się złości, a jego żona dąsa. Byłem prawie pewny, że ciągle jeszcze żywi nadzieję przekonania mnie o niedoścignionej wyższości amerykańskich dziewcząt.

– Jadę z tobą, Yu. Kiedy wyruszasz w drogę? Dzisiaj po południu? Well, nie musisz jechać pociągami. Podwożę cię jak wtedy nad brzeg i zamówię łódź motorową. Chyba, jako obcemu, duchy zmarłych nie ukręcają mi zaraz głowy, co?

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

– O-bonjest świętem najgłębszego pokoju. Nikt nie może powiedzieć drugiemu nawet złego słowa. Nie zabija się zwierząt, nawet insektów.

– Doskonale, wobec tego nie muszę się niczego obawiać. Czy komuniści na wyspie też się do tego dostosowują?

Uśmiechnęła się.

– Obecnie jest ich tylko dwóch albo trzech, z Matsu-san na czele. To jego walka, najpierw o ludzi z samej Komashimy, którzy widzą swoją nędzę, ale nie chcą radykalnie się jej pozbyć.

– Skromny naród, nie ma co. Czego domaga się dla nich Matsu?

– Tego co i partia. Najpierw wolnych łowisk dla wszystkich, dalej własnych łodzi i sieci dla drobnych rybaków uzależnionych od koncernów, wreszcie kontroli ludu nad łowiskami i handlem rybnym, no i jeszcze gruntownej reformy przestarzałego prawodawstwa na korzyść ludu pracującego. No cóż, ten cały Matsu wcale nie wydawał się postępować nieroztropnie. Wiedział, czego chce, i otrzymał określone zalecenia z góry, które piekielnie przypominały partyjny program z kontynentu. Yuriko zdawała się czytać w moich myślach.

– Gdyby chrześcijaństwo przedstawiło gotową propozycję, jak można pomóc ubogim, to znacznie więcej Japończyków zwróciłoby na niego uwagę.

Kioshi znalazłby pewnie teraz właściwe argumenty. Ja natomiast milczałem nieco rozzłoszczony. W rzeczy samej, nie było łatwo przybliżyć tym ludziom wiarę. Mieli przyziemne i konkretne wyobrażenie o praktykowaniu religii, a ja powinienem był pamiętać, że wiara bez uczynków nic dla nich nie znaczy. Mieli już dość buddyzmu i szintoizmu zadowolających się wieloma hucznymi świętami, lecz bez najmniejszego wpływu na życie.

Pożegnałem się szybko, żeby mieć czas na przygotowanie do podróży. Ostatecznie nie mogłem samowolnie opuszczać firmy, kiedy przysłała mi na to ochota. Zwłaszcza teraz musiałem trwać na stanowisku. Jeden dzień mogłem być nieobecny. Słyszacemu moje wyjaśnienia Jimowi opadły ręce.

– Coraz lepiej! Więc doszedłeś już do tego, że bierzesz udział w ich święcie zmarłych. Jeszcze trochę i nie zostanie nic dla żywych. Człowieku, jak długo chcesz ganiać za tym pięknym, żółtym butterfly? Przecież i tak go nie złapiesz...

– Chwileczkę, Jim! O tym porozmawiamy później. Przeprós w moim imieniu majora. Chętnie będę do dyspozycji w innym terminie. Na razie ta sprawa jest ważniejsza.

Myślę, że Lesley żywił obawy, iż przejdę na buddyzm.

– No to przygotuj się na coś. O ile wiem, porządne święto zmarłych trwa tutaj pełne trzy dni. Baw się dobrze! Do tego czasu twoja firma może pójść z dymem.

Przyjrzał mi się badawczo. Pewnie czuł, że kierowało mną coś więcej niż tylko ciekawość i chęć wzięcia udziału w typowo japońskim O-bon, ale nie odważył się otwarcie zapytać.

Wyglądając na pogodzonego z losem, patrzył, jak skręcam, aby pojechać po Yuriko. Zdziwiony zobaczyłem, że dziewczyna ma na sobie świąteczny ubiór, więc przy niej prezentowałem się bardzo skromnie. Dobrze, że założyłem przynajmniej ciemny garnitur. Na kolanach trzymała swoje zawiniątko, a na jej twarzy rysowało się coś na kształt oczekiwania.

Czyżby wzruszenie z lat dzieciństwa, kiedy świętowała powrót zmarłych, nie zostało jednak zupełnie wyrugowane przez racjonalne poglądy studium uniwersyteckiego bezwzględnie rozprawiającego się z wszelką tradycją? Czyżby mimo to w jakimś zakątku jej duszy skrywała się cicha tęsknota za bliskim spotkaniem japońskiej rodziny przy szczątkach przodków, czego tak wcześniej pozbawiono ją w domu? Wyglądała tak, jak gdyby oczekiwała co najmniej świąt Bożego Narodzenia.

Kiedy przesiedliśmy się do motorówki, pozostała nadal cicha i małomówna. Jej spokojna podniosłość udzieliła się również i mnie. W milczeniu spoglądaliśmy na szare, jesienne fale stapiające się na dalekim horyzoncie z równie burymi obłokami. Ciemne plamy na wzburzonym żywiole tworzyły jedynie liczne wyspy z rozczochranymi od wiatru sosnami zaczesanymi tylko w jedną stronę. W oddali otulona mgłą pojawiła się Oshima, wyspa śmierci. Niedawno przeczytałem, że groźny wulkan Mihara znowu jest aktywny. Skończyły się więc desperackie skoki samobójców w bulgoczącą otchłań.

Ewentualni wycieczkowicze zbliżający się ku zięjącemu trującymi gazami kraterowi zostaliby zaduszeni oparami siarki albo usmażyliby się w bijącym od niego żarze. Policjanci japońscy w żaroodpornych kombinezonach strzegli obecnie wszystkich dojsć. Pomimo to Oshima nie straciła nic ze swojej magicznej siły. Teraz, późną jesienią, jej widok wywierał jeszcze bardziej ponure wrażenie. Yuriko spojrzała ku niej, ale wyraz jej twarzy pozostał nadal łagodny i opanowany.

Od otwartego oceanu zawiewała lodowata bryza. Zmarzłem nieco, więc ucieszyłem się, gdy dotarliśmy wreszcie do Komashimy. Z nagimi skałami wyspa wydawała się opuszczona. Nieliczne drzewa, z wyjątkiem sosen i jodeł, stały bez liści, rybackie domki skryły się za brunatnymi zboczami. Ku niebu wznosiły się ciemne rusztowania obwieszane suszącymi się sieciami i wyczuwało się atmosferę melancholii spowodowaną być może świstem powiewającego wiatru, uroczystą ciszą i pustką na wybrzeżu, gdzie odwrócone stępką do góry sampany spoczywały na piasku niczym przyczajone zwierzęta.

Po wejściu do domku Midori-san opadło ze mnie napięcie. Zaraz też moją uwagę zwróciła niezwykła czystość wnętrza wysprzątane na święto przodków. Stojący pośrodku hibashi napełniał je błogim ciepłem. Rodzina przykłęka przed otwartą skrzynią, gdzie od dwustu lat składano zapisane imiona zmarłych. Jesienne bukiety z traw zdobiły wnękę tokonoma. Już nad drzwiami zauważyłem słomiane powróśla z białymi papierowymi latarniami. Tu, na ołtarzyku domowym, zobaczyłem je znowu.

Do życia obudziły się dopiero wieczorem, gdy w całej wiosce nadeszła godzina ich uroczystego zapalania. W małej procesji okrążyliśmy chatkę. Wszystkie rozsuwane drzwi stały otworem, aby wpuścić zmarłych, zaś przed wejściem do domu rozpalono otwarte ognisko, by wskazać im drogę. A potem zawieszono nad drzwiami lampiony zaczęły się obracać poruszane ciepłem płomienia.

Przy głębokich pokłonach, którym towarzyszyły ciche nawoływania, dusze zmarłych składały doroczną wizytę. Również przejęte bojaźnią dzieci skłaniały się buziami aż do ziemi. Weszliśmy do środka i z szacunkiem usiedliśmy półkolem wokół ołtarzyka. Po raz pierwszy zobaczyłem męża Midori, krępego mężczyznę o ogorzałej od wiatru twarzy. Opowiadał zmarłym, co się wydarzyło w rodzinie w ciągu całego roku.

Yuriko przykucnęła nieruchomo na piętach naprzeciw mnie po stronie niewiast ze

złożonymi na podolku rękoma. Ani jednym gestem nie zdradzała swojej niewiary. A może wierzyła w tych minutach? Bo przecież i mnie urzekł czar tej sceny. Nie podnosiła wzroku. Ci, których przywoływano, to nie byli jej zmarli ani jej rodziców. Każda kobieta na swoim ślubie musi się pożegnać z kręgiem swoich przodków i czcić odtąd zmarłych swojego męża – stąd białe kimono, w którym symbolicznie umiera dla swojej rodziny, aby w czerwonym odrodzić się w kręgu żywych jej małżonka.

Musiałem przyznać, że i pogański krąg kulturowy miał swoją głębię i wzniosłość. Przeżyłem przybycie bonzy, który zapalił kadzidło, zaniósł modlitwy za zmarłych i pobłogosławił dom. I znowu zobaczyłem, jak wykształcona Yuriko pochyla się głęboko, by dotknąć oczyszczających wstęg papieru z sutrami. Jej siostra z pewnością uważała ją za wierzącą buddystkę.

Nieco później ojciec rodziny rozpoczął świąteczny posiłek. Oczywiście żona ubrana w świąteczne kimono wstawiła najpierw lakową miseczkę z ryżem i sake do wnęki z ołtarzykiem, zapraszając dusze do wspólnego ucztowania.

Wkrótce siedzieliśmy wszyscy razem, rozmawiając wesoło. Dzieci, głośno siorbiąc, wyjadały swoją zupę. Łyżki zdawały się nieznanym jeszcze wynalazkiem. Ja też chciałem spróbować, ale poparzyłem sobie usta. Na szczęście siorbanie należało do dobrego tonu, zresztą w inny sposób nie dało się pić z podanych naczyń. Kiedy z przerażeniem oczekiwałem na chwilę mojej próby, czyli jedzenie pałeczkami, Yuriko ze spokojem wyciągnęła ze swojego węzełka zachodnie sztuce i uratowałem twarz!

Potrawy okazały się ostre, ale podana na koniec herbata gasiła pragnienie. Po raz pierwszy uczestniczyłem w wielkim sukiyaki. Dla tak ubogiej rodziny był to pewnie jedyny dzień, kiedy mogli świętować, a nawet pozwolić sobie na spożycie mięsa wołowego. Pokrojone w cienkie plasterki, smażyono je w trakcie posiłku nad ogniem, zanurzano w sosie sojowym i spożywano na półsurowo. Do tego przegryzało się kolorowe, dzikie zioła. Potrzebowałem trzech czarek herbaty, aby przełknąć ostre przyprawy, które jeszcze długo paliły mnie w żołądku.

Gdyby zabrakło Yuriko, pewnie szybko poczułbym się znudzony, ponieważ nie rozumiałem żywych rozmów, najczęściej wspomnień. Jej obecność wynagradzała mi wszelkie niedogodności; jej ruchy były tak miękkie, szczupła, urodziwa twarz promieniała radością i miłością, a gesty kobiecym ciepłem. Zachwycony, nie mogłem oderwać oczu od tak przemienionej małej studentki. Niesamowita historia – wydawało mi się, że nagle cofnąłem się w czasie o kilka wieków...

Wieczorem nauczyłem się jeszcze czuć dobrze w watowanym japońskim śpiworze i zwinięty na podłodze jak jeź przespać mocno i spokojnie noc. Na prawo i lewo leżeli mali synkowie Midori, nieco dalej ich ojciec. Nie było wcale ciasno. Wszyscy mieli dosyć miejsca, a na wypadek trzęsienia ziemi nic strasznego by się nie stało, jeśli tylko nie okazałoby się ono zbyt silne.

Udając się na spoczynek, Midori-san wygasła jeszcze piecyk, aby nie zaprószył się ogień. Następnie wraz z Yuriko i swoimi małymi córkami znikły za rozsuwaną ścianą. Długo leżałem na podłodze, wpatrując się w ciemność otwartymi oczyma. Czy to duchy zmarłych nie pozwalały mi zasnąć, poszeptując, że to nie miejsce dla mnie i że nie uda mi się zastąpić chrześcijaństwem tak czcigodnych tradycji?

Światelka latarni dopaliły się wreszcie do końca. Zasnąłem dopiero wtedy, gdy zgasło ostatnie. Nie pamiętam, żebym o czymś śnił. Kiedy się przebudziłem, czułem się jak w domu.

*

Drugi dzień upływał na składaniu wizyt. Po obcowaniu z przybyszami z krainy cieni poczułem znaczną ulgę, mogąc powłóczyć się po wyspie z rozbawionymi dziećmi. Bez pomocy tłumacza doskonale radziły sobie z wysokim gaijinem, wiedziały bowiem, że w niezliczonych kieszeniach ma zawsze mnóstwo wspaniałych niespodzianek.

Pomagałem im puszczać ogromne, kolorowe latawce i zostałem głośno wyśmiany, gdy jeden z tych potworów, ozdobiony smoczą paszczą, wyrwał się i odleciał nad morze. Popędziłem jeszcze za nim w nadziei, że kiedy na chwilę ustanie wiatr, uda mi się chwycić wleczony przezeń sznurek. Dzieci okazały się znacznie mądrzejsze i szybciej dały za wygraną, ja natomiast potknąłem się na nierównościach terenu i wyciągnąłem jak długi na ziemi. Za moimi plecami latorośl Midori okazała żywiołową radość.

Przed położonym nieco na uboczu domkiem stał Matsu-san w czarnym świątecznym hakama. Kolejny raz zwróciłem uwagę, jak bardzo jest wysoki i silny w porównaniu ze swoimi drobnymi rodakami. Kiedy odwrócił kościsty profil, można było odnieść wrażenie, że widzi się jakiegoś mnicha buddyjskiego o okrągłej, ogolonej czaszce. Byłem gotów zmierzyć się z nim, ale jego masywna sylwetka zasłaniała smukłą postać Yuriko, podobnie jak ciemny okręt wojenny skrywa w swoim cieniu małą łódkę rybacką. Dopiero gdy w trakcie rozmowy wykonał mimowolny gest i odsunął się nieco, dostrzegłem, że stoi przed nim, również odziana w świąteczny ubiór.

Pewnie mnie szukała i wreszcie sama zdecydowała się rozpocząć czekającą ją rozmowę. Nie chciałem się narzucać. Ponadto wstydziłem się mojego ubrania wybrudzonego po nieszczęsnym upadku. W zagłębieniu terenu nagromadziła się deszczówka, więc wyglądałem okropnie, byłem kamieniem obrazy dla przywykłych do estetyki Japończyków. Przysiadłem na jednym z odwróconych sampanów, próbując doprowadzić się nieco do porządku, zanim się pokażę między dorosłymi. Wyciągnąłem z kieszeni grzebień, poprawiłem fryzurę, podciągnąłem krawat, potem szal, a wreszcie postawiłem kołnierz, ponieważ zimny wiatr gwizdał mi za uszami. Nie chciałem się przyznać przed sobą, że nie bardzo wiem, co powinienem zrobić. Czy wolno mi się wtrącić do prowadzonej na uboczu rozmowy?

Nie spuszczałem rozmówców z oczu. Dopóki nie mieli powodu, żeby się obrócić, nie mogli mnie dostrzec. A ponieważ nie rozumiałem ani słowa, uważałem swoje zachowanie za usprawiedliwione, po prostu pozostałem na miejscu i wyczekiwałem.

Yuriko i Matsu-san dyskutowali zawzięcie. Dziwiło mnie tylko, że odbywa się to na zewnątrz, skoro zwykle Japończycy tak bardzo zwracają uwagę na zachowanie wymogów etykiety. Mężczyzna od czasu do czasu wykonywał kilka energicznych gestów, po czym mówił długo i jak się wydawało z wielkim naciskiem. Yuriko stała nieruchomo. Teraz wypowiedziała kilka słów. I znowu nastąpił monolog Matsu. Powoli wyczerpywała mi się cierpliwość. Niech mu powie krótko i zwięźle, co postanowiła – i koniec. O czym można jeszcze dłużej rozmawiać? Facet nie miał do niej żadnego prawa.

Nagle wytrzeszczyłem oczy – czy dobrze widziałem? Matsu-san chwycił Yuriko za ramię i rozzłoszczony szarpał nią, tak że prawie traciła równowagę. Wpadłem w szal, zapomniałem o moim wyglądzie i w kilku skokach znalazłem się przy nich, o mało się przy tym nie przewracając.

– Hallo, puszczaj, damned fool .

Stałem z zaciśniętymi pięściami. Yuriko była blada, ale Matsu-san ani myślał ją uwolnić. Wreszcie coś do niego szepnęła. Dotarło do mnie, że mnie nie zrozumiał – być może na moje szczęście. Jak gdyby nigdy nic kanciasty rybak skłonił się – odmieniony w sekundę. Moja narzeczona też się już opanowała. Słuchając, jak przedstawia mnie łagodnym, pozbawionym emocji głosem, zrezygnowałem z jakiegokolwiek agresji.

Zaraz też dotarła do mnie dobra angielszczyzna:

– Cieszę się z poznania. Dużo pan zrobił dla japońskich robotników.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Komashima leżała przecież ładny kawałek drogi od Jokohamy. Jakim cudem komunistyczny lider wiedział cokolwiek o mojej firmie? Spojrzałem pytająco na moją towarzyszkę.

– Czcigodny Matsu-san uczęszcza w Tokio na kursy angielskiego – wyjaśniła mi. – Dużo

podróżował i chce zachować kontakt z zachodnim światem dla ludzi z Komashimy, którzy żyją w takim odosobnieniu.

Wymamrotałem, że też się cieszę, spotykając się z taką otwartością na odległej wyspie, choć nie do końca panowałem nad głosem.

Kto tu postradał zmysły – ja czy Matsu? Czy nie widziałem, że nieomal chciał ją uderzyć? A teraz zachowywali się tak, jak gdyby rozmawiali o pogodzie. Zamienili jeszcze kilka zdań po japońsku. Przysłuchiwałem się sztywno. Wreszcie Yuriko odwróciła się do mnie, pogodna i prawie uśmiechnięta. Czy nie mówiła, że podczas święta O-bon nikt nikomu nie wyrządza krzywdy? Jeszcze się okaże, że Matsu tylko żartował, choć na swój rubaszno-rybacki sposób. Wydałem się sobie zarozumiały i wyniosły. W oczach mojego „rywala” nie dało się niczego dostrzec, gdy skłonił się na pożegnanie, ściskając przy tym własne dłonie. Skwaszony człapałem przez chwilę obok Yuriko.

Morze szumiało równomiernie. Jego monotonne tchnienie uspokajało mi skołataną nerwy. Moja towarzyszka zatrzymała się na chwilę, spoglądając na mnie:

– To nie było łatwe, Donald-san. On jest taki jak jego imię – oporna sosna, która mocno wczepia się korzeniami w ziemię. Matsu-san nie chce zrozumieć, że zrezygnuję z prowadzenia czerwonej szkoły.

A więc jednak.

– Dyskutowałaś o tym przed drzwiami?

Przytaknęła.

– Nie chciałam wejść do środka, do jego rodziców. Mogliby pomyśleć, że się porozumieliśmy. Poza tym według obowiązującego tu ciągle starego prawa, nie byłoby dobrze już teraz przekroczyć próg domostwa, gdzie miałabym kiedyś czcić jego przodków.

Podskoczyłem.

– Gdzie miałabyś zamieszkać jako jego żona?

– Owszem – przyznała bez emocji.

Nie pojmowałem jej.

– Yuriko, zachowujesz się tak, jak gdybyś ciągle jeszcze zastanawiała się nad tym, czy nie wyjść na tego komunistycznego bossa!

– O nie, Donald-san, jestem spokojna, ponieważ powiedziałeś, że ty mnie chcesz.

– I to ci wystarczy, nawet wbrew żądaniom Matsu?

– Jeśli miłość nie jest wiernością, to wobec tego czym? – padła cicha odpowiedź.

Przystanęliśmy na brzegu. Rozkołysane fale poruszały całym horyzontem. Wszystko wokół zdawało się poruszać wraz z nimi. Jaka stanowczość promieniowała nagle od tej dziewczyny. Patrzyłem na nią zdumiony.

– Yuriko...

Uniosła dłoń.

– Nie tutaj, Donald-san.

– Ale czy on, Matsu, nie chciał ci zrobić krzywdy?

– Wydaje mu się, że kiedyś będzie moim panem. Myśli, że może rozkazywać córce Moriego, tak jak swoim podwładnym – jej twarz ściągnęła się nagle. – Ale się przeliczył! – zawołała ku fali zbliżającej się ku nam z hukiem, która zaraz opryskała nas mokrą pianą.

Jak bardzo uszczęśliwiły mnie jej słowa! W jednej chwili zapomniałem o swoim rozgoryczeniu. Roześmiałem się z ulgą.

– Chodź, mała Yu, dzielna córko samuraja. Sprawiałaś mi w to święto zmarłych tyle radości, jak gdybyśmy celebrowali zaręczyny.

Zostawiła swoją dłoń w mojej.

– Czy nie powiedziałam ci, że O-bon jest świętem pokoju?

Tak, pokój, zamyślenie, radość, to wszystko promieniowało z tego drugiego kończącego się świątecznego dnia. Ale pełnię wzruszeń przyniósł dopiero ostatni wieczór, gdy wraz z liczną rodziną Midori udałem się ku zachodniemu brzegowi, gdzie zebrali się wszyscy mieszkańcy Komashimy.

Stali odziani w kolorowe oraz czarne kimona Najpierw skłonili się ku zachodzącemu słońcu, w kierunku królestwa cieni. Potem schylili się, by puścić na wodę małe łódeczki uplecione z trawy stepowej i sitowia, mające przenieść z powrotem dusze przodków do krainy ciszy. Maszt każdej z nich stanowiła płonąca świeca, a ładunek miseczka z ryżem i moneta dla niewidzialnego sternika, aby pewnie dostarczył swoich pasażerów w zaświaty.

Gromady ptaków rzuciły się z rejdachem na flotyllę duchów, okrążając ją z łopotem skrzydeł w poszukiwaniu pożywienia, a jednocześnie uciekając przed migotliwym światłem.

– Cześć wam, czcigodni przodkowie, przybądźcie znów za rok!

Obok kłaniającej się bez słowa Yuriko wydałem się sobie nagle opuszczony i wyobcowany, jak ktoś, kogo nie pozdrawia żadna kochająca dusza. Trwało dłuższą chwilę, zanim nie ogarnęła mnie znowu spokojna świadomość prawdy chrześcijaństwa. Kolejny raz zdałem sobie sprawę, co musiało znaczyć dla młodej Japonki, choćby nowoczesnej i światłej, zwrócenie się ku obcej wierze, a jednocześnie do zupełnie obcego, zachodniego świata. Poczulem, że laik nie jest w stanie przetrwać tu mostu. To było zadanie dla doświadczonych misjonarzy, aby rozpinać łuk pokoju pomiędzy Zachodem i Wschodem, i otworzyć na miłość Zbawiciela również kraj Nipponu.

*

Zimą wystawiłem się na ciężką próbę.

Pracowałem w pośpiechu i bez wytchnienia, nie oszczędzając siebie ani ludzi. Pod koniec następnego roku mój ojciec miał zobaczyć imponujący bilans, który rozproszyłby jego skrupuły i utwierdził go w przekonaniu, że jeszcze przez dłuższy czas należy pozostawić synowi możliwość działania w handlu zagranicznym. Japonia miała przynieść większe dochody niż główna centrala w Nowym Jorku. Nic więc dziwnego, że przy takim obciążeniu prawie nie miałem czasu na żadną prywatność. Yuriko uważałem poniekąd za „pewną zdobycz”, dowiodło mi tego jej zachowanie na Komashimie. Teraz całą parą naprzód!

Jeszcze przed samymi świętami Bożego Narodzenia, gdy Tokio już dawno gorączkowo przygotowywało się do Nowego Roku, ja ciągle chodziłem w kieracie. Nic dziwnego. Wtedy właśnie kupowano najwięcej. Najwidoczniej znaczna grupa synów Nipponu mogła sobie pozwolić na prezent noworoczny w postaci samochodu.

W tym czasie niespodziewaną wizytę złożył mi nagle Mori-san. Nie byłem na nią przygotowany, wręcz przeciwnie – zdenerwowany i zmęczony. Zirykował mnie nieco, gdyż nie zjawiał się sam, lecz z całym sztabem „interessantów”, podobno osób, z którymi miał do czynienia w porcie. Chcieli nie tylko zobaczyć moje samochody z eksportu, dowiadywali się nie tylko o warunki wypożyczenia, lecz także prosili, aby udzielić im informacji na temat mojego nowego sposobu budowania relacji z pracownikami.

Oczywiście potrzebowałem pomocy Kioshiego Tanaki, ale właśnie tego dnia dałem mu wolne, aby w metropolii załatwić swoje niezbędne, prywatne, noworoczne zakupy. Chcąc nie chcąc, musiałem się więc zadowolić tłumaczem, którego przyprowadził Mori-san. Pan Bóg raczy wiedzieć, skąd go wytrzasnął. Źle na pewno nie wyglądał, zresztą wszyscy przybysze byli ubrani w ciemne garnitury, sprawiając uroczyste wrażenie, co tuż przed głównym świętem Japończyków wcale mnie nie zdziwiło. Gdybym tylko wtedy wiedział, z jakich pochodzą kręgów.

Nie sprawiali wrażenia komunistów. Odrzuciłem tę myśl. Natomiast tłumacz z pewnością nie był rodowitym Japończykiem. Rysy miał wprawdzie azjatyckie, lecz włosy i oczy jasne, co rzadko się widziało wśród tubylców. Mogło się przecież zdarzyć, że kierownictwo większego przedsiębiorstwa eksportowego zasięgało języka na temat niezwykłego dla nich eksperymentu przeprowadzanego przez cudzoziemca. Takie instytucje dysponowały własnymi tłumaczami.

Jedno pytanie zdawało się potwierdzać moje przypuszczenia. Z uprzejmym uśmiechem wysoki blondyn wyjaśnił mi, że właśnie widzę kierownictwo japońskiego przedsiębiorstwa żeglugowego, w którym Mori-san zatrudniony jest na dodatkowym etacie. Oczywiście wyraża mu się wielką wdzięczność za zwrócenie uwagi na moje fascynujące poczynania.

Mój rozmówca robił notatki niczym reporter. Poczułem się nieswojo. Jeszcze dojdzie do tego, że jutro zobaczę swój portret na pierwszej stronie „Ashai” – co uważałem za nieco przedwczesne. To przecież dopiero początki. Oby tylko nie chcieli przeprowadzać wywiadów z załogą. W ostatnim czasie wszyscy musieli trochę bardziej wyteńczyć siły i przyzwyczaić się do tego, co w Ameryce oznacza „tempo”.

Ale moi goście nie mieli takiego zamiaru. Zaskoczyło mnie tylko trochę, że nagle tłumacz nachylił się poufnie w moją stronę, pytając, czy mógłby sobie pozwolić na złożenie propozycji, i że nie byłoby złym przedsięwzięciem, gdybym tytułem próby na pół roku zdecydował się wypożyczyć przedsiębiorstwu żeglugowemu kilka moich pojazdów. Rozważa się bowiem, by towary z importu dostarczać klientom na miejsce również samochodami. Oczywiście należało się najpierw upewnić, jaki rodzaj pojazdu byłby najodpowiedniejszy do wykorzystania na nie najlepszych drogach lokalnych.

Zdziwiło mnie to trochę, ale nie widziałem powodów, żeby nie zastanowić się nad tą sugestią, tym bardziej że większa firma po skorzystaniu z naszej usługi z pewnością wyrazi gotowość zakupu większej liczby nowych samochodów. Zawsze można przecież negocjować.

W tym czasie nasz barak-herbaciarnia ustąpił miejsca eleganckiemu pawilonowi. W planach budowy nowych hal fabrycznych przewidziano również i jego powstanie. Z nieukrywaną dumą poprowadziłem tam moich gości i wkrótce siedzieliśmy przy stole. Naprzeciwko mnie zajął miejsce

Mori-san. Dzisiaj sprawiał wrażenie bardziej swobodnego. Surowa nieruchomość jego szczupłego oblicza ustąpiła miejsca żywej mimice, a mnie wydawało się, że widzę w niej napięcie, ciekawość oraz nerwowość, a niekiedy iskrę ironii. Szkoda, że nie rozumiałem jego słów. Tłumacz przekładał jedynie to, co wydawało mu się istotne dla mnie. Brakowało mi bardzo wiernego Kioskiego. Jeszcze zanim wrócił z wyprawy do Ginza, już opracowałem i podpisałem umowę. Ryzyko wydawało mi się stosunkowo niewielkie, gdyż panowie zapewniali, że są zainteresowani podjęciem stałej współpracy. Wreszcie udało mi się ich pożegnać. Yuriko stała już przy wejściu do firmy, gdy spoglądałem za nimi, głęboko przekonany, że udało mi się sporo osiągnąć. W dobrym humorze opowiedziałem jej o osiągniętym sukcesie. Czy wydawało mi się, czy naprawdę na jej twarzy pokazały się na chwilę zaniepokojenie i lęk? Wmówiłem sobie, że pewnie żałuje, iż nie udało się jej spotkać z ojcem.

– Znasz tę firmę, Yu? Mam na myśli to przedsiębiorstwo żeglugowe?

Odwróciła się.

– O, Donald-san, studia są tak wyczerpujące, bo to już ostatni rok. Nie mogę się troszczyć o wszystko, tak jak przedtem. Wybacz mi, proszę!

– Nic nie szkodzi, darling. Najważniejsze, żebyś pomyślnie zdała egzaminy. One właśnie mają dla nas o wiele większe znaczenie niż moje interesy z twoimi rodakami.

– Z moimi rodakami... – powtórzyła bezdźwięcznie, spoglądając za grupą mężczyzn przyprawdzonych przez jej ojca. – Ten wysoki blondyn to gajjin.

– Tłumacz, Koreańczyk?

Zaczerwieniła się.

– Rosjanin. Rosjanie są bardzo utalentowani językowo, chętnie zatrudnia się ich na takich stanowiskach.

Spojrzała na mnie z udreką na twarzy. Podszedłem bliżej:

– Yuriko, czy też doradzałybyś mi zawarcie umowy, gdybyś tu była?

Spuściła głowę.

– Ja... właśnie powiedziałam, Donald-san, że nie mam już dobrych kontaktów... nie wiem. To nowe przedsięwzięcie. Japonia odbudowuje właśnie swoją flotę. Musimy przyjąć każdą pomoc, jaką się nam oferuje.

– A Rosja na pewno chętnie to robi?

Milczała wyczerpana i smutna. Nagle zrobiło mi się jej żal. Postanowiłem nie pytać więcej. Co mogła mieć wspólnego z machinacjami swojego ojca? Nie wolno mi było jej tym obciążać.

– Well, Yu! Nie martw się. Nie jestem w ciemny bity. Od razu wiedziałem, co się za tym kryje, chociaż udawałem niezorientowanego. Zawarłem tę umowę, bo nie chcę narażać całego przedsięwzięcia. W swoim czasie wrócę do tej sprawy. Twój ojciec uważa mnie za politycznego ciemniaka, jeśli wydaje mu się, że łatwo mu ze mną pójdzie.

– Co zamierzasz, Donald-san?

Ująłem ją za rękę.

– Na razie nic, darling, zachowam tylko czujność. Wystarczy ci to?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

Otoczyłem ją ramieniem i poprowadziłem w stronę domu.

– Miło cię znowu zobaczyć. Dla mnie to też był ciężki czas. Nie możemy pozwolić, żeby polityka zepsuła nam świętowanie Nowego Roku. Musisz mi jeszcze pomóc w wyszukaniu prezentów, Yu. Kiedy będziesz mieć czas dla mnie?

Przeciągnęła ręką po włosach.

– Moja fryzura, Donald-san, jeszcze nie mam nastroju na świętowanie. Tylko u samego fryzjera spędzę parę godzin.

– A potem musisz jeszcze znaleźć nowe kimono?

– Tak, ale mam tanią krawcową... ja...

Przytuliłem ją mocniej.

– Nie, pojedziemy razem na zakupy. Ty dasz uśmiech, a ja dolary. Koniec. Na rok przed ślubem mogę ci sprawić tę radość. Chociaż raz postąpimy według zachodniego zwyczaju. To

służbowy podarunek dla ciebie. Kupno oficjalnego kimona służącego jako ubiór podczas prowadzenia negocjacji nie ma nic wspólnego z nabywaniem zwykłych ubrań. Będziemy musieli dostarczyć pojazdy również do kręgów rządowych. Przy tej okazji będę potrzebował tłumaczki w oryginalnym japońskim stroju, okay.

Yuriko ustąpiła.

– Jak mój Donald-san rozkaże.

– Doskonale, niniejszym wydaję takie polecenie: jutro popołudniu. Dla mnie to już ostatni dzwonek, bo będzie Wigilia i przed zmierzchem muszę wrócić. Czekam na ciebie na parkingu.

Ucałowałem szybko jej dłoń. Wyrwała się i zawstydzona pobiegła szybko w swoją stronę. Jedno krótkie spotkanie z nią, i już rozwiewały się wszelkie ciemne domysły. Dopóki miałem Yuriko, nie bałem się żadnych kroków ze strony jej ojca. Wiedziałem jednak, że będę musiał powiadomić policję, gdy tylko zdarzy się coś, co wygląda na przemyt.

Cała sprawa okazała się mniej skomplikowana, niż oczekiwałem. Niech czerwony boss ze swoim sztabem obejrzą sobie moją firmę i zainteresują się organizacją spraw socjalnych. Być może czegoś się nauczą! Mnie nie mogło się przy tym wiele przytrafić.

Na razie jednak planowałem uwolnić się od ciężaru uciążliwych tygodni pracy i przygotować do przeżycia Wigilii, którą zawsze bardzo lubiłem. Myśl o tym, że zanim zakosztuję spokoju, będzie mi towarzyszyła Yuriko, gdyż chciałem się postarać o podarunek, który ją ucieszy, czyniła lżejszą czekającą mnie perspektywę ponownej wizyty w hałaśliwym centrum Tokio.

*

Przez Sukiwabashi i Ginza nie dało się przejść. Wszędzie ścisk, ruch i gwar niezliczonych ludzkich tłumów. Nippon przyswoił sobie nowe święto zwycięzców – Christmas. Jeszcze jeden powód, aby przyspieszyć nieco noworoczne zakupy. Widząc natłok śmiejących się, spoconych, rozgorączkowanych zakupami ludzi byłem przekonany, że stawiają Boże Narodzenie na równi z japońskim świętowaniem Nowego Roku. Czy choć niektórzy z nich, przyjmujący Christmas jak każdy zachodni zwyczaj, mieli jakieś pojęcie o jego religijnej treści? Merry Christmas! krzyczało ze wszystkich plakatów, grzmiało z wzmacniaczy ponad głowami mas, błyszczało w miliardach latających srebrnych gwiazdek, raziło z jaskrawo przystrojonych choinek, chichotało z głupawych masek puciołowatych „mikołajów”. Czar domów towarowych Nowego Jorku przeniesiony do Tokio – nigdy go nie znośiłem.

Dlatego poczułem się szczęśliwy, gdy wreszcie zamówiliśmy i zakończyliśmy zakupy dla pracowników. Tym razem miały nam zostać dostarczone bezpośrednio do firmy, całkiem jak w Ameryce. Wkrótce znaleźliśmy się w małym, eleganckim etablissement zajmującym się sprzedażą kimono z brokatu i jedwabiu. Tu pojawiały się wyłącznie córki Nipponu z wyższych sfer. Skromne dziewczęta mogły jedynie tęsknym wzrokiem przyglądać się nieosiągalnym wspaniałościom, na które pozwolić sobie mogły tylko księżniczki z cesarskiego dworu oraz słynne aktorki kabuki.

Również studentka Yuriko Mori stała tu kiedyś, obracając w kieszeni parę jenów. Teraz przyjmował ją rozplywający się w uprzejmościach manager, traktując niczym wielką damę. Jej policzki płonęły, ale na zewnątrz pozostała opanowana i spokojna, jak gdyby codziennie załatwiała podobne sprawunki. Podziwiałem ją w duchu.

Zapadliśmy się w głębokich klubowych fotelach, a zwiewne manekiny – wszystkie już z eleganckimi fryzurami noworocznymi i uszmkowane niczym alabastrowe lalki – zaprezentowały nam wspaniałe jedwabie i złote brokaty. Jedno kimono wspanialsze od drugiego. Nie dało się od nich oderwać oczu. Yuriko siedziała nieruchomo. Czyżbym to ja miał dokonać wyboru?

Nieomal zerwałem się z miejsca, gdy dojrzałem purpurową szatę ozdobioną białymi kwiatami jaśminu, zaprezentowaną nam z uśmiechem i tanecznym krokiem przez modelkę o posturze dziecka i wielkich jak u gazeli oczach. Prawdziwy poemat barw, form i gracji.

– To, Yu, żadne inne.

Pochyliła się ku mnie, jak gdyby cofając się przed płomienistą czerwienią jedwabiu.

– Ależ Donald-san, to znowu kimono ślubne...

– Well, nie chcę cię oglądać w żadnym innym. To barwa miłości.

– Życia – dodała cicho, spoglądając na mnie. Tak, wreszcie mogłem naprawić moje faux pas z zeszłego roku, kiedy podarowałem jej biały strój.

– Skoro tak sobie życzysz, Donald-san. Ty decydujesz. Ale mogę je nosić jedynie tam, gdzie nikt nas nie zna.

Przytaknąłem.

– Już się o to postaram. My lady, bierzemy to czerwone kimono. Proszę je zaraz zapakować. Nie, nie przysyłać do domu, weźmiemy je ze sobą.

Wydawało mi się, że muszę walczyć o ten wspaniały ubiór, jak gdyby ktoś chciał mi go odebrać.

Yuriko siedziała ze spuszczonej oczyma.

Sprzedawca o nienagannych manierach nie mrugnął nawet okiem, i bez naszych wyjaśnień widział, w jakich jesteśmy relacjach. Pomimo to, gdy opuszczaliśmy salon, jego ukłony godne byłyby panujących książąt. Pachnący jedwabny pakiet przyniesiono nam do samochodu. Rozkojarzona Yuriko trzymała go na kolanach. Żywy poemat miłości był teraz jej! Do kimona należał jeszcze obi ze złotego brokatu wyszywany perłami! Zamknęła oczy, jak gdyby oglądała siebie niczym we śnie.

Serce przepelniało mi szczęście. Wreszcie udało mi się sprawić jej radość, być może spełnić dawno żywione dziewczęce marzenie, o którego urzeczywistnieniu nie odważyłaby się nawet pomyśleć. Kiedy jednak spojrzałem na nią z boku, przeraził mnie wyraz jej twarzy – na urodziwym, smukłym obliczu malował się bezbrzeżny smutek i ból. Opadły mi ręce.

– Yu, co się dzieje?

Drgnęła wystraszona.

– O, nic, Donald-san. Przypomniałam sobie tylko pewien japoński wiersz miłosny.

Położyłem moją rękę na jej.

– Zadeklamuj mi go, darling.

Spojrzała na mnie błyszczącymi oczyma.

Niezbyt cenne wydaje mi się życie. Jednakże,

ponieważ tak bardzo cię miłuję, pragnę,

bym żyła jeszcze długo, długo,

by rozkoszować się moją miłością.

Byłem wstrząśnięty, ale ze względu na nią zaraz się opanowałem.

– Yu, sweetheart, kimono, które ci podarowałem, jest płomienście czerwone. Czy nie powiedziałaś sama, że to kolor życia? Dlaczego w tak pięknych chwilach myślisz o przemijaniu?

Yuriko odetchnęła głęboko.

– Wszystko, co jest, przemija, Donald-san.

Smutna pociecha Buddy.

– To, co jest w miłości, pozostaje, Yuriko. Dowiodę ci tego, że pozostaje, zawsze, bez końca. W tym kimonie zostaniesz kiedyś moja.

Chwyciłem za kierownicę. Musiałem ją jakoś rozerwać, a tłumne Tokio nadawało się do tego znakomicie. Przyszła mi do głowy pewna myśl:

– Yu, czy chciałabyś zrobić podarunek na gwiazdkę również mnie?

Popatrzyła z lękiem.

– Tak, Donald-san. Tylko czym mogłabym ci sprawić radość? Nie mam tak wspaniałych podarunków.

– O wiele większe, Yu. Czy mogłabyś po raz pierwszy wraz ze mną świętować Boże Narodzenie w chrześcijańskiej świątyni?

Dojrzałem, jak się kurczy, więc delikatnie przytrzymałem jej dłoń.

– Tylko jeśli odczuwasz taką wewnętrzną potrzebę, Yuriko!

Jej usta zadrzały.

– Donald-san, ja... kiedy mój dana-san zgodził się, żebym dalej studiowała na Seishin-Daigaku-in, musiałam mu uroczyście obiecać... – Zamilkła.

– Tak?

– Musiałam mu obiecać, że dokąd nie ma nade mną władzy inny mężczyzna, nie przekroczę progów chrześcijańskiego domu modlitwy.

W moim wnętrzu coś zgasło. Czy była to bożonarodzeniowa radość, która nagle zgasła jak światło?

Pochwyciła moją dłoń, i nagle zrozumiałem.

– Well, Yu, już niedługo. W następne święta będziemy parą. Wtedy zrobisz to, czego pragnę. I nikt już nie będzie mógł ci niczego zabraniać.

Przytaknęła.

Bez słowa ruszyliśmy z miejsca, bardzo powoli, gdyż inaczej nie dało się jechać. Wszędzie w szerokich ulicach przecinających dzielnicę handlową błyskały kolorowe neony.

Nagle musieliśmy się zatrzymać. Objazd. Co się stało? Żandarm uśmiechnął się uprzejmie.

– Nothing, sir, to tylko nasz orszak świąteczny. Przeciąga głównymi ulicami. Sorry, ale musieliśmy wstrzymać ruch. O, właśnie nadciąga...

Wysiedliśmy. Zbliżał się orszak bożonarodzeniowy sił okupacyjnych. Już o nim słyszałem. Oddałbym wszystko na świecie, żebyśmy go teraz nie spotkali. Tłumy Japończyków stały przy krawężnikach, klaszcząc, śmiejąc się i wiwatując, jak gdyby widziały pochód karnawałowy. Nie inaczej też to wszystko wyglądało. Merry Christmas! Udekorowane pojazdy, jeepy i ciężarówki wojskowe od góry do dołu przybrane zielenią i błyskotkami. Ogromne figury postaci z bajek,

mikołaje, billboardy z reklamami, dzwonki, symbole z całego świata, głośniki grzące świeżo importowanym szlagierami, a pośrodku tego zamieszania platforma wioząca słodkie „Dzieciątko” i złotego „Anioła”,

Odwróciłem się. Gapie z pewnością nie widzieli żadnej różnicy między ich własnymi szintoistycznymi, głośnymi procesjami, podczas których po ulicach obnoszono kolorowe wizerunki bóstw, a tym, co się teraz działo. Skinąłem na Yuriko.

– Chodź, darling.

– Ale to przecież Boże Narodzenie!

– Nie, to tylko biznes, chodź, proszę!

Z jej spojrzenia przebijała obawa. Co mnie tak rozzłościło?

Właśnie to – a ja nie mogłem jej pokazać ubranego świątecznie kościoła, szopki, podniosłej pasterki! Z trudem opanowałem irytację.

Zatrzasnąłem drzwiczki auta i ruszyłem w kierunku objazdu.

Pod domem już spokojniejszy pomogłem jej przy wysiadaniu. Zapadł już zmierzch.

– Zapomnij o tym, co widziałaś, Yu. To nie było Boże Narodzenie. Tak naprawdę przeżyjesz je później.

Skloniła się posłusznie. I znowu poczułem ukłucie w sercu, musząc pozbawiać ją niewinnej radości. Chciałem przecież zgotować jej jeszcze większą, gdyby czas pracował dla nas. Jeszcze przez rok.

Przyciągnąłem ją szybko do siebie.

– Mimo wszystko, wesołych świąt, Yu!

– Merry Christmas! – odparła uprzejmie.

*

W tokijskim Ginza Catholic Club przeżyliśmy potem małą świąteczną uroczystość. Tym razem nie mogłem odrzucić podwójnego zaproszenia.

I w tym względzie Yuriko okazała się roztropniejsza ode mnie, gdyż ja przywykłem do forsowania wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy. Długo mnie przekonywała, aż wreszcie ustąpiłem i nie nalegałem, aby założyła zaraz nowe kimono. O jej zachowaniu mogły się dowiedzieć środowiska japońskie, a kto wie, z jaką pogardą spotkałaby się wówczas jako dziewczyna zapominająca o swojej czci.

Nie omieszkałem jednak, stojąc pod wspaniale przystrojoną choinką, oficjalnie przedstawić ją jako moją narzeczoną. Gdybym tylko mógł zaoszczędzić jej widoku twardej twarzy na te słowa pewnych twarzy. Major uratował sytuację wzniesieniem głośnego toastu.

– O, Grane, gratuluje! Łatwiej przychodzi mi poprosić o coś, na co już od dawna miałem ochotę. Otóż miałem zamiar uprowadzić panu uroczą narzeczoną, żeby nie popełnił pan dalszych szaleństw.

Ugryzł się w język. Najwidoczniej wino zaszumiało mu w głowie.

– No cóż, wszyscy kiedyś byliśmy młodzi. Rozumiem pana. Ale wydaje mi się, że postąpię jak prawdziwie ojcowski przyjaciel, prosząc, aby powierzył mi pan pannę Mori na jakiś czas, tak będzie lepiej dla was obojga!

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia, po co, i czego się pan spodziewa.

Usunęliśmy się w kąt. Prawie nikt nie składał gratulacji.

Major zagał swoją perorę:

– No więc, Grane-san, nie jest pan jedynym, który haruje w tym kraju. Ja mam to już za sobą, i dlatego lekarz pułkowy zalecił mi kilkutygodniowy pobyt w kuchni diabła, to znaczy w gorących źródłach siarkowych w Miyanoshita. Mam tu jednak rodzinę, którą chciałbym zabrać ze sobą. Krótko mówiąc, potrzebuję wykształconej młodej damy, która zajmie się moimi dwiema małoletnimi córkami.

Machnąłem ręką.

– Ależ, majorze, pańskie córki wyrosły już z tego wieku, kiedy potrzebowały opiekunki!

– Właśnie dlatego, Grane. Pan tego nie rozumie, ale podlotki są jeszcze trudniejsze do upilnowania, szczególnie w tym kurorcie u stóp Fudzi. Zażyczyły sobie, że jeśli już muszą mieć guwernantkę, to Japonkę, oczywiście, żeby móc się pochwalić przed swoimi przyjaciółkami. Przy tej okazji panna Mori mogłaby nauczyć je trochę japońskiego, oczywiście, jeśli będzie miała ochotę!

Chciałem już uprzejmie, lecz zdecydowanie odmówić, ale dostrzegłem, jak Yuriko przysłuchuje się z przejęciem wywodom majora. Miyanoshita – no tak, już sobie przypomniałem, przecież prosiła mnie, żebyśmy tam kiedyś pojechali, wszak Jim Lesley wrócił stamtąd zafascynowany.

– Hm, muszę to przemyśleć. Pan najwidoczniej chce zrujnować moją firmę, majorze. Nie mogę się pozbywać tłumaczki.

– Proszę się zgodzić. Do tego czasu i pańskie zdrowie będzie potrzebowało kuracji w gorących źródłach. To już po panu widać. Człowieku, czy nie widzi pan, jaka perspektywa staje przed panem?

Spojrzałem na niego. Cztery tygodnie z Yuriko w raju Nipponu, w najpiękniejszej okolicy, wiosną...

Przemogłem się.

– Nie da rady, majorze. Panna Mori ma obowiązki względem rodziny. Poza tym nie uchodzimy w kręgach japońskich za narzeczonych. To byłoby pod każdym względem przedwczesne!

Major nachylił się ku mnie.

– Do licha, z całym szacunkiem dla pańskich zasad. Ale przecież nie musi pan zamieszkać w hotelu Fujiya tak jak ja.

– Niech mnie pan nie kusi, majorze. Wystarczy, że jeszcze rok musimy czekać ze ślubem. Westchnął.

– Pańska sprawa, irlandzki męczenniku! Skoro taka pańska wola... Niech pan sobie przynajmniej pozwoli na okazjonalny spacer z narzeczoną pod kwitnącymi mimosami. Wtedy to moje córki będą mogły odegrać rolę guwernantek.

Znów spojrzałem na Yuriko z napięciem wodzącej wzrokiem po naszych twarzach.

– Nie chcę psuć radości mojej narzeczonej. Niech sama zdecyduje, czy chce spędzić ten czas w Miyanoshita, czy w Jokohamie.

Major się uśmiechnął.

– No to załatwione, well, panno Mori?

Yuriko spuściła głowę, a potem zrobiła coś niezwykłego.

Wstała i stanęła obok mnie.

– Należę do pana Grane-san – zadeklarowała formalnie.

Wstrząsnęło mną. Podałem jej rękę.

– Yu, dziękuję! Pojedziesz, oczywiście. Muszę ci nakazać? Jedziesz do Miyanoshita, żeby wypocząć przed końcem ostatniego semestru. Kiedy to będzie, majorze?

– W maju, oczywiście. No, to dobiliśmy targu, panno Mori!

Chwycił ją po prostu za rękę i potrząsnął energicznie. Kiedy się do niej uśmiechnąłem, na jej twarzy zobaczyłem przepelniającą ją radość. Wiedziałem, że była i pozostanie moja, gdziekolwiek będzie.

*

Do maja było jeszcze daleko, ale mnie szybko mijały tygodnie i miesiące.

Chciałem udowodnić majorowi i wszystkim innym, że dokonałem czegoś w tym kraju i że odniesione na wojnie rany nie przeszkadzają mi w tym w najmniejszym stopniu. Wysyłaliśmy nasze samochody aż na Kiusiu. Zamówienia nadchodziły nawet z odbudowywanej właśnie Hiroszimy. Zakłady Grane General Motors stały się powszechnie znane. Nie sprawiło mi żadnej różnicy przyjęcie ofert jeszcze kilku innych instytucji, takich jak owo przedsiębiorstwo żeglugowe, które okazało się godnym zaufania partnerem.

Szanowano nasze pojazdy. Prawie nie zdarzały się wypadki, właściwie nie ponosiliśmy strat. Dotrzymywano terminów umów, płacono żądane należności. Najwidoczniej wyrosłe z mojej nieufności zastrzeżenia pod adresem Moriego okazały się bezpodstawne. Mógł być opętany ideą reformy szkolnej zwolennikiem komunizmu, lecz nie agentem w służbie obcych mocarstw. Wyraził nawet zgodę, gdy jego córka zdecydowała się udać do jaskini lwa, do obozu znienawidzonych kapitalistów w Miyanoshita. Pewnie myślał, że dzięki tym doświadczeniom więcej się nauczy o zachodnim kapitalizmie niż na wszystkich wykładach. W tym względzie miał trochę racji. Wprawdzie znałem kurort z opowiadań Lesleya, ale nie omieszkałem zawieźć tam Yuriko i zobaczyć, jak się jej spodoba.

Nie wróciła jeszcze całkiem do zdrowia po ciężkim zimowym przeziębieniu, a już zajęły ją studia. Cieszyłem się więc, że mogę jej zorganizować prawdziwe ferie. Poza tym, czy nie działałem egoistycznie, kiedy przez dwa ostatnie lata z oczywistą regularnością korzystałem z jej pomocy?

Zwrócił mi na to uwagę Jim Lesley. Zapalił się zaraz, słysząc o Miyanoshita i nie pojmował wcale, dlaczego nie skorzystam z okazji i też nie odpocznę. Ale takie sprawy mężczyzna uzgadnia sam ze sobą.

Im bardziej kochałem Yuriko, tym mocniej z tygodnia na tydzień tęskniłem za nią. Myślałem też o obietnicy danej mojej matce. Wcale nie przychodziło z łatwością żyć tak, jak nauczyła mnie w dzieciństwie. W obcym kraju nie musiałem zdawać sprawy przed nikim, tylko przed własnym sumieniem. Nie wstydzę się przyznać, że w niejednej godzinie pokusy modliłem się do mojej matki, tak jak robię to teraz. Chciałem nie tylko dotrzymać tego, co obiecałem. Było coś jeszcze, głęboko i ze wstydem ukrywane w sercu, do czego sam przed sobą z trudem się przyznawałem. Chciałem być chrześcijaninem.

Tak, nie tylko skorzystałem w firmie z zasad społecznej nauki Kościoła. Należało pójść dalej. Pomyślałem o ojcu Tomaszu. Jeśli chcieliśmy być przekonujący, to musieliśmy żyć zgodnie z tym, w co wierzymy. Tych spraw nie dało się rozdzielić. Yuriko musiała odczuć, że kocha chrześcijanina, nie innowiercę – i mężczyznę, który nie plami imienia swojego narodu.

Nie przejmując się dłużej gadaniem innych, postanowiłem sprawić sobie przyjemność krótką wyprawą ku Fudzijamie właśnie w ten dzień, kiedy towarzyszyłem majorowi i jego rodzinie, a wraz z nimi Yuriko, w drodze do Miyanoshita.

Mieliśmy piękny wiosenny dzień.

Powoli wjeżdżaliśmy na przełęcz Long Tail, mijając łagodne górskie zbocza porośnięte bujną roślinnością o świeżym listowiu, prawdziwą ucztę dla oka. Błękitem i zielenią mieniły się zalane wodą ryżowe pola, na których w długich rzędach pracowały kobiety i dziewczęta z podkasanymi spódniami i w białych chusteczkach na głowach oraz głęboko pochyleni mężczyźni plewiący chwasty. Wykorzystywano każdą piędź ziemi. Z położonej wyżej drogi wyglądało to jak ogromna zabawka rozłożona na czystej szachownicy do ostatka uformowanego przez ludzi krajobrazu. Lecz jakież trud, ileż potu, jaka nędza skłaniała tych ludzi do pielęgnowania każdego kłosa niczym daru Boga!

Przed chatami o potężnych słomianych strzechach, nie podnosząc wzroku pracowały nawet dzieci.

Od czasu do czasu napotykał się ciągnięte przez woły wozy usuwające się powoli z drogi. Mężczyźni nosili tylko wytarte i wyblakłe płócienne spodnie podwinięte pod kolana. Temperatury okazały się prawdziwie letnie! Zdjąłem marynarkę i złożyłem dach samochodu, żeby było lepiej wszystko widzieć.

Yuriko w słonecznikowożółtej letniej sukience, w słomianym kapeluszu lawendowego koloru na głowie i uśmiechem szczęśliwej narzeczonej na twarzy delectowała się otaczającą nas przyrodą. To przecież mogła być nasza podróż poślubna, przemknęło mi przez głowę. Teraz natomiast byłem tylko towarzyszem na krótki czas i każda minuta liczyła się podwójnie. Zaraz za nami jechał samochód majora. Na mniej niebezpiecznym odcinku jedna z jego córek bliźniaczek próbowała sama usiąść za kierownicą – i ktoś taki potrzebował guwernantki! Nie mogłem pozbyć się natrętnej myśli, że uprowadzając mi Yuriko, major robił to z rozmysłem, ale nie odgadłem przyczyny. W każdym razie nie musiałem się martwić, gdyż na pewno zatroszczy się o nią.

Za następnym zakrętem rozbłysło błękitem pierwsze jezioro wulkaniczne, jedno z pięciu najbardziej znanych i rozsianych po okolicy, aby królewski wulkan Fudzi, gdy był łaskawy, mógł w nim obmyć swoje oblicze. Na razie jego stożkowaty wierzchołek spowijały poranne mgły, lecz patrząc na wzniosłe, pokryte gęstą zielenią zbocza, można się było domyśleć ukrytego majestatu.

Kołyszące się przy brzegu trzciny, połyskujące fale i kolorowe ryby skaczące ku słońcu! Wdychając powietrze, delectowałem się nim jak winem. I nagle okrzyk zachwytu. Pod ciemną zielenią klonów wznosiła się purpurowa shinto-tori. Co za idylla! Pod tym łukiem chciałem sfotografować Yuriko. Nie, lepiej byłoby nakręcić cały film. Jak wspaniałym kontrastem odbijałaby się jej żółta suknia na tle zieleni i czerwieni. Należało na zawsze utrwalić każdą chwilę.

Ale musieliśmy jechać dalej i im bliżej byliśmy gorących źródeł siarkowych w Miyanoshita, tym mniej było rozmarzonej ciszy. Pojawiło się za to więcej pojazdów, droga stała się lepsza i za kolejną serpentyną dojrzelśmy kurort z wyniosłym, luksusowym hotelem – Fudzija! Niczym wspaniały zamek wtapiał się w krajobraz, jasny, potężny, a jednocześnie dostojnie dystyngowany. Na tarasach na podobieństwo ogromnych motyli przykucnęły parasole, pod którymi zamożni Amerykanie rozkoszowali się pięknem okolicy, zażywając wszystkich przyjemności wypoczynku. Tu i tam poruszało się kolorowe kimono – z pewnością obsługujący gości personel hotelowy. Gdy podjechaliśmy bliżej, dojrzałem, że to opiekunki do dzieci, młode Japonki zatrudnione przez urlopowiczów. Najwidoczniej był to nowy przejaw mody należącej teraz do dobrego tonu.

Kiedy major wraz z rodziną obejrzał pokoje, a Yuriko dowiedziała się, gdzie przez cztery tygodnie zamieszka z bliźniaczkami, pozostawili nas wreszcie samych. Ja jeszcze tego samego popołudnia musiałem wracać do Jokohamy.

Chcieliśmy uniknąć towarzystwa innych gości, chociaż oni – manierą zamożnych – zdawali się nie troszczyć o swoich sąsiadów, więcej – nie interesowali się nawet tym, co dzieje się przy najbliższych stolikach. Czułem bijące od nich lodowate tchnienie śmierci, swym zachowaniem sprawiali wrażenie, że mniej bogaty i wytworny padnie natychmiast trupem u ich stóp. Oni natomiast, żując gumę, przejdą nad nim, przyzywając gestem boya z poleceniem, aby następnym razem szybciej usuwano z drogi podobne przeszkody.

Wydawać się może, że przesadzam, ale na polu golfowym przeszliśmy koło grupy ludzi tak intensywnie zajętych sobą, że zdawali się oddaleni o miliony lat świetlnych od swoich bliźnich. Nawet ich zainteresowanie sportem miało w sobie coś dziwnego – zachowywali się tak, jak gdyby oglądali film, biernie uczestnicząc w toczącej się akcji.

Czy Yuriko będzie się dobrze czuła w tym towarzystwie? Pewnie jakoś sobie poradzi, bo przecież jako Japonka przywykła do okazywania dystansu. Zbierałem się do powrotu. Nie zainteresowało mnie nawet luksusowe kąpielisko, gdzie w ciepłych oparach siarki śmietanka towarzyska spędzała czas na zabiegach pielęgnacyjnych i flirtach. Pewnie wszędzie panowała atmosfera wypielęgowanej nudy i pustego konwenansu. Tylko dlatego, że mnie o to prosiła, poszedłem z Yuriko zobaczyć butik z modą i biżuterią, które za niebotyczne ceny oferowały ostatnie nowości: rozłożone na jedwabiu prawie nieznanne mi z nazwy szlachetne futra, by latem otulić się w chłodne wieczory nad brzegiem jeziora, brylanty i szlachetne kamienie, by przystroić się na rauty na iluminowanym tarasie!

Trzeba było być milionerem, żeby spełnić tysiąc życzeń, które poruszyłyby duszę nawet wyzwolonego od pokus świata buddyjskiego mnicha.

Wyszliśmy z hotelu i krocząc wzdłuż alei obsadzonej wiecznie zielonymi iglakami, skierowaliśmy się ku jezioru. Pozostało jeszcze dość czasu, żeby przed lunchem wybrać się na

przejażdżkę łódką. Usiedliśmy pod jedwabnym zadaszeniem, a obsługujący nas boy hotelowy stanął na rufie, wiosłując – bezszelestnie, zręcznie, bezosobowy jak powietrze.

Yuriko wsparła się na moim ramieniu. Nagle na środku toni, gdzie głębia opalizowała mocną zielenią, królewski wulkan Fudzi odsłonił się, wysuwając swój wzniosły wierzchołek spoza welonów mgły, błyszczący od pokrywającego go śniegu, który oślepiającą bielą odcinał się od błękitu nieba. Niczym skłaniający się z czcią poddani, zamarli w bezruchu wspinające się ku jego szczytowi ciemne lasy.

Yuriko złożyła trzykrotny ukłon w jego kierunku.

Jakże małe wobec tego wiecznie żywego symbolu były hałas i pośpiech ludzi z Miyanoshita, jakże nędzna ich arogancja i pycha. Czuję, że Yuriko zachowa swój nienaruszony pokój. Uśmiech Fudzi-san rozbroi dumę zaślepionej kasty, milionerów u jego stóp. Przetrwa ich.

Gdy wracając, spojrzałem na luksusowe wystawy, widok wysadzanych diamentami trzewików wieczorowych rozśmieszył mnie tylko, podobnie kosztujących majątek koronkowych rękawiczek. Yuriko z uśmiechem szła obok, trzymając mnie za rękę.

– Podobają mi się te córki majora – wyznała otwarcie. – Są jeszcze ludźmi.

Zrozumiałem, co chce przez to powiedzieć, gdyż czuliśmy się podobnie w tym wyniosłym środowisku. Kiedy ją zostawiałem, wydawało mi się, że nie zostanie przez nie zraniona.

Stała na zakręcie i machała za mną, ubrana w słoneczną suknię, którą wiatr nadmuchiwał niczym koło wokół jej talii. Z dala zdawała się być niczym złoty kwiat na zielonej łące – z delikatnym błękitnym punktem pośrodku kielicha – to jej letni kapelusz. Spojrzałem na nią z wznoszącą się ku górze drogi. Trzeba się było skoncentrować, a pożegnanie dopiero teraz kamieniem zaciążyło mi w sercu.

Każdego dnia z Miyanoshita przychodziła kartka, bo tak się umówiliśmy. I codziennie Kioshi z oddaniem wiernego alpejskiego bernardyna odwoził moje pozdrowienia na pocztę do Tokio, żeby doszły na czas. W tych tygodniach zostaliśmy przyjaciółmi, już nie byłem szefem, a on pracownikiem. Kioshi Tanaka stał się moją prawą ręką i największe sukcesy zawdzięczam właśnie jego zaradności.

Nie pytając, wiedział, dlaczego z tak zaciekłym oddaniem poświęcam się pracy. Czas ciągnął się niemiłosiernie, a wszystkie moje myśli krążyły wokół Yuriko.

W ostatnim tygodniu, gdy cieszyłem się bliskim już spotkaniem, zamiast kolorowej widokówki otrzymałem telegram od majora:

– Samochód uszkodzony – przyprować nowy – stop – Yuriko lekko ranna – stop – nie martwić się – stop – ale przyjechać zaraz – stop –

Nie czytałem dalej. Przez kilka minut stałem jak skamieniały, a potem runąłem do telefonu. Wybrałem Tokio, Miyanoshita, hotel Fudzija, rozmowa błyskawiczna.

O, ta japońska flegmatyczność! Kiedy wreszcie uzyskałem połączenie, pot lał się ze mnie strumieniami i nie była to jedynie wina tropikalnej, wilgotnej duchoty czerwca. Nie udało mi się też niczego dowiedzieć. Major był nieobecny, podobnie jego córki. A Yuriko? Nie miała telefonu w swoim pokoju, a zejść do recepcji też nie mogła. A więc jednak ciężiej ranna.

Krzyknąłem, pytając, jak się czuje – czy jest przytomna, ale albo tłumacz mnie nie rozumiał, albo nastąpiły zakłócenia na linii. Rozmowa została przerwana. Nie podejmowałem drugiej próby, tylko po raz pierwszy odkąd znalazłem się w Japonii, wrzaskiem wezwałem Sato-san, mojego wiernego kucharza i kamerdynera. Natychmiast zjawiała się cała rodzina. Dzięki Bogu, że Lesley zmusił mnie wtedy do zatrudnienia wszystkich, bo zabrakłoby mi rąk do zorganizowania pospiesznego wyjazdu. Podczas gdy Kioshi ruszył do Lesleya, ja bez namysłu popędziłem do domku Teruko-san i nie zważając na nic, załomotałem do kruchych drzwi.

Nie wiem, skąd wytrzasnąłem wszystkie te japońskie słowa, które wydusiłem z siebie w pośpiechu. Ale stał się cud i starsza pani zrozumiała, że chcę się dostać do skrzyni Yuriko. Otworzyłem wieko i przegrzebywałem wewnątrz niczym gangster w poszukiwaniu łupu, aż znalazłem czerwone kimono ślubne. Powtarzałem przy tym jak obłąkany: czerwień... kolor życia, miłości... nawet jeśli moja narzeczona miałaby mnie poślubić na łożu śmierci. Teruko-san pomagała mi uprzejmie, niczego się nie domyślając. Pewnie uważała, że takie zachowanie

przynależą do nieznanych jej nawyków zachodnich barbarzyńców. Nie wiedziała nic o wypadku swojej podopiecznej, a ja nie miałem wystarczająco dużego zasobu słownictwa, aby to wyjaśniać. Po co zresztą miałem niepokoić tę dobrą duszę, skoro sam nie wiedziałem, co właściwie się stało.

Wpakowałem kimono do aktówki i pogałęm z powrotem, nie zważając na gapiące się na mnie dzieci. Który z dorosłych biegałby w Japonii? Lesley podjechał już samochodem, machając ręką.

– Daj spokój, ja poprowadzę, bo inaczej będziemy cię szukać w szpitalu. Moja żona zajmie się tymczasem całym kramem. Nie martw się, znakomicie orientuje się we wszystkim. No, jazda!

Rodzina Sato pochyliła się w drzwiach, wyczerpana i wyprowadzona z równowagi taką ilością amerykańskiego tempa.

Rzadko która z podróży tak bardzo mi się dłużyła, chociaż w karkołomnej jeździe ścinaliśmy zakręty. Nie mam też pojęcia, ilu żandarmów i policjantów zanotowało nasz numer rejestracyjny. Było mi to zresztą zupełnie obojętne. Prawdziwym cudem dopiero pod wieczór, ale cało dotarliśmy do Miyanoshita. Kurort oświetlały jasne neony, a na jeziorze kołysały się kolorowe lampiony zawieszane na pływających łódkach. Nie zwracałem uwagi na uroki otoczenia, tylko ostro zahamowałem przed Fudzija.

Major przywitał mnie na tarasie i próbował uspokoić.

– Ależ, Grane, przecież przesłałem telegram, że nie jest tak źle. Nie, wszystko okay. Za kilka dni pańska... pańska narzeczona będzie w stanie wybrać się z panem na Fudzi. Tak jak powiedziałem! Proszę za mną, przekona się pan sam.

Poprowadził mnie do windy zaskoczony moim nieskrywanym niepokojem. Powoli ruszyliśmy w górę. Mój rozmówca przyjrzał mi się uważnie.

– Grane, tego bym nie podejrzewał. Nie wydawało mi się, że sprawy zaszły aż tak daleko. Okazuje się, że mój manewr spelzł na niczym.

– Co takiego?

Winda zatrzymała się, otwarliemy drzwi.

– Chciałem na jakiś czas wyrwać pana z zauroczenia. Myślałem, że w tym czasie otrząśnie się pan trochę. Czy naprawdę zamierza pan zrobić to ojcu i sprowadzić do domu żółtą synową?

Stanąłem jak wryty – no tak, ukartowana historia, bo major to przecież stary przyjaciel mojego rodzica. Nie zaszczyciłem go odpowiedzią, tylko odwarknąłem:

– Gdzie ona jest?

– W pokoju moich córek. Grane, na litość boską, proszę zachować zimną krew i nie robić głupstw.

– Wszystko w porządku, majorze, dziękuję.

Zostawiłem go i wszedłem bez pukania. Drobną nei-san ze ściętymi na pazia włosami, w białym fartuszkach na czarnej sukience i z tacą w ręku przebiegła wystraszona obok mnie. Nie przejmowałem się także obiema dziewczętami, które z werandy obserwowały całą scenę.

Gdy zauważyłem, że mogę wziąć Yuriko w ramiona, nie sprawiając jej bólu, nie chciałem jej wypuścić. Straciłem twarz – i to gruntownie. Płakałem przytulony do jej ramienia, a ona milcząco gładziła moją głowę. Pierwsze co powiedziałem, brzmiało:

– Nie będziemy czekać dłużej, Yu, pobieramy się.

Uśmiechnęła się. Z białym bandażem na głowie wydała mi się jeszcze bledsza.

– Owszem, Yu, spójrz, przywiozłem go ze sobą.

– Kogo?

Teraz ja się zaśmiałem.

– Zapytaj lepiej co. Nie potrzebujemy nikogo. Twoje kimono ślubne.

Wypakowałem aktówkę, wyciągając płomienistoczerwony jedwab. Teraz i ona się zaśmiała.

– O, Donald-san! Kiedy miałabym je nosić?

– Jutro albo pojutrze, sweetheart, jak tylko będziesz mogła wstać i chodzić.

– Tutaj?

– Well, pasuje do panoramy. Fudzi to miejsce pielgrzymek. Czy nie tak kiedyś powiedziałaś?

– Ale czcigodni bogowie małżeństwa zamieszkują gdzie indziej, na półwyspie Ise.
– Nie potrzebujemy ich. W Tokio połączy nas pierwszy lepszy kapłan. Po ślubie zostaniesz chrześcijanką, nie mam ochoty czekać dłużej.

Pozwoliła mi się wyszaleć i wygadać, jak gdybym był rannym majaczącym w wysokiej gorączce.

Następnego ranka, kiedy już doszedłem do siebie, ujęła moje dłonie, a w jej spojrzeniu widziałem jednocześnie miłość i ból.

– Zapomnijmy o tym, co mój wzburzony Donald-san powiedział wczoraj. Na razie nie możemy sobie na to pozwolić, jeszcze nie. Spokojnie, Donaldzie. Dobrze, założę czerwone kimono na twoją cześć. Tu nas nie zna i nie zobaczy nikt z Jokohamy. Ale małżeństwo zawrzemy dopiero wtedy, gdy zdam moje egzaminy i mój dana-san udzieli swojej zgody.

Zacisnąłem zęby.

– Yu, to straszne. Nie zniosę już dłużej czekania.

– Cierpliwości, Donald-san! Również twój dana-san musi najpierw powiedzieć „tak”.

Wstrząsnęło mną.

– Niby dlaczego? – Skąd się dowiedziała o moich kłopotach?

– Oficerowie rozmawiali o tym. Nie podsłuchiwałam. Przypadkowo dotarło do mnie, jak mówili, że twój surowy dana-sannie zniesie tego, aby jego syn przyprowadził mu do domu „żółtkę”. – Gdy wymawiała obraźliwe słowo, jej usta zadrżały, więc ucałowałem szybko jej dłonie.

– Prędzej wydziedziczy juniora.

Zerwałem się z miejsca.

– Bzdura, typowe wakacyjne plotki, Yu. Pewnie nie mają innych tematów do rozmowy.

– Nie, Donald-san. Moje serce czuje, że czeka nas wiele zmagania. Będzie nam obojgu ciężko. Również damy z towarzystwa są przeciwne takiemu małżeństwu. Zachowywały się tak, jak gdybym była powietrzem. Tylko bliźniaczki, córki majora, traktowały mnie inaczej. Nie złość się na nie, że spowodowały wypadek. Bardzo chętnie siadają za kierownicą.

– Jeszcze się z nimi policzę. Ryzykować mogą własne głowy. Kiedy moja Yu siedzi w samochodzie, to mają jechać jak z cesarską księżniczką! – Pochyliłem się nad nią. – Boli cię jeszcze, darling?

– Odkąd tu jesteś, prawie nie odczuwam bólu. Lekarz powiedział, że jutro mogę już wstać. To mnie pocieszyło.

Pomyślałem, że na razie postaram się unikać gwałtownych dyskusji, niemniej po powrocie do Jokohamy należy się zająć całą sprawą.

Delikatnie ułożyłem Yu na poduszkach.

– Śpij, darling, God bless you, dobrej nocy!

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem obie bliźniaczki, skruszony i bardzo urodziwy. Nie potrafiłem złościć się dłużej.

– Później! – odprawiłem je krótko, a one odetchnęły z ulgą. Służba hotelowa powiedziała mi, że troskliwie opiekowały się Yuriko. Pomyślałem, że nie będę im robił zbyt wielu wymówek.

Czy nie wszystko obracało się na korzyść naszej miłości, również ten wypadek?

Jim Lesley kalkulował oczywiście, że znakomicie posłuży on reklamie. Nasz nowy callaghan zaimponował nawet najbardziej grymaśnym gościom Fudzija. Swoim wyglądem i wyposażeniem przyciągał spojrzenia wszystkich i często otaczał go wianuszek ciekawskich dowiadujących się o markę i cenę. Jeszcze przed wyjazdem udało mi się zebrać kilka znaczących zamówień.

Tego wieczoru siedziałem długo nad cichym brzegiem jeziora, spoglądając ku odcinającemu się na ciemnym nocnym niebie stożkowatemu wierzchołkowi Fudzi, którego obraz odbijał się w księżycowym blasku w gładkiej tafli wody. Modliłem się do Boga, żeby raczył wysłuchać moich gorących prośb.

*

Pozostałem w Fudzija przez cały tydzień, chociaż mówiło się, że w hotelu brakuje miejsc. Major zrobił mi miejsce w swoim pokoju. Oczywiście podczas długich, wieczornych rozmów próbował mnie przekonywać, jak słuszny jest sprzeciw mojego ojca co do amerykańsko-japońskiego małżeństwa. Również ze strony Kościoła, dopóki Yuriko nie została ochrzczona, a nie chciałbym dłużej czekać, należało się spodziewać poważnych zastrzeżeń. Misjonarze mieli swoje powody, aby dawać zgodę na mieszane związki małżeńskie tylko w wyjątkowych wypadkach.

Ostatecznie oznajmiłem majorowi, że zastanowię się jeszcze co do terminu ślubu, natomiast nie dam się już odwieść od mojego zamiaru:

– Poza tym, majorze, przypominam sobie dobrze, że przed kilkoma tygodniami zapraszał mnie pan do spędzenia tutaj wraz z Yuriko wspólnego urlopu. A to jakoś nie pasuje do pańskich obecnych zastrzeżeń!

Uśmiechnął się.

– Ostatecznie sam też mam dzieci. Wystarczy spróbować coś im wmawiać, a z pewnością zaraz uprą się przy swoim. Poza tym chciałem się przekonać, w jakim stopniu uzasadnione są troski pańskiego ojca. Cieszę się, że mogłem go listownie uspokoić co do pańskiej postawy.

Teraz mnie oświeciło.

– Wszystko pięknie i ładnie, majorze. Ale po tym wszystkim, co już przeszliśmy, nadeszła chyba pora, żebyśmy mogli sfinalizować nasze plany. Gdy tylko wrócę do Tokio, napiszę do ojca. Jednocześnie powiadomię ojca Yuriko i poproszę go rękę córki.

Major pokręcił głową.

– Z całym szacunkiem dla pańskiej determinacji, Grane, ale mnie się to nie podoba. Zakładam się sto do jednego, że dostanie pan kosza.

– Wszystko mi jedno, niech wie, że już jej nie zostawię i że jest coś, co może pokrzyżować jego plany względem córki.

Nie przekonały mnie jego argumenty. O mało nie straciłem Yuriko i to pozbawiło mnie zdolności trzeźwego myślenia. Co do jednego major pewnie miał rację: nerwy zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa.

Spędziliśmy jeszcze razem wspaniały wieczór, a potem mój niespodziewany urlop zakończył się wraz z urlopem majora. Mogłem odwieźć Yuriko do Jokohamy, tym razem pokonując serpenty zdecydowanie wolniej.

*

W łagodnym świetle rzucanym przez rozwieszony lampiony tańczyłem wraz z moją narzeczoną wolnego walca, prowadząc ją spokojnie krok po kroku. Nawet jeśli jej zdrowa natura szybko poradziła sobie ze skutkami wypadku, to i tak wydawało mi się, że jest kruchą japońską lalką, cenną i piękną, symbolem Nipponu ubranym w czerwone ślubne kimono.

Szeroki złoty obi obejmował jej talię, tworząc na plecach ogromną kokardę, gigantycznego motyla o błyszczących skrzydłach. Hotelowa nei-san kunsztownie upięła jej włosy w wysoką, misterną fryzurę gejszy o zapachu kamelii.

Niech damy z towarzystwa rozprawiają o małej japońskiej guwernantce, ile tylko chcą. Teraz pewnie wodziło za nami niejedno zazdrosne, a jednocześnie pełne podziwu spojrzenie. Bliźniaczkom nie przeszkadzał powszechny dystans, głośno wyraziły swoje uznanie dla Yuriko i zaraz puściły się w tan z dwoma eleganckimi amerykańskimi oficerami, zdającymi się być nowicjuszami, tak wiele zadawali pytań pięknym córkom majora.

My natomiast widzieliśmy tylko siebie. W jej oczach odbijało się światło lampionów, a w moich jej urodziwy profil. Wkrótce prawie nie czułem, że trzymam ją w ramionach. Na koniec zmęczona tańcem odfrunęła niczym motyl. Ruszyłem za nią szybko. Poszliśmy jeszcze na spacer nad jezioro.

Usiedliśmy na brzegu pod szumiącą brzozą i wodziliśmy oczyma za iluminowanymi łodziami zakochanych błakającymi się bez celu po ciemnej tafli. Nad falami unosiły się ciche dźwięki shamisenu. Kilku gości zaangażowało gejsze z pobliskiej herbaciarni. Tu i tam widać było stojące na rufie, rozpalone hibashi, na którym hotelowy kucharz przygotowywał smakołyki na kameralny dinner we dwoje.

Nie potrzebowaliśmy tych atrybutów, aby cieszyć się cichym szczęściem na nowo darowanego nam bycia razem. Również nasza czułość była spokojna i delikatna. Wiedziałem, że trzymam w ramionach rekonwalescentkę, i czułem, że miłość, jeśli jest najczystsza i najgłębsza, nie potrzebuje żadnych gestów namiętności. Czułem się tak, jak gdybyśmy oboje stali na scenie wraz z Gratią Hosokawą, której najpotężniejszymi środkami wyrazu okazały się milczenie i niewzruszony spokój.

Tym mocniej wystraszył nas niespodziewany blask błyskawicy. Skąd nagle w nieruchomym powietrzu zebrała się burza? Tafla jeziora jeszcze się nie wzburzyła, ani ośnieżonego szczytu Fudzi nie spowiły chmury. Yuriko przytuliła się do mnie.

– Spokojnie, sweetheart, to tylko błyskawica bez grzmotu, gdzieś daleko na horyzoncie – próbowałem ją uspokoić, ale czułem, że się boi.

– O, Donald-san, nie powinnam była tego robić. Założenie kimona ślubnego przed ceremonią san-san-kudo przynosi nieszczęście!

Przypomniałem sobie zabobonny strach jednej z kuzynek, na której ślubie byłem świadkiem. Otóż mówiła ona, że przyniesie jej to pecha, jeśli dzień wcześniej założy swoją białą suknię, gdyż prosił ją o to jeden z jej braci chcący ją zobaczyć w tym stroju, zanim go wciela do wojska. Do dzisiaj jest szczęśliwą małżonką. Opowiedziałem o tym Yuriko, ale przy następnym rozbłysku na nieboskłonie wstała z miejsca.

– You, my Yu – zwróciłem się do niej – nie musisz się obawiać. Wszystko, co tylko zetknie się z tobą, promienieje radością.

Zanim jednak dotarliśmy do hotelu, lunął deszcz. Na szczęście udało nam się cało dojść do schodów zadaszonego tarasu.

– Widzisz – tryumfowałem. – To też jest symbol, że naszej miłości niestraszna żadna niepogoda.

Rozstaliśmy się przed drzwiami. Yuriko trzymała się ściśle surowych zasad. Nikt w tym obcym środowisku nie mógł mieć okazji do rozprowadzania niepoehlebnych opinii na nasz temat. Przed jej pokojem czekały już obie bliźniaczki. Na pożegnanie zerwały dla niej ogromny bukiet kwiatów. To nastroiło mnie bardzo pojednawczo i postanowiłem, że nie wrócę już do sprawy wypadku.

Gdy następnego dnia wczesnym rankiem zjeżdżaliśmy z przełęczy Long Tail, wulkan Fudzi

ponownie otulił się nieprzeniknioną zasłoną chmur niczym władca kończący łaskawie krótką audiencję. Czerwone kimono porządnie zapakowane w jedwabną chustę spoczywało na kolanach Yuriko. Mijając rajskie krajobrazy, nasz samochód zmierzał do celu, który wreszcie miał mi przynieść jasność i rozstrzygnięcie. Jednak mimo wszystko musiałem być wdzięczny majorowi.

*

Tym razem z prośbą o spotkanie i rozmowę do mojego przeciwnika Mori-san wysłałem samego Sato-san. Czułem wewnętrzny opór, aby w tej prywatnej sprawie prosić o pomoc Kioskiego Tanakę. Nieświadomie udało mi się trafić w dziesiątkę. Nawet jeśli nie był to oficjalny swat, tak jak tego wymagał obyczaj, to rodzic Yuriko przeczuwał, o co chodzi, gdyż niezwłocznie wyraził zgodę.

Włożyłem więc ciemny garnitur, wsiadłem do skromnego forda i punktualnie w porze kaiseiki zjawiłem się przed szkolnym barakiem w dzielnicy portowej. Również Mori-san wyświadczył mi grzeczność, przyjmując mnie nie w niebieskim kombinezonie, lecz w świątecznym czarnym kimonie.

Wypiliśmy powitalną herbatę i wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości, po czym Sato-san skłonił się prawie do podłogi i przez dłuższą chwilę niczym aktor recytował tekst, który mu zleciłem – prośbę o rękę córki, na zachodnią modłę i w przyjętej u nas formie.

Ponieważ niczym reżyser trzymałem się na drugim planie, miałem czas, aby przyjrzeć się twarzy Mori-san. Nie pojawiło się na niej ani jedno świadczące o zaskoczeniu drgnienie. Czekał cierpliwie, aż Sato-san skończy, jak gdyby mój swat mówił o pogodzie.

Podał nam drugą filiżankę herbaty, a kiedy ją opróżniliśmy, odwzajemnił się wreszcie pytaniem:

– Czy czcigodny Grane-san uważa, że przeciwieństwa narodowościowe, rasowe, klasowe i światopoglądowe dadzą się pogodzić w takim małżeństwie?

Oczywiście liczyłem się z takim zarzutem, więc odpowiednio poinstruowałem Sato-san, aby wygłosił precyzyjnie sformułowaną odpowiedź nie będącą niczym innym jak daleko idącym „tak”.

Mori-san odstawił swoją filiżankę, pochylając się do przodu. Jego szczupła twarz w kolorze pergaminu była nieruchoma i bez wyrazu.

Zaraz też Sato-san przeciągnął dłonią po mokrym od potu czole i zacinając się, przetłumaczył krótką ripostę.

– Proszę poinformować czcigodnego cudzoziemca, że niestety nie jestem w stanie podzielać jego optymizmu.

Po tych słowach, nie czekając nawet na odpowiedź, Mori-san wstał, uśmiechnął się grzecznie, a następnie skłonił uprzejmie.

Poczułem się jak uderzony obuchem. Czyżby to równało się wyrzuceniu za drzwi natrętnego konkurenta? Nie mieliśmy przecież nawet dziesięciu minut, żeby gruntownie roztrząsać zajmujący nas problem i wypracować kompromis dotyczący różnicy zdań. Zrozumiałem, że potraktowano mnie z możliwie największą nieuprzejmością – gorszą nawet od policzka w moich rodzinnych stronach.

Oznajmiłem głośno:

– Może być pan pewien, Mori-san, że poślubię pańską córkę.

Czy mnie zrozumiał? Gdy podniósł twarz z ukłonu, uśmiechał się jak posąg Buddy, a ja w czarnym garniturze stałem ośmieszony i to w najbardziej nienaganny sposób.

Rozwścieczony zatrzasnąłem drzwiczki samochodu, nakazując milczeć proszącemu o wybaczenie Sato-san, który powtarzał nieustannie:

– Shicata ga nai, dana-san, okinudoku-desu-ga! – Nie można nic zrobić, łaskawy panie! Bardzo mi przykro!

Nie potrzebował mi wyjaśniać, że niepowodzenie było tylko i wyłącznie moją winą. Należało posłuchać Yuriko proszącej mnie do końca, abym odstąpił od mojego zamiaru. Ale ja chciałem postawić na swoim i wymusić sukces.

W domu skruszony Sato-san podążył za mną aż do gabinetu, zapewniając, że w każdej chwili gotów jest podjąć dla czcigodnego pana próby mediacji.

– Naka-naka – wzdychał przy tym głęboko. Było straszne, że ucierpiała moja cześć! To osobista obelga także dla dobrego sługi.

Uspokoilem go:

– Arigato gozaimasu, Sato-san! – Dziękuję bardzo!

Żeby tylko sobie poszedł. Nie miałem ochoty słyszeć już ani jednego słowa po japońsku.

Wreszcie zamknął za sobą drzwi.

Wsparłem głowę na dłoniach. Czyżby to był skutek lipcowych upałów, że wszystko zdawało się kręcić dookoła mnie? Poczulem dziwne osłabienie i ucisk w sercu, a potem zadzwonił telefon, zrywając mnie z miejsca.

– Tak, tu Grane-san, owszem, przy aparacie, proszę?

Dzwonili do mnie z organizacji LARA.

Właśnie podano w radiu wiadomość o wielkich powodziach oraz huraganach, jakie nawiedziły południową Japonię. Liczono się z setkami tysięcy poszkodowanych, wieloma ofiarami śmiertelnymi i rannymi. Potrzebowano natychmiastowej pomocy. Czy na potrzeby tej akcji mógłbym oddać do dyspozycji większą niż uprzednio liczbę pojazdów i ewentualnie sam pokierować konwojami do najbardziej zniszczonych rejonów? W samej tylko katolickiej wiosce Imamura bez dachu nad głową zostało około dwóch tysięcy osób.

Nie zastanawiałem się długo. Wszystkie osobiste sprawy musiały teraz poczekać.

– Oczywiście, zmobilizuję wszystko, co tylko mam pod ręką. Jeśli okaże się to konieczne, zawieszę działalność wypożyczalni. Yes, możecie na mnie liczyć. Zjawię się za dwie godziny po bardziej szczegółowe wskazówki!

Odłożyłem słuchawkę i oparłem się na krzesło.

Koniec potyczki – można powiedzieć na skutek działania sił wyższych. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Gdy wrócę do sprawy, Mori-san przekona się, że też potrafię szybko załatwiać interesy i poślubię Yuriko po osiągnięciu przez nią pełnoletności.

Jim Lesley nie rozumiał ani słowa. Zamknąć wypożyczalnię? Czyżbym postradał zmysły? Przecież przynosi największe dochody. Zrazimy klientów i stracimy ich. Machnąłem ręką. To wszystko się nie liczyło. Teraz należało pomóc biednym ludziom. Czy nie docierało do niego, że z punktu widzenia polityki było to jeszcze ważniejsze niż przeprowadzenie reform socjalnych w firmie? Tu musieliśmy wkalkulować nawet straty w zyskach, żeby wesprzeć ludność znajdującą jako jedyną potęgę troszczący się o nich komunizm. Mój wspólnik spojrział na mnie.

– Skoro tak do tego podchodzisz, to ruszam razem z tobą. Tylko nie myśl, że z tego powodu wzrosną twoje szanse na ożenek. Mori-san się wścieknie, jeśli wykiwasz także jego przedsiębiorstwo żeglugowe.

Wzruszyłem ramionami.

– Nic na to nie poradzę. Szkoda mi tylko Yuriko, teraz właśnie ma ferie. Ale nie mogę jej zabrać ze sobą.

Jim zachichotał.

– To na pewno nie będzie wycieczka do Miyanoshita. Wybierając się na zalane powodzią tereny, powinniśmy chyba zainstalować w naszych jeepach płetwy. Czeka nas solidna szkoła życia, jak na froncie!

Dopiero gdy znalazłem się w Kocyo Club Building w Marunouchi, gdzie mieściła się siedziba LARA, dotarła do mnie w pełni powaga sytuacji. Nie tylko powódź, lecz także tajfuny i osunięcia zboczy górskich zagrażały wielu mieszkańcom i pochłaniały całe obszary. O kolejnych licznych ofiarach donoszono również z ciężko doświadczonych rejonów, na które zrzucono bomby atomowe.

Co należało robić? Błyskawicznie zorganizowano szeroko zakrojoną kościelną akcję pomocy i to nie tylko w samej Japonii. Również katolicy biskupi z USA przesłali deklarację, że wraz z wiernymi wesprą wszelkie wysiłki na rzecz ofiar. Do rejonów dotkniętych katastrofą pospieszyli pierwsi lekarze – i całe rzesze siostr. Potrzebowano wszelkiego rodzaju pojazdów, aby uporać się z transportem pospiesznie zebranych artykułów pierwszej potrzeby.

Pozbawionym wszystkiego ubogim wieśniakom należało dostarczyć nie tylko odzież, żywność i lekarstwa, lecz także ziarno na zasiew i maszyny rolnicze. Sytuacja wyglądała podobnie jak w czasie wojny. Jim miał rację.

Udało mi się jeszcze pożegnać z Yuriko. Chociaż wiedziała o wszystkim, nie robiła mi wyrzutów z powodu przedwczesnych i tak żałośnie chybionych starań o jej rękę. Spojrzała tylko na mnie i z cichym uśmiechem powiedziała:

– O, Donald-san, nigdy jeszcze nie byłeś mi tak bliski, jak teraz, gdy stawiasz pomoc ubogim ponad moją osobę!

Gdy ją całowałem, poczułem nagle, że w niemym lęku przytula się do mnie, ale źle to sobie wytłumaczyłem.

– Spokojnie, sweetheart. Niebezpieczeństwo minęło, nic mi już nie grozi.

Przytaknęła bez słowa. Ręce miała lodowato zimne, wargi jej drżały, prawie nie mogła odwzajemnić mojego pocałunku. Ale nie padła ani jedna prośba, jaką wypowiedziałaby kobieta z Zachodu; żadnego błagania, aby posłać przodem innych i samemu się oszczędzać, żadnych nalegań „wracaj szybko”. Tylko to jedno słowo:

– Donald-san, dzięki! Dziękuję ci...

Dopiero dużo później dotarło do mnie, że nie wyrażała wdzięczności w imieniu potrzebujących pomocy, tylko dziękowała za szczęśliwy czas naszej miłości, jaką mogła przeżyć.

Uwolniłem się z jej objęć. Siedziała na engawa przed domkiem Teruko, tak jak wtedy, gdy ją poznałem. Czy to przypadek, że znowu miała na sobie chłopięcy strój studentki? Padały długie, cienkie strugi deszczu, jak przed dwoma laty.

Gdy odwróciłem się po kilku krokach, jej oblicze błyszczało... czy tylko od słoty? A co tam, przecież córki Nipponu nie płaczą. Dobrze zapamiętałem jej dumne słowa. Nie było zresztą ku temu powodu. Zaraz po powrocie z wyprawy zatroszczę się o to, żeby już nigdy w jej oczach nie pojawiły się łzy. Uniosłem rękę i pozdrowiłem ją gestem.

Potem pobiegłem szybko w dół ulicy, nie spoglądając już za siebie. Jeszcze po południu zebrałem wszystkie dostępne pojazdy i skierowałem je do Tokio. Jim Lesley był wraz ze mną, gdy gotowy do drogi czekałem przed budynkiem LARA na instrukcje dotyczące następnych tygodni. Liczyłem się z nieustanną pracą i wcale się nie zdziwiłem, przeglądając długą listę. Nie dałem też nic po sobie poznać i wręczoną mi kartkę schowałem do kieszeni. Wreszcie my, Amerykanie, mogliśmy dowieść, że poważnie podchodzimy do pokojowej pomocy dla pokonanych. Zbyt szybko również i w Japonii zapomniano o tym, że USA od lat udzielały się w regionach, gdzie głodowały całe miliony.

Dotarliśmy do okolic, których widok mógł szokować. Kiedyś ogień napawał człowieka przerażeniem. Teraz stanęliśmy wobec skutków niewyobrażalnie niszczycielskich sił żywiołu wody. Z ogromnych zalewisk wystawały archipelagi wysepek, których granice stanowiły nadmorskie brzegi. Setki ludzkich osiedli ziało chaosem niczym w pierwszym dniu stworzenia. Nie było ogrodów, pól, domów ani gospodarstw, jedynie ruiny i nędza ocalałych, którzy z desek, mat i przewróconych drzew wzniesli podobne do jaskiń schronienia. Słomiane dachy wiejskich domków pływały daleko na morzu.

Raz po raz utykaliśmy w głębokim po kolana szlamie i błocie, musząc niczym kulisi przenosić ładunek na plecach. Nie oszczędzaliśmy kości. Niespożyty humor Jima podtrzymywał wszystkich na duchu. Noce przesypialiśmy w pustych ciężarówkach, odżywiaaliśmy się konserwami, a za pociechę mieliśmy świadomość, że znowu udało nam się uratować od śmierci głodowej kilka setek istnień ludzkich.

Misjonarz z podwiniętymi nogawkami i rękawami siedział z nami przy ogniu, opowiadając, jak wygląda jego praca na trzydziestu trzech parafiach, i że prawie cudem ocalał wraz ze swoimi podopiecznymi. Z dwudziestoma pięcioma kandydatami do chrztu został właśnie po mszy na naukę, gdy wieśniacy przymuszeni oberwaniem chmury próbowali szukać schronienia w świątyni. Dziesięć minut później lawina błota porwała ze sobą setki japońskich domostw i potężny budynek kościoła. Zapanowała panika, gdy kościelna nawa zaczęła swoją wędrówkę. Ostała się tylko wieża. Choć otoczona zwałami skalnych bloków, wystawała niczym monument nad krajobrazem zniszczenia.

Umiejącemu pływać duchownemu udało się uratować przed utonięciem kilka osób. Oznajmili, że chcą zostać jego uczniami.

Takich historii słuchało się z zapartym tchem!

Nigdy przedtem nie miałem tak bliskiego kontaktu z prostą ludnością wiejską jak właśnie teraz. Stwierdziłem, że to, czego się nauczyłem w tych tygodniach, pomoże mi uformować przyszłe

życie w Japonii. Dobrze się stało, że rzucono mnie na głęboką toń ludzkiej nędzy. Przeżywając sukcesy własnej, pomyślnie rozwijającej się firmy, mógłbym popaść w iluzję, że zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy dla odbudowy Nipponu. Ale to nie samochody okazały się najpotrzebniejsze, nie jakieś techniczne nowinki czy dobrobyt materialny, tylko pełne miłości spotkanie człowieka z człowiekiem.

Wmawiam sobie, że ta trwająca ponad cztery miesiące akcja pomocy bardziej przyczyniła się do szerzenia religii chrześcijańskiej i zdobyła misjonarzom więcej dusz niż jakiegokolwiek inne działanie. Bezinteresowne wsparcie w potrzebie, to rozumiał najbardziej fanatyczny szintoista i najsurowszy buddysta! Docierało to także do zarażonych komunizmem. W wielu miejscach zakładano już z góry, że chodzi o dzieło „czerwonych”, gdyż tak nowe było to zjednoczenie serc pomiędzy chrześcijanami.

Choć sami niezbyt zamożni, katolicy z Tokio dostarczyli nam dwadzieścia ton odzieży i pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Biskupi ze Stanów Zjednoczonych również dotrzyмали obietnicy, zebrali półtora miliona dolarów i przekazali je ministerstwu dobroczynności, choć dla prawie pięciuset tysięcy potrzebujących okazywało się to kroplą w morzu. Poza tym katolicy z całego świata przysłali także milionowe datki. Nagle ponad granicami ujawniła się jedność Kościoła na rzecz wierzących i niewierzących w Nipponie.

Zaledwie przeszliśmy przez tę próbę ogniową, gdy nastąpiły nowe powodzie i niepogoda, nawiedzając tym razem środkową Japonię, co wiązało się z kolejnymi akcjami. Całymi tygodniami i miesiącami nie wychodziliśmy z kieratu. Udawaliśmy się najwyżej na jeden, dwa dni krótkiego odpoczynku do centrali w Tokio, porządkowaliśmy w pośpiechu sprawy firmowe i zaraz wracaliśmy w teren. Przez ten czas udawało mi się jedynie przesyłać Yuriko pozdrowienia, bo czułem się, jak gdybym brał udział w wojnie. Porosły nam przecież spore brody i wychudliśmy jak starzy misjonarze na straconych pozycjach. Ale gdybym teraz stanął przed Mori-san, to miałbym do przedstawienia coś, co zniweczyłoby jego argumenty. Istniała więc jednocząca Wschód i Zachód, i nie musiało się wymieniać jej imienia! Potwierdzić mi to mogły setki tysięcy Japończyków.

Było to krótko przed początkiem jesiennego semestru, ostatniego i decydującego dla Yuriko, gdy nasza akcja straciła na intensywności i mogła zostać poprowadzona przez inne grupy. Po tak gwałtownym lecie tęskniłem już za życiem w spokojniejszych warunkach – a przede wszystkim za spotkaniem z moją narzeczoną. W ciągu ostatnich czterech tygodni nie napisała do mnie, ale ponieważ ciągle podróżowałem, więc nie martwiłem się z tego powodu. Najprawdopodobniej przesyłki docierały gdzieś, po czym wyruszały w drogę powrotną do Jokohamy. Zmęczony i wyczerpany wróciłem do domu, marząc o wyspaniu się w łóżku, czystej bieliźnie i wizycie u fryzjera. Kiedy już zaspokoilem te potrzeby, pierwsze kroki skierowałem do firmy. Jak na tak młode przedsiębiorstwo długo, stanowczo zbyt długo byłem nieobecny. Jima udało mi się odesłać kilka tygodni wcześniej. Tylko jaki mi teraz przedstawi bilans?

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie stwierdziłem żadnych istotnych strat. Wręcz przeciwnie, w naszej centrali w Nowym Jorku mogliśmy zgłosić dalsze pilne zamówienia. Być może dopiero teraz w Tokio i wielu innych miastach zwrócono uwagę na Grane General Motors. Tego oczywiście nie planowałem, kiedy zgłaszałem mój akces do współorganizowania akcji pomocy. Kiedy nas nie było, Kioshi Tanaka znakomicie współpracował z kierownictwem, udzielając nieraz cennych wskazówek.

Kierownictwo nie okazywało jednak z tego powodu szczególnej radości. Stali wokoło mnie i zdawali relację, jak gdyby mówili o oczywistych sprawach. Również Jim nie przywiązywał do tego dużej wagi, choć jego mogłem zrozumieć. W końcu w ostatnim miesiącu został ojcem, co też było powodem, że wrócił wcześniej do domu. Miał teraz inne problemy, choć uważałem, że mógł mnie przyjąć z większym entuzjazmem. Wyglądał tak, jak gdyby coś ukrywał. Gdy zapytałem prosto z mostu, odparł:

– Człowieku, chodźże do małego pawilonu. Po naszych podróżach nie mam zamiaru przyzwyczajać się znowu do ciasnego kantorka. Wypijemy filiżankę koicha.

Doprawdy stał się w połowie Japończykiem. Nagle opadły mnie złe przeczucia. Gdy tylko zostaliśmy sami, zapytałem podniesionym głosem:

– No wyduś to wreszcie z siebie, Jim. Co się dzieje?

– Usiądź.

– Nie, mów! Były jakieś wypadki z naszymi samochodami? Są straty?

Jim nachylił się, wziął kociołek z hibashi, po czym ceremonialnie jak Japonka nalał mi pełną czarę.

– Powiedziałem, żebyś się napił. Japończycy wiedzą, dlaczego piją herbatę, zanim pozwolą sobie na zdenerwowanie.

Odstawiłem filiżankę, nie napiwszy się ani łyka.

– Chcę się wreszcie dowiedzieć, co jest grane. Nie jestem mięczakiem, któremu kroplami trzeba serwować hiobowe wieści. Ile samochodów zrujnowano albo zniknęły?

Jim machnął ręką, wypił, otarł usta i odrzekł:

– Nic z tych rzeczy, tylko Mori-san dorwano.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Co to miało znaczyć? Przecież kolejna fala powodzi nie wyrządziła w Jokohamie żadnych poważniejszych szkód.

– No więc skoro chcesz dokładnie wiedzieć, przestał istnieć politycznie, a wraz z nim to przedsiębiorstwo żeglugowe będące w rzeczywistości centralą przemytu broni. Szkoda tylko, że przez jakiś czas używali naszych samochodów do jej przewozu. Jeden z nich zabrali. Niezręczna historia, ale da się załatwić.

Przez chwilę siedziałem w milczeniu.

Mori-san agentem, być może aresztowany, osądzony, mój przyszły teść?!

– Gdzie się teraz podziewa?

Jim wzruszył ramionami, wypijając do końca wrzącą herbatę.

– Kto go tam wie. Oczywiście na czas został ostrzeżony i czmychnął. Szukają go, ale tacy jak on mają dość współników. Wszystkimi kierował ten Rosjanin.

Odetchnąłem. Ucieczka to na pewno lepsze rozwiązanie od aresztowania. Udałem obojętność, choć serce biło mi młotem. Sięgnąłem machinalnie po czarę i wypilem herbatę.

– Ta afera z naszym samochodem to nic poważnego. Mam znajomości w Tokio. Rozmowa z odpowiednimi ludźmi wyjaśni wszystko. Tylko – nagle filiżanka wypadła mi z rąk – co na to wszystko Yuriko?

Jim zajął się czajnikiem.

– Nie mam pojęcia, prawie nie widywałem jej ostatnio. Pewnie przygotowuje się do egzaminów końcowych. Musisz się sam zorientować...

Zerwałem się.

– Chyba jej nie wziął ze sobą!

Jim chrząknął ceremonialnie, ale głos nadal miał zachrypnięty:

– Wydaje mi się, że jest za duża, żeby dać się po prostu porwać.

– Nie... nie ma jej tutaj?

– Niczego nie wiem. Powiedziałem ci już, po tej całej historii już jej nie zobaczyłem, a u jej ciotki niczego nie zgubiłem.

Już stałem w drzwiach.

– Zajmij się firmą, Jim. Muszę się natychmiast dowiedzieć, gdzie jest Yuriko. Obojętnie, kto będzie mnie szukał, nie ma mnie dla nikogo. Jasne?

Ruszyłem biegiem, krzycząc do Kiosiego:

– Podjedź fordem i wsiadaj ze mną!

Gdy siedzieliśmy już w samochodzie, odzyskałem trzeźwość myślenia. Chwyliłem Tanakę za ramię i wysiedliśmy:

– Zrobimy inaczej! Pójdziemy najpierw do Teruko-san. Nie ma sensu szukać bez celu.

Kioshi Tanaka z trudem dotrzymywał mi kroku, a ja nie przejmowałem się jego krótkimi nogami, tylko pędziłem do przodu.

Niemniej kiedy dotarliśmy już do domku Teruko, wyprzedził mnie i zagroził mi drogę.

– Proszę pozwolić pójść mi przodem, chef-san. Tak będzie lepiej...

Posłuchałem swojego współpracownika i patrzyłem, jak zgodnie ze zwyczajem przed

przesuwającymi drzwiami klaszcze w dłonie, prosząc o wejście, ze spokojem się kłania i oczekuje na zaproszenie. Stopniowo doszło do mnie, jaki popełniłem błąd, gdy swego czasu wdarłem się do środka, żeby porwać czerwone kimono dla Yuriko. Chyba jakimś cudem starsza pani wybaczyła mi moje zachowanie.

Jej uśmiech sprawił, że kamień spadł mi z serca. Czy uśmiechałaby się na powitanie, gdyby z Yuriko coś się stało?

I pod tym dachem należało najpierw dopełnić ceremoniału picia herbaty. Siedziałem jak na szpilkach. Wreszcie Kioshi zapytał o miejsce pobytu Yuriko. Opiekunka mojej narzeczonej mówiła długo i rozwlekła. Zrozumiałem tylko kilka słów. Potem, gdy Kioshi przetłumaczył, rozjaśniło mi się w głowie. Dzięki Bogu: Midori, Komashima, Matu – wszystko to już znałem.

Oczywiście, musiała wyjechać na wyspę do swojej siostry, żeby tutaj przed sąsiadami nie stracić twarzy. Znałem przecież wrażliwe poczucie honoru mieszkańców Japonii. Że też od razu na to nie wpadłem!

Teraz z lekkim ukłonem Kioshi zwrócił się do mnie:

– Teruko-san prosi, aby powiedzieć czcigodnemu Grane-san, że przykro jej, iż może udzielić tak niewielu wskazówek. Przed kilkoma tygodniami Yuriko mieszkała u niej i wiele się uczyła. Czekala na powrót czcigodnego chef-san. Potem jej ojciec musiał unikać kontaktu z władzami – uśmiechnąłem się lekko, słysząc tak taktowne określenie ucieczki przed aresztowaniem – i Mori-san polecił swojej córce, aby udała się na Komashimę i tam czekała na niego. Czcigodna Teruko-san otrzymała polecenie, aby pozostać na miejscu i czekać na dalszy rozwój wypadków. Jak pan widzi, chef-san, obie kobiety posłuchały.

No cóż, stwierdziłem w duchu, w tej sytuacji nie okazało się to wcale najgorsze. Z westchnieniem ulgi podałem Teruko-san moją czarkę, dziękując za następną.

– Wystarczy, wielkie dzięki. Zaraz wyruszam na Komashimę.

Nie było tak źle, jak mi się wydawało. Yuriko nie mogła się udać gdzie indziej, niż tylko na wyspę. W domu siostry mogła się czuć bezpiecznie. Poczulem nawet ulgę, że na jakiś czas jej ojciec zniknął z pola widzenia. Potem pozostanie mu już tylko pogodzenie się z faktem, że jesteście małżeństwem. Nie mogliśmy przecież czekać na jego zgodę. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pomyślałem sobie. Tym razem uśmiechnąłem się uprzejmie, gdy Teruko-san skłoniła się na pożegnanie.

Już na zewnątrz Kioshi spojrzał na mnie z powagą.

– Czy wolno mi zwrócić uwagę szanownego chef-san na taktyczny błąd?

Wiedział, że oczekuję takich podpowiedzi, inaczej nie odważyłby się zganić swojego pracodawcy. Nakazałem mu wręcz, aby poprawiał moje potknięcia, żebym nauczył się obcowania z Japończykami. Zachęciłem go skinieniem głowy. Z przepraszającym gestem wyjaśnił:

– Być może nie należało powiadamiać Teruko-san o pańskim zamiarze wyjazdu na wyspę.

– Dlaczego?

– Może mieć kontakty z agentami Mori-san i przekazać tę wiadomość!

Roześmiałem się głośno.

– Nonsens, Kioshi. Ma pan jakieś zwidy. Darzę starszą panią pełnym zaufaniem. Wiem od Yuriko, że nawet mnie polubiła.

Kioshi spuścił wzrok.

– To wcale nie przeszkodzi jej w tym, aby wypełnić polecenia głowy rodziny, Mori-san.

Pokręciłem głową. Tym się nie przejmowałem. Znałem przesadną ostrożność Tanaki, choć musiałem przyznać, że kilka razy miał rację.

Gdy dotarłem do willi, Sato-san, solidny jak zawsze, przygotował już wszystko dla mojej wygody. Na stole dymił ciepły posiłek, w przedpokoju znalazłem kimono i pantofle. W żadnym wypadku nie przyjmie do wiadomości, że muszę zaraz jechać. Ostatecznie nie było to też konieczne. Na Komashimie Yuriko miała dobrą opiekę. Napięte nerwy domagały się relaksu. Całe ciało tęskniło za odpoczynkiem.

– Well, Sato-san, odpocznijmy chwilę. Ale jutro rano jadę. Co to takiego? Moje ulubione danie. Wspaniale!

Sato-san promieniał na całym obliczu. Nawet na godzinę przed końcem świata obsłużyłby mnie z tą samą uwagą. Patrzył, jak jem z apetytem, i cieszył się, że nie odmawiam wina. Jak się zachowa, kiedy Yuriko odbierze mu przywilej posługiwania przy stole?

Po jedzeniu wyciągnąłem się nieco, ale poprosiłem o przyniesienie poczty. Wśród innych przesyłek był także list od mojego ojca utrzymany w tym co zwykle tonie. Przeleciałem go wzrokiem. Starszy pan uparcie obstawał przy swoim: abym w tym roku zakończył pracę za granicą i wracał do centrali w Nowym Jorku.

Chętnie, tato, ale nie bez żony! Przez jakiś czas Jim zajmie się eksportem, a my spędzimy miodowy miesiąc i pierwszy rok małżeństwa za oceanem.

Sięgnąłem na chybił trafił do pozostałych przesyłek – podłużna, japońska koperta z pieczęcią. Mori-san, czy dobrze widzę? No tak, data sprzed czterech czy pięciu tygodni. To było do przewidzenia. Najpewniej pisemne potwierdzenie jego odmowy. Wcale się nie będę przejmował. Dziś sprawy wyglądały inaczej. Tekst po angielsku, co za uprzejmość.

Czytałem, a potem zerwałem się jak ukłuty sztydłem.

Mori-san wypowiadał formalnie umowę swojej córki z moją firmą.

Za późno, mój drogi. Nikczemny fortel, ale chybiony. Nie chciałem już jego córki jako tłumaczki. Teraz miała zostać moją żoną.

Ale wstrząs zrobił swoje. Nagle poczułem gwałtowne, przenikliwe bóle w okolicy serca. Zawołałem jeszcze Sato-san, a o dalszych wydarzeniach dowiedziałem się już z opowiadań Lesleya. Japończyk nie powie na ten temat ani słowa. Rozłożyło mnie całkowicie. Zemściły się trudy ostatnich miesięcy. Towarzyszące im napięcie nerwowe dopełniło reszty. Po operacji nerek też przeżyłem podobny atak serca. Spędziłem trzy dni w łóżku, a potem zacisnąłem zęby i zlekceważyłem zakazy lekarza. Musiałem się zobaczyć z Yuriko i to za wszelką cenę!

Nie chciałem, żeby mi ktoś towarzyszył, gdy wezmę ją wreszcie w ramiona, aby już więcej nie wypuścić. Doszło do tego, że obraziłem Lesleya upierającego się do końca przy zamiarze wyjazdu ze mną. Po co się przejmować tym nieszczęsnym atakiem serca. Wszystko się uspokoi, kiedy będę miał u boku Yuriko!

Był mglisty, jesienny poranek, a morze miało kolor ołowiu, gdy kuter motorowy wysadził mnie przy brzegu. Ze sterującym nim Japończykiem zamieniłem zaledwie parę słów. Moje myśli biegły nieustannie ku jednemu. Wokoło szumiały spienione fale. Mewy z krzykiem krążyły mi nad głową, pochłaniając moje drugie śniadanie. Nie miałem zupełnie apetytu. Białe piترzele towarzyszyły łodzi aż do Komashimy, jak to miło z ich strony! Wreszcie pojawiła się wyspa, z niezmiennie rozczochranymi sosnami, nagimi skałami przy brzegu i niskimi rybackimi chatami. Przy przystani kilku mężczyzn oprawiało złowione ryby. Obok nich jak czarne węże spoczywały rozciągnięte sieci. Kilka dżonek odcinało się na horyzoncie niczym przedpotopowe stwory. Ruszyłem znajomą polną drogą ku domkowi Midori. Jakże w nim było cicho. Dzieci najwidoczniej poszły do szkoły. Mały ogródek kipiał tęczą jesiennych barw.

Czyżby przygotowywały wspólnie obiad? Jak bardzo musiał się Yuriko ciągnąć czas, zanim tu przybyłem ją uwolnić. Można było natrafić w Japonii na romantykę, choć z gorzkim posmakiem współczesności.

Zapukałem do papierowej szyby, a potem w drewnianą ramę przesuwanych drzwi. Usłyszałem ciche stąpanie słomianych sandałów. Yuriko? Midori? Nie, mąż Midori wysunął na zewnątrz chudą głowę i skłonił się głęboko. Miał na sobie odzież rybacką, pewnie właśnie wrócił z połowu. No tak, teraz przydałaby mi się pomoc Kioshiiego. Ale przecież podczas długich wypraw w głąb kraju trochę powiększyłem zasób mojego słownictwa. Mogłem też spróbować mowy znaków.

– Yuriko tutaj? Mówić... tak... z Yuriko... spotkanie!

Rybak spojrział na mnie i skłonił się jeszcze głębiej, mrużąc pod nosem uprzejme przeprosiny. Z jakiego powodu? Że nie zna mojego języka?

– Gdzie... hm... gdzie Yuriko? Tam? Na zewnątrz?

Szeroko zakrojony gest.

– Morze... wskazał ku łodzi opartej kilem do góry o boczną ścianę domostwa – w łodzi... z Matsu...

Matsu? To zrozumiałem.

– Matsu? Gdzie? Dlaczego?

– O, daleko, morze, nie wiedzieć odkąd, oboje z powrotem pod wieczór.

Aha, na pewno nie przejażdżka dla przyjemności. Tylko co się za tym kryło?

– Dużo wysp tam, morze, boss Matsu tam...

Zastanawiałem się gorączkowo. Może zabrał ją, żeby pokazać, ile obwodów obejmie swą działalnością jako przyszła nauczycielka. Pewnie myślał, że przyjechała i zostanie. Nieprzyjemne było wyobrażenie, że została sama z tym nieokrzesanцем. Wydawało mi się, że widzę, jak nią potrząsa, trzymając za ramię!

– Kiedy z powrotem?

– Wieczorem.

– Dziś wieczorem?

– No, jie, jie, wczoraj wieczorem, prawie noc, oboje z powrotem...

A więc jest tutaj.

– Joshi, joshi! Dobrze, dobrze, gdzie są teraz?

– O, Grane-san, oboje nie żyją, nie żyją, och naka-naka!

Nie, to jakiś nonsens. Musiałem chyba źle zrozumieć jedno z tych zawitych, jednosylabowych japońskich wyrażen.

Drżącymi rękoma wyrwałem z kieszeni słownik, przekartowałem – wreszcie wysylabizowałem:

– Yuriko i Matsu, gdzie oni są?

Wskazał przed siebie:

– Haleabas...

Słownik wypadł mi z dłoni. Pochyliłem się. To oznaczało „cmentarz”.

– Nani? – wyjąkałem. – Nani – co takiego?

Rybak skłonił się.

– Shicata ga nai. – Znałem już to stereotypowe stwierdzenie: „Nie można nic zrobić” albo: „Tak musiało być”.

– Dead? – krzyknąłem w moim rodzimym języku. – Dead indeed: Yuriko and Matsu dead?

To słowo musiał pamiętać z wojny. Śmierć i życie tworzą wspólne słownictwo wśród wszystkich narodów. Uśmiechnął się uprzejmie.

– Hie, hie, tak, tak, really dead! Naprawdę nie żyją Grane-san, tam na morzu, w łodzi, wczoraj wieczorem, oboje...

Nie wiem, co zrobiłem. Po prostu nie pamiętam. To zresztą nieważne. Ocknąłem się na ścieżce prowadzącej ku morzu, jak gdybym mógł ich tam spotkać. Ale i tam zobaczyłem tylko rybaków płuczących sieci i czyszczących z krwi kamienie.

– Yuriko? Matsu? – pytałem na przemian. Pewnie uważali mnie za biednego obłąkanego. Wreszcie przytaknęli – oboje martwi, tak – nie żyją. A więc dobrze zrozumiałem, w morzu, w łodzi. Potem mnie zostawili. Nawet ci prości ludzie okazali się zbyt uprzejmi, aby nabijać się z jękającego się cudzoziemca. Fale monotonicznie szumiały, rozbijając się o plażę – jednostajne, obojętne.

Nie wiem, jak dotarłem do wioski i znalazłem amerykańskiego żołnierza, który pełnił tutaj służbę. Pewnie pogrążonemu w głuchej rozpacz i bezradności przysłała mi go sama opatrzność. Po zadaniu kilku pytań opowiedział mi wszystko. Siedzieliśmy w maleńkiej zakopconej wartowni. Znalazł się tutaj, kiedy policja zaczęła podejrzewać, że niejaki Mori-san stworzył na wyspie punkt przerzutowy dla przemytników. Przypuszczenia te jak dotąd nie potwierdziły się. Sami prości rybacy, może paru przekonanych komunistów – z wyjątkiem tego Matsu, który zginął. Nie, nie wczoraj. Musiałem pomylić jakieś japońskie słowo. Wieczorem znaleźli na plaży parę kochanków wyrzuconą przez morze, najprawdopodobniej typowe japońskie samobójstwo.

W tym momencie miałem mu do opowiedzenia coś innego. To w żadnym wypadku nie może być samobójstwo ani zwykła miłosna tragedia, gdy kochający nie mogą się połączyć. Jeśli już nagła śmierć, to na pewno morderstwo. Dziewczyna to moja narzeczona.

Żołnierz drgnął zaskoczony, wpatrując się we mnie, i dokładnie w tym momencie, kiedy złożyłem głowę na surowym blacie stołu i wybuchnąłem gwałtownym szlochem, sięgnął po telefon i przekazał meldunek. Znalaziono związek z osobą Mori-san. Domniemane samobójstwo japońskiej pary mogło być świadomym zabójstwem. Potrzebne natychmiastowe śledztwo.

Wszystko zostało gruntownie przebadane. Przesłuchano całą wieś, rodzinę Midori – i oczywiście mnie. Po pierwszych emocjach ból zamienił mnie w kamień, ale wiedziałem, że pojawi się znowu, gdy tylko zostanę sam. Wynik dochodzenia rozjaśnił trochę wydarzenia, do których doszło.

Być może nie mylono się, przypuszczając, że Mori-san chciał zmusić córkę do poślubienia Matsu, któremu to obiecał. Yuriko musiała się opierać, jak twierdziła Midori. Ale nie wykluczano, iż zgodnie z naturą japońskich kobiet miała zamiar ulec. I wówczas nadeszła wiadomość przesłana przez Teruko-san – przyjedzie Grane-san, aby ją zabrać. Pewnie wtedy Matsu zdecydował o samobójstwie, wiedząc, że straci Yuriko, gdy tylko się zjawię. Możliwe też, że z premedytacją pozbawił ją życia, zatapiając łódź. Przerazająca myśl – jej ojciec na odległość mógł to wyreżyserować i rozkazać wykonać! Nikt nie wiedział, czy te podejrzenia się potwierdzą, bo Mori nadal pozostawał na wolności.

Pozostawało otwarte pytanie: zabójstwo czy samobójstwo, wiedza czy niewiedza Yuriko?

Podczas śledztwa Midori-san, która nawet wtedy miała na plecach swoją najmłodszą pociechę, podała mi coś nad stołem – wytarty różaniec. Nie przyjrzałem mu się dokładnie, więc w pierwszej chwili sądziłem, że to buddyjski sznur modlitewny. Potem jednak sierżant, Irlandczyk z pochodzenia, podniósł go do góry – czy nie widzę krzyża? To miała w ręce, gdy ją znaleziono?

– Był tak mocno owinięty o prawą rękę, że się nie zsunął – wyjaśniła Midori. Nie pojmowałem, że może się przy tym uśmiechać, jak gdyby opowiadała o jakimś dawno widzianym przedstawieniu. O, córki Nipponu nie płaczą... Co mogłem wiedzieć o starym zwyczaju nakazującym nawet w największym cierpieniu ukazywać uśmiechnięte oblicze otaczającemu światu?

Zaraz też schowałem cenną pamiątkę.

Co należało jeszcze wyjaśniać? Nikt oprócz samego Boga nie był świadkiem ostatniej, decydującej rozmowy pomiędzy Yuriko i Matsu. Nikt też nie mógł powiedzieć, czy Yuriko świadomie spojrzała w oczy śmierci, czy padła ofiarą przestępstwa. Nigdy już nie będę mógł jej o to zapytać – nie na tym świecie.

Gdy opuszczałem wyspę, na niebie jakby na przekór pokazało się słońce. Ale w moim wnętrzu panowały ciemności. Nieruchomo siedziałem w kutrze niosącym mnie ku lądowi. Nie towarzyszyły mu mewy, bo ręce i serce ziały pustką.

Potem spotkało mnie to, co musiało mnie spotkać. Ledwie znalazłem się we własnych czterech ścianach, gdy dostałem gorączki, która wstrząsała mną niczym drapieżnik trzymaną w pazurach zdobyczą. Przez całe tygodnie trwałem zawieszony między życiem a śmiercią. W majakach przywoływałem ciągle Yuriko, złorzeczyłem Matsu i rozliczałem się z Morim. Lesley i Kioshi czuwający przy mnie na zmianę i dyżurujący nocą w szpitalu opowiedzieli mi później o tym. Gdy po raz pierwszy stanąłem na drżących nogach, dachy Tokio bieleły się od śniegu. Jak gdybym był pierwszy raz w Japonii, przyglądałem się obojętnie pracowitej krzątaniu obcego tłumu. Tylko na widok kolorowego kobiecego kimona wspomnienie poruszyło mi serce.

Niemniej ból się uspokoił, stał mniej dokuczliwy, oczy przestały ronić łzy, wola przygasła przygniecioną znużeniem.

Któregoś dnia złożono mi wizytę, której nigdy bym się nie spodziewał.

Pielęgniarka Czerwonego Krzyża zgłosiła mi przybycie przełożonej sióstr Sacré-Coeur z Seishin-Daigaku-in. Milcząca i uprzejma siedziała przy moim łóżku. Na próżno szukałem konwencjonalnych słów. Wreszcie ona, łagodnie niczym matka, zaczęła opowiadać o Yuriko. Tak, na pewno zdałaby egzamin. Była jedną z najzdolniejszych studentek college'u, a jako doświadczona misjonarka może mnie zapewnić, że za jakiś czas przyjęłaby wiarę chrześcijańską.

Spojrzałem na nią.

– Skąd ta pewność? – mruknąłem, odrzucając od siebie wszelką zwodniczą pociechę.

Odczekała chwilę, a potem odparła:

– Dowiedziałam się, że znaleziono ją z różańcem w ręku, który jej podarowałam. Nauczyła się go także odmawiać. Myślę, że to wystarczy.

Nie mam pojęcia, skąd się wzięło we mnie tyle gorczy, że skwitowałam:

– To nie oznacza jeszcze konwersji. To sakramentalium, nie sakrament.

Przełożona przytaknęła.

– Ma pan rację i nie ma pan racji, panie Grane. Różaniec to coś więcej, powiedziałabym symbol, gdyż ogarnia całą pełnię naszej wiary.

Nie bardzo ją pojmowałam. Musiałem przyznać, że jak dotąd nie znalazłem w sobie wewnętrznego przekonania do tej modlitwy. Uważałem ją za zbyt skomplikowaną i zbyt długą dla zabieganego, współczesnego człowieka.

Zakonnica wyjaśniła spokojnie:

– Te pięćdziesiąt „zdrowasiek” związanych z największymi tajemnicami chrześcijaństwa uczony może wypełnić życiem mistycznej kontemplacji i boskiej mądrości. Ktoś niewykształcony znajdzie w nich najprostsze wyjaśnienie podstawowych prawd, a ktoś poszukujący, powiedzmy, zmagająca się ze sobą japońska studentka, drogę wiodącą do ostatecznego celu. Dlatego myślę, że spotka się pan kiedyś z Yuriko.

Wzięła swój różaniec i ważyła go w spracowanej dłoni niczym największy skarb na ziemi – perły szlachetniejsze od klejnotów pochodzących z Mikimoto Farmw zatoce Ago, sprzedawanych za tysiące dolarów.

Uśmiechnęła się do mnie serdecznie, wstała z miejsca, jak gdyby już wszystko zostało powiedziane, i podała mi prawicę takim gestem, jaki wyraża jedynie najgłębsze współczucie. Pochyliłem się nad tą dłonią, przysuwając ją do warg, i to zrobiłem ja, któremu wydawało się, że nigdy nie okaże tego znaku szacunku żadnej innej kobiecie, której nie kochałem tak jak Yuriko.

Nie wiedziałem wówczas o mojej wewnętrznej kapitulacji, pochyleniu się przed stanem zakonnym, przed misjami. Robiłem to wszystko instynktownie, podobnie jak osłabiony człowiek idący za poruszeniami własnego usposobienia, które, będąc przy zdrowiu, potrafi trzymać na wodzy.

Potem wróciłem myślami do Aki-Nagatsuka. Podczas długich wypraw w rejony dotknięte klęską żywiołową dotarłem także do jezuickiego seminarium dla miejscowego kleru położonego na jednym z przedmieść Hiroszimy. Przekazałem pozdrowienia i przesyłki od misjonarzy z Uniwersytetu Sophia i zostałem dobrze przyjęty.

Wydawało mi się, że znowu stoję pod tradycyjnie wywiniętym słomianym dachem, spoglądając na błękitne pagórki, zaś szczyt jednego z nich wieńczy posąg Zbawiciela z otwartym bosko-ludzkim sercem, i słyszę głos jednego z profesorów:

– Dziękujemy, że tak szybko i z taką starannością pospieszył pan z pomocą, Grane. To wszystko jest objawieniem chrześcijaństwa. Obyśmy tylko mieli dość pasterzy dla naszej trzody!

Te słowa zapadły mi głęboko w pamięć.

Towarzyszyły mi też w ciągu następnych ciężkich dni i tygodni. Oczywiście dalej szukałem wyjaśnienia okoliczności, które doprowadziły do zagadkowej śmierci Yuriko. Wszystko jednak, co udało mi się wydobyć z Teruko-san, ograniczało się do stwierdzenia, że od czcigodnego Mori-san otrzymała polecenie przesłania na Komashimę wiadomości o moim powrocie. Nie miała pojęcia, w jakim celu. Być może naprawdę wierzyła, że sprawi tym radość Yuriko.

Gdy zapytałem, czy jej zdaniem Mori-san próbował zmusić Yuriko do małżeństwa z Matsu, spojrzała na mnie zdziwiona i stwierdziła tylko:

– Ależ to zostało postanowione już dawno temu. Yuriko miała zostać nauczycielką na Komashimie i żoną Matsu-san. Czy mogła zrobić coś innego, jak tylko okazać posłuszeństwo?

Tego wieczora wyciągnąłem ze skrzyni w sypialni zwijany obraz, który mi podarowała jako znak i dowód naszej miłości. Kontemplowałem długo małego ptaka, który siedzi na kwitnącej gałązce śliwy i wyśpiewuje swoją arię, nie zważając na lód i śnieg. Pomyślałem sobie, że Yuriko nigdy mnie nie zdradziła. Nie potrafiłem też rozstrzygnąć, czy aby uniknąć jedynej, a dyktowanej przez tradycję możliwości, zdobyła się na to, by popełnić samobójstwo.

Ale jej różaniec noszę do dzisiaj w kieszeni. Może to on dodał jej odwagi, aby nie powiedzieć śmierci „nie”, tylko przyjąć ją posłusznie jako coś fatalnego w godzinie udręki, tak jak to uczyniła Gratia Hosokawa.

Bushido i chrześcijaństwo – wydaje mi się, że ciągle jeszcze słyszę jej zdziwiony głos – japońska dzielność i chrześcijańska wierność. Yuriko stała się dla mnie obrazem i symbolem tego kraju.

Dzięki niej nauczyłem się kochać Nippon miłością oczyszczoną przez cierpienie, a w końcu miłością tego, który chce mnie posłać do Japonii po raz wtóry.

*

Donald Grane zamilkł.

Przed nim na stoliku leżały fotografie ze szczęśliwszych dni. Za oknem hotelowego pokoju na dwudziestym czwartym piętrze drapacza chmur pojawił się szary świt. Przegadali całą noc.

Pułkownik Baker długo się przyglądał siostrzeńcowi. Oczywiście, młoda, poważna twarz nosiła ślady zmęczenia i wyczerpania, ale z oczu promieniowała pewność, która zaniepokoiła starszego.

– Donaldzie – zwrócił się do niego z ociąganiem – nie miej mi tego za złe, ale czy nie narażasz się na niepowodzenie? Jeśli cię dobrze zrozumiałem, Yuriko zmarła dopiero przed trzema laty. Czy to nie za wcześnie, aby podejmować tak istotną życiową decyzję, która, biorąc pod uwagę pierwszy ból, jest zrozumiała, lecz może ulec zmianie, gdy minie jeszcze jakiś czas, zacierając w twojej pamięci ślady przeżytych wydarzeń?

Młody kleryk spojrział na niego z uśmiechem.

– Miło z twojej strony Pat, że tak się o mnie troszczysz, ale to nie jest tak, że wybrałem stan duchowny z powodu zawiedzionej miłości. Oczywiście romans w Japonii był początkiem, lecz nie finałem. Jest wiele dróg, po których się nas prowadzi, bo my o nich nie decydujemy. Dzisiaj wiem, że zostałbym misjonarzem nawet gdybym nie spotkał Yuriko.

– Niby dlaczego? Skąd bierzesz tę pewność?

Jego siostrzeniec oparł się wygodniej, spoglądając ku oknu, za którym słońce rozpoczęło zmagania z porannymi mgłami.

– Handel samochodami nigdy mnie nie satysfakcjonował. Kiedy zobaczyłem nędzę w Japonii, a potem zostałem wrzucony w wir jej tytanicznych duchowych walk i zmagañ, wiedziałem, że nie zaznam spokoju. Tylko dlatego z taką satysfakcją podjąłem się podróży tu i tam, aby pomagać potrzebującym i wspierać cierpiących nędzę. Pchało mnie od wewnątrz, aby podjąć pracę w Japonii, ale inaczej niż wtedy, gdy po raz pierwszy zszedłem w Jokohamie na ląd.

Pułkownik odsunął popielniczkę i wstał, by otworzyć szeroko okno, jak gdyby musiał pomóc komuś, kto zemdlął. Donald przyglądał mu się z uśmiechem. Do pokoju wdarło się chłodne powietrze poranka.

– Donaldzie – spróbował jeszcze raz – nie bardzo to pojmuję. Przecież w firmie podjąłeś próbę, aby żyć jak porządny chrześcijanin, który poważnie traktuje swoje obowiązki. Takich ludzi Kościół w swoich zmaganiach potrzebuje bardziej niż misjonarzy.

Donald Grane pokręcił głową.

– Nie, Pat. Sprawy mają się inaczej. To co zainicjowałem w Jokohamie, może zamiast mnie kontynuować ktoś inny, i tak rzeczywiście jest. Jim Lesley wraz ze swoją obrotną żoną przejęli pałeczkę i sumiennie troszczą się o to, aby zachować wprowadzone kiedyś nowości, które sprawdziły się w praktyce. Prawie nie mamy w naszym przedsiębiorstwie przekonanych komunistów. Sami zobaczyli, że nędzy socjalnej można zapobiegać w zupełnie inny sposób. W moim wypadku chodzi o osobiste powołanie.

Pułkownik stanął przed nim z założonymi na piersiach rękoma.

– Tak? A jeśli właśnie to ono jest tylko złudzeniem? Ostatecznie, mój chłopcze, opowiedziałeś mi tu czarującą historię miłosną, i to nie bez namiętności. Czy nie obawiasz się, że pewnego dnia obudzi się w tobie zdolność pokochania kobiety z całego serca? Co poczniesz wtedy?

Donald znów się uśmiechnął i również wstał z sofy. Podeszedł do okna. Wiatr unosił strzępy mgły, a nad dachami i drapaczami chmur rozbłysły pierwsze promienie słońca.

– Nie, tego się nie obawiam. Nie zdaję się przy tym na siebie i na moje siły, tylko na moc tego, który nie dawał mi spokoju nawet w miłości do Yuriko, a w niej budził pragnienie szukania głębi. Yuriko pozostanie dla mnie obrazem japońskiej, zagadkowej, ale z natury katolickiej duszy, której chcę zanieść prawdę wyzwalającą Nippon, również z pęt komunizmu.

Pułkownik oparł się wraz z Donaldem o parapet otwartego okna, aby przyjrzeć się igraszkom porannego słońca. Spowity ciszą Nowy Jork leżał im u stóp, za chwilę obudzi się do pulsującego tempem życia.

– Jesteś optymistą, Donaldzie. Biorąc jednak pod uwagę sytuację polityczną i geograficzną,

nie da się wiele zrobić przeciwko ekspansji komunizmu. Wydaje mi się, że musimy zrezygnować z Azji, a tym samym z Japonii.

Donald Grane obruszył się.

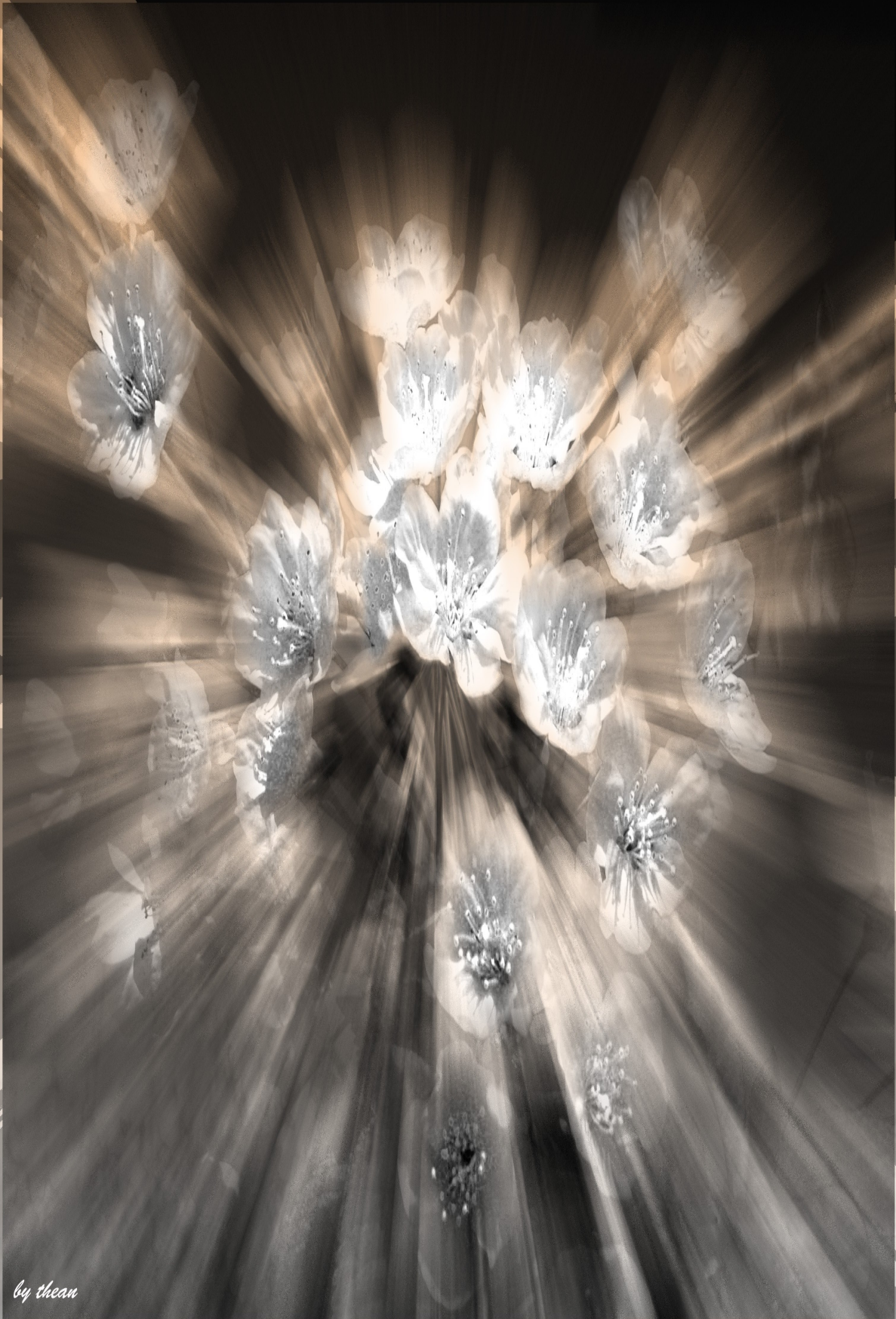
– Nigdy! Chrystus dotarł do Japonii przed Leninem i nikt nie wyrwie Mu z ręki tego, co raz pochwyił. Oczywiście są czasy prześladowań. Japonia już wcześniej znała je i przeszła, a Kościół przetrwał.

– Czyli świadomie narażasz się na możliwe prześladowania? Czy ty wiesz, na co się decydujesz, mój chłopcze?

– Tak, również prześladowanie jest znakiem prawdziwości misji Kościoła. Być może jako Amerykanin będę mógł zadośćuczynić złu, jakie nasi rodacy sprowadzili na Nippon, naprawić błędy popełnione przez tak wielu, którzy nazywali siebie chrześcijanami.

Słyszac to, pułkownik w milczeniu spuścił głowę.

Wreszcie słońce zwyciężyło nad szarością poranka. A jemu wydało się, że to nie tylko jego promienie rozjaśniają twarz siostrzeńca.



by thean